

**MAY GRETHE LERUM**

# **GŁOS TĘSKNOTY**

Cykl Córy Życia 30

Z norweskiego przełożyła IWONA ZIMNICKA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Lyster, 23 grudnia 1763*

- Sześć lat... Pamiętasz, mamó, jak czekałyśmy? Myślałyśmy, że wróci do domu na Boże Narodzenie, przypominasz sobie? Ach, mamó, dobrze, że wtedy nie znałyśmy prawdy!

Johanna popatrzyła na córkę. Wiedziała, że w tej sekundzie Reina usiłuje przeniknąć jej myśli do samego dna.

W spojrzeniu matki nie było już głębokiego bólu i Reina nie umiała ocenić, czy się z tego cieszy czy też nie. Z każdym jednak upływającym rokiem, z każdym Bożym Narodzeniem, obwieszczanym biciem w dzwony, Reina czuła, że jej wola coraz bardziej słabnie i nie mogła uwierzyć, że ojciec nie żyje.

Teraz jednak, gdy zbliżały się już siódme święta bez niego, miała wrażenie, że zdołała się przyzwyczaić do jego nieobecności. Być może on nie umarł, ale też raczej i nie wróci. O dziwo, niejednokrotnie czuła jego bliskość. Wystarczył jakiś zapach, przelotne wspomnienie, by widziała jasno, tak jasno, że za każdym razem nabierała pewności: on nie mógł odejść na zawsze.

Ale matka głaskała ją po włosach, jak gdyby Reina wciąż była małym dzieckiem, mówiąc, że tak właśnie bywa, gdy się kogoś utraci. Człowiek się przyzwyczaja do życia bez tej osoby, z dnia na dzień coraz łatwiej jest mu pogodzić się z tym, że nigdy już jej nie zobaczy, ale wspomnienia, dobre uczucia, nie umierają wraz z człowiekiem, giną dopiero, gdy ten, kto tęskni, sam spocznie w grobie.

- I dobrze wiesz, w co ja wierzę, moja kochana. Wierzę, że znów się spotkamy, po tym...

Reina z namysłem pokiwała głową. Popatrzyła w oczy matki, pragnąc, by i ona sama potrafiła dzielić to przekonanie z równą mocą. Przełknęła łyż sznurujące gardło.

- Może on wróci na następne Boże Narodzenie - szepnęła. Po twarzy Johanny przemknął cień, lecz nic się na to nie odezwała. Zamiast tego wstała, otrzepała okruszki ciastek, których pozwoliły sobie ukradkiem spróbować w ten wieczór przed Wigilią. Tu, w piwnicy, polepa była sucha i chłodna, a na półkach tłoczyły się zapasy żywności, ziołowe maści, mikstury na wódce, a także solone mięso i ryby. W spizarni stały kosze pełne świątecznych wypieków, spod sufitu zaś zwieszały się grube kielbasy i inne specjały, które pomogą im przetrwać zimę.

Reina postawiła nogę na wąskich stopniach prowadzących na ganek. Spojrzała w dół

na matkę.

- Bądźmy radosne, mamó, przecież mamy z czego się cieszyć. Benjamin jest w domu, a Vetlebror już tak mocno go pokochał.

Johanna uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze, zostawimy nasz smutek tu na dole, w piwnicy, Reino. Będziemy świętować!

Córka miękko kiwnęła głową.

- Naprawdę mamy się z czego cieszyć, dom pełen jest świątecznych gości. Nie możemy siedzieć tu i płakać!

Dotarł do nich delikatny śmiech. Nawet przez solidne podłogowe belki usłyszały, że to Aurora się śmieje. Prawdopodobnie Benjamin opowiadał jedną z niezliczonych historii o swym nauczycielu i mistrzu, starym drzeworytniku, którego sława ze względu na niezwykle umiejętności w posługiwaniu się dłutem i nożem rozniosła się bardzo daleko. W młodości wyrzeźbił wiele ołtarzy dla kościołów, lecz teraz dłonie już go zawodziły i jedyne, co go jeszcze podtrzymywało na duchu, to chęć do nauki przejawiana przez Benjaminą i własne nieprawdopodobne poczucie humoru.

Uśmiechnęły się do siebie, gdy tak stały na ganku. O, tak, święta to czas uśmiechów i podziękowań. Zapach kadzidła zapalonego przez Astrid przedzierał się aż tutaj i mieszał z chłodnym powiewem mroźnej nocy.

Słyszały, że w piecu trzaska ogień, a z największego pomieszczenia wyniesiono wszystkie sprzęty potrzebne do opieki nad chorymi i zamiast nich ustawiono długi stół i krzesła przyciągnięte z Zamku Marji.

Wszyscy mieli się zgromadzić właśnie tutaj.

Będzie ciasno, Bendik bowiem przyjechał z Heleną, Ingalill i bliźniakami. Poza tym jest jeszcze Astrid z Aurorą, Emmi i Diana, a oprócz nich oczywiście przy stole dzisiejszego wieczoru zasiądą również trzy dziewczki służące i parobcy zatrudnieni na zimę.

Johanna uścisnęła Reinę za rękę.

- Wydaje mi się, że nie tylko my pozwoliłyśmy sobie na spróbowanie świątecznych przysmaków - szepnęła i cmoknęła językiem.

I rzeczywiście, kiedy weszły do pokoju, zobaczyły należącą niegdyś do Marji olbrzymią srebrną wazę do ponczu, błyszczącą na środku wielkiego stołu, który obsiedli goście. To Bendik trzymał łyżkę wazową i nalewał.

Johanna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na ten widok. Bez względu na to, ile lat upływało, wspomnienia z dzieciństwa tkwiły w niej na tyle mocno, by wciąż uważała, że Bendik doskonale się prezentuje w roli i na miejscu gospodarza. Na miejscu Raviego.

Kiedyś być może zasiądzie na nim Benjamin.

Westchnęła i przeszła przez pokój, by wziąć kubek, który podawał jej ojciec.

- Dziękuję, tato. Chętnie wypiję za twoje zdrowie.

Opróżniła kubek do dna i znów popatrzyła w błyszczące oczy ojca. Skończył już sześćdziesiąt lat, lecz wyglądało na to, że z wyjątkiem tych kilku lat bezpośrednio po utracie Amelii w ogóle się nie zestarzał. Johanna dostrzegła siłę jego ramion, pełne życia spojrzenie, włosy ostrzyżone na krótko, jakby gęściejsze niż przedtem. O, tak, Bendik był szczęśliwy, tak szczęśliwy, że Johanna bez trudu znosiła u jego boku obecność kobiety, której kiedyś tak szczerze nienawidziła pod swym własnym dachem.

Helena również aż promieniała. Włosy miała ogniste jak dawniej, lecz wokół oczu pojawiły jej się zmarszczki, a usta często wykrzywiały się jakby w grymasie gorzkości. Dni wypełniała jej praca, nie zaznała zbyt wielu beztrudnych chwil. W miarę dorastania bliźniaków jej życie wcale nie stawało się spokojniejsze, no a Ingalill - cóż, ta dziewczyna potrafiłaby chyba przysporzyć siwych włosów na głowie każdej matki.

I ojca...

Nie, myśli znów zawędrowały za daleko. Przecież Johanna podjęła już wcześniej decyzję: tego wieczoru nie będą myśleć o niczym smutnym, o żadnych cierpieniach i zapiekłym bólu.

Wciąż jeszcze każdego wieczoru leżała, walcząc z myślą o tym, jak by to było, gdyby on spoczywał teraz u jej boku, taki kochany i żywy. Ale za dnia potrafiła już zapomnieć. Wśród tylu obowiązków i nieustających żądań ze strony udręczonych ludzi nietrudno było puścić w niepamięć własny ból, który jednak mimo wszystko wciąż w niej tkwił, nie zważając na nakazy rozumu.

Ale nie teraz, nie tego wieczoru, gdy wreszcie zakończyły się gorączkowe przygotowania do świąt i wszyscy zebrali się, by wznieść toasty, stanowiące nieodłączną część tej nocy.

W powietrzu unosił się świeży zapach jałowca, aromat gałązek niedawno rozsypanych pod wszystkimi drzwiami mieszał się z zapachem kadzidła. Wszędzie panował przytulny miły nastrój.

- Za zdrowie, moja najmilsza córko, zdrowie tego domu i całej twojej rodziny!

Johanna podniosła kubek, który Bendik napełnił powtórnie.

Głębokim westchnieniem odpędziła niemądre, uporczywie krążące jak muchy nad głową myśli, postanawiając, że będzie teraz słuchać wesołych historii Benjamin i radować się widokiem Vetlebrora, któremu oczy zaczynały się już kleić, gdy siedział teraz na kolanach

u Astrid.

Reina, taka dorosła. Taka zdolna i bystra, pomimo tych dziwacznych myśli, które niekiedy wpadały jej do głowy.

Mądra i zainteresowana wszystkim, co miało związek z leczeniem chorób i niesieniem ludziom pomocy. Spadkobierczyni, z której Johanna będzie kiedyś bardzo, bardzo dumna, o tym była przekonana.

Bóg widać mimo wszystko ją pobłogosławił.

Miała troje dzieci, piękny przytulny dom. Przyjaciół. Rodzinę. Bogactwo!

Po raz trzeci kielich w górę podniosła Astrid w podzięcie za nowe życie, jakie Johanna zapewniła zarówno samej Astrid, jak i jej córce Aurorze.

Wreszcie rozmowy przycichły. Ciepły napój przyrządzony z soku z czarnych porzeczek, cukru i mięty zawierał także sporą porcję słodkiego, ciężkiego owocowego wina.

Vetlebror spał już mocno w objęciach krągłych, ciemnych ramion Astrid.

Reina stłumiła ziewnięcie, ale ciągle jeszcze chichotała, słuchając wesołych wywodów Benjamina.

Przed nimi dzień pełen zajęć. Jutro już o siódmej rano dzwon wezwie wszystkich na poranne nabożeństwo do starego kościoła Dale. Pastora czekają też inne obowiązki, musi objechać aż trzy kościoły, w których wygłosi kazania, dlatego w te świata ludzie z Lyster muszą się zebrać, jeszcze zanim obudzą się ptaki.

Nowa sukienka Reiny leżała już wyprasowana w jej alkowie. Benjamin przywykł do tego, by sam zajmować się swoim ubraniem, nie bardzo wiedziała, czy była za to wdzięczna Helenie. A Vetlebror miał włożyć nowe ubranie z czarnej wełny, a do tego bielutką lnianą koszulę. W tym stroju wyglądał bardzo dorośle, tupał głośno w nowych wielkich butach i jak mężczyzna wsuwał ręce do kieszeni spodni.

Jak pięknie będą wyglądać!

Niech ludzie gadają sobie, ile chcą, o tym, że Johanna wydała na świat jedynie dwóch słabowitych chłopców i na pół szaloną dziewczynę.

Ona sama wiedziała przecież, jak jest naprawdę.

To najwspanialsze dzieci w całej wsi, na całym świecie.

Wiedziała, że co do tego Ravi na pewno przyznałby jej rację...

Zesztywnieli od tak długiego siedzenia w wychłodzonym mrozem kościele, lecz mimo to światło zapalonych świec i serdeczna pieśń rozgrzewała ich od środka, sprawiając, że twarze promieniały nawet wtedy, gdy stali na dziedzińcu kościoła, pozdrawiając się nawzajem. Młodzi skupili się na dole, w załomie muru, dziewczęta szeregiem, chłopcy zbici

w grupki. Johanna uśmiechnęła się na ten widok: za rok albo dwa stanie wśród nich i jej Reina.

Straciła dziewczynę z oczu, Reina spotkała zapewne którąś z koleżanek czy też kogoś innego, z kim teraz rozmawiała. Benjamin stał wśród chłopców, nieco zgarbiony i zawstydzony, ale młodszy braciszek z dumą ścisnął go za rękę.

A Ingalill! Johanna na widok dziewczyny zasznurowała usta. Ta bezwstydnica umizga się przecież do syna mordercy! Johanna szarpnęła Bendika za ramię.

- Przyrowadź ją! - mruknęła krótko.

Ojciec powiódł oczami za jej wzrokiem i zobaczył, że Arill Storlandet grzebie nogą w przemieszanym ze śniegiem żwirze. Patrzył, jak Ingalill z uśmiechem wyciąga gołą rękę z rękawicy i zdejmuje mu płatki śniegu z ramion!

Johanna szturchnęła go jeszcze raz. Bendik bez słowa podszedł i pociągnął za sobą dorosłą pasierbicę. Ludzie bacznie mu się przyglądali. Ten i ów ledwie zauważalnie skinął głową: tak właśnie należało postępować, zanim młodzi zupełnie stracą rozum.

Johanna odetchnęła z ulgą. Bendik poprowadził Ingalill do powozu, tak chyba było najlepiej. Głupia dziewczyna, czy ona niczego nie zrozumiała?

Wreszcie trochę się uspokoiła, znów zerknęła na młodych.

Jakiż dorosły zrobił się ostatnio syn dzwonnika! A tam dalej, czyż to nie student z Hammarsboen, który przyjechał do domu? Tak, jego blada twarz pod olbrzymią futrzaną czapą zlewała się niemal w jedno ze śniegiem, Johanna spostrzegła, że wycierał nos i chrząkał. Pewnie mieszkał w jakiejś nędznej i ciasnej, pełnej przeciągów norze; Kopenhaga to drogie miasto dla prostego wieśniaczego syna.

A tam stoi Siv, dumna córka wieśniaka z Njos, ta, która miała wyjść za mąż dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, ale straciła narzeczonego w wypadku łodzi koło Solvorn. Oczywiście, wygląda na smutną, stoi jednak wraz z młodszą siostrą, pozwalając, by młodzi mężczyźni wodzili za nią oczami.

Pochodząca nie z tych okolic nowa dziewczyna z Dosen także nie wie, jak powinna się zachować. Rzuca małymi śnieżkami w wysokiego przystojnego chłopca w kurtce z wilczej skóry. On łapie śniegowe kulki, lecz nie wygląda na zainteresowanego. Dziewczyna chichocze, śle mu powłóczyście spojrzenia. Johanna zmarszczyła nos. Ta pannica nie utrzyma się długo w Dosen, chyba że w podobny sposób będzie się zalecać do właściciela.

Ktoś skubnął ją w ramię. Zobaczyła, że to Bendik stoi przy niej z Heleną u boku. Ingalill zapewne siedziała bezpiecznie w powozie.

- Johanno, nie przywitałaś się z wdową Solbjorg, ona ma coś dla ciebie. Stara kobieta

podniosła okrągłą twarz i popatrzyła na Johannę. W rękach trzymała kosz.

- Niech panią Bóg błogosławi, Johanno. Mój syn jest prawie zdrowy. Paskudna była ta zaraza, co mu legła na płucach, tyle muszę powiedzieć. Bałam się, że go stracę, jedyne, co mam...

Otarła łzę, a może też ze starych oczu i tak przez cały czas coś ciekło. Johanna ujęła staruszkę za rękę, poczuła, że jest sucha i ciepła.

- Oby się tak nie stało, pani Solbjorg. Cieszę się, że moje lekarstwo pomogło. To nowa mikstura sporządzona według receptury najlepszych aptekarzy i medyków.

- Niech Bóg błogosławi również im, to był prawdziwy cud. Ale to przecież ty mi pomogłaś. Tak, tak, będę zwracać się na ty do takiej miódki.

Stara kobieta poufale mrugnęła.

Johanna uśmiechnęła się szeroko, gdy staruszka odchyliła lnianą ściereczkę, którą nakryty był kosz.

- To tylko odrobina, tak na smak, ale powiadają, że kielbasę ze słoniną przyrządzam najlepiej we wsi, sama pani osądzi. Jest też mały słoiczek syropu, jeśli pani nie odmówi...

Później ludzie płynęli już strumieniem. Identyczna sytuacja powtarzała się w każde Boże Narodzenie po nabożeństwie. Wielu z tych, którzy nie rozliczyli się za zabiegi w szpitaliku, w święta przypominało sobie o długu. Wtedy zaś te półki w piwnicy Johanny, które jeszcze świeciły pustkami, wypełniały się najprzeróżniejszymi przysmakami. Sami nie zdołaliby zjeść wszystkiego przed upływem świąt, sporo było zresztą jedzenia, które należało spożyć natychmiast, Johanna zwykle posyłała więc Reinę i Benjamina w drugi dzień świąt z wielkimi koszami pełnymi żywności, które mieli rozdzielić wśród najuboższych albo zanieść do przytułku dla wariatów, a także do chałupy koło Ron, w której wioskowa komisja zajmująca się ubogimi zgromadziła starców na dożywociu, nie będących już w stanie o własnych siłach wędrować od zagrody do zagrody.

Kiedy ostatni już odeszli, Johanna i Bendik zostali sami w otoczeniu pakunczków z masłem, koszyków, pęt cienkiej kielbasy i pojemników z najprzeróżniejszymi świątecznymi przysmakami. Przyszedł do nich także Benjamin, Vetle musiał iść za potrzebą poza mur kościoła. Ale gdzie się podziała Reina?

- Idziemy do powozów, tam będzie cieplej, jeśli węgiel w naczyniu całkiem się nie wypalił. Chodź, ona na pewno znajdzie drogę. Te rozchichotane dziewczęta najwyraźniej nie mogą się nagadać, pewnie chodzi o zabawy w trzeci dzień świąt, tak mi się wydaje, gdzie która idzie i z kim. Pamiętasz to, Johanno?

- Tak, tak - burknęła Johanna gniewnie. - Doskonale pamiętam, tatusiu, że dopóki nie

zostałam mężatką, nie pozwalałeś mi nigdzie chodzić.

Bendik roześmiał się.

- Ach, wolne żarty, Johanno. Chyba naprawdę się zestarzałaś. Helena uśmiechnęła się łagodząco i delikatnie wsunęła rękę pod pachę Johanny.

- On sam odkąd skończył sześćdziesiąt lat, śmiertelnie boi się starości, ale ja mu powtarzam, że on się nigdy nie zestarzeje, będzie tylko coraz mądrzejszy. To my, kobiety, blakniemy. Spójrz, znów mi wystają te siwe kosmyki. Czy ty pojmujesz, Johanno, gdzie się podziało to dawne życie?

Mówiąc, nie przestawała się uśmiechać. Z każdego spojrzenia, jakie Helena posyłała swemu mężowi, wprost biło szczęście.

To prawdziwy cud, jak życie zdołało odmienić tę rozgoryczoną nieokrzesaną kobietę, którą Johanna wielokrotnie miała ochotę udusić gołymi rękami.

W jednym z zamkniętych powozów siedziały już dzieci, trzęsąc się z zimna i przyciskając łydki do lekko jeszcze ciepłego pojemnika z węglem. Reiny jednak nigdzie nie było widać.

- Miała niedługo przyjść - powiedział Benjamin. - Chciała tylko, zdaje się, z kimś spotkać...

- Z kimże to? - podskoczyła Ingalill, aż jej twarz znalazła się tuż przy twarzy Benjamina.

- Z nikim takim, nie przejmuj się - wesoło odparł chłopiec.

Pokrywa śnieżna nie była na tyle gruba, by trzewiki Reiny nie zdołały osłonić jej stóp. Wielkimi krokami pokonała splątane kolczaste krzaki i odnalazła to miejsce. Nieduży kopczyk. Drzewa, które z roku na rok rosły coraz wyższe i coraz szerzej rozkładały korony. Stały teraz nagie i martwe, nie mogąc skryć jej przed niczym wzrokiem, lecz ktoś, kto chciałby ją teraz zobaczyć, musiałby okrążyć mur cmentarza i zejść od strony, z której nie było furtki. Nie przypuszczała, by ktokolwiek zawracał sobie tym głowę w takim dniu jak dzisiejszy. Ludzie spieszyli się do domów, do zastawionych suto stołów. Większość na pewno wybrała się na nabożeństwo do kościoła o świcie, zupełnie na czczo, nie mając w ustach nawet łyka wody, a niektórzy zapewne powinni jeszcze skończyć obrządek w oborze.

Usiadła na ziemi, schowana za ciemnymi zaroślami, wyciągnęła ręce z mufki i zanurzyła je w śniegu. Odkopła szarozółtą martwą trawę. Natrafiła też na nieliczne ślady różowych płatków, które mróz zachował od jesieni.

Tutaj, w tej nie poświęconej ziemi, spoczywał jej dziad, którego nigdy nie poznała. Matka opowiadała jej kiedyś o Reinie, o tym, jak sama, będąc młodą dziewczyną,

przychodziła na jego grób w Boże Narodzenie i siała ziarenka dzikiej róży, które dostała od Marji. Wykiełkowały wreszcie. Okoliczne krzaki były teraz tak gęste, że nikt już nie drżał na widok tej z pozoru dzikiej rośliny, większość ludzi zapomniała też zapewne i o samym grobie. Dla tych obdarzonych poczuciem sprawiedliwości nie było to zapewne miłe wspomnienie, Rein został bowiem zlinchowany bez wyroku za morderstwo popełnione przez kogoś innego. Czy Ravięgo wciąż to dręczy?

Nie wiedziała. Była to jedna z wielu rzeczy, o których nigdy z nim nie rozmawiała wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Miała zaledwie niecałe dziesięć lat, kiedy zniknął, i była bardzo, bardzo mała. Teraz czuła się już stara i mądra.

Lecz o takie mnóstwo rzeczy chciała go jeszcze spytać.

Kłęcząca w tym samym miejscu jeszcze przez chwilę, nie mając pewności, czy nie powinna odmówić modlitwy. Może należało przynieść ze sobą świeczkę? Teraz, w środku dnia, nikt nie zwróciłby uwagi na mały płomyk pełgający poza murem.

Nie.

Rein nie potrzebował światła. A ludzie jeszcze by pomyśleli, że jest bardziej szalona, niż im się wydaje, gdyby tak zaczęła marnować kosztowne świece w blasku dnia.

Reina podniosła się z wahaniem.

Nazbierała zmrożonych różanych płatków, topniały w ciepłe jej dłoni. Zapachniały zgnilizną, lepkie rozpadały jej się w palcach, rzuciła je na śnieg.

Nie odmówiła modlitwy.

Wypowiedziała tylko nieme życzenie, powtarzane chyba po raz tysięczny.

Gdzieś dalej nad fiordem rozległo się bicie kościelnego dzwonu, a sanie pastora przemknęły już koło Dosen.

Wróciła szybko po własnych śladach i wemknęła się z powrotem w obręb murów. Dziedziniec kościoła niemal opustoszał, ludzie zebrali się pewnie bądź tu, na plebanii, bądź w Dosen. Wszystko zresztą jedno, skoro, jak twierdziły cięte języki, nowego pastora boskie sprawy zajmowały w takim samym stopniu, co karczmarza.

Obiegła kościół. Zobaczyła, że konie niecierpliwie grzebią w śniegu, a drzwi do powozu są zamknięte. Woźnica wyglądał na zagniewanego. Na pewno czekają właśnie na nią. Przygryzła wargę, ale zmusiła się do wesołego uśmiechu.

- Ach, przykro mi, że was zatrzymałam, ale spotkałam Ane i Sigrid, zapomniałam o całym świecie...

- Nie przejmuj się, Reino, rozumiemy. Na pewno chwila rozmowy ze starymi przyjaciółkami dobrze ci zrobiła. Obie poszły już na służbę? W Hafslø, czyż nie tak?

Reina roztargniona kiwnęła tylko głową.

Paznokciami zadrapała cieniutką szarą powłokę, która pokryła małe okienka powozu.

Na zewnątrz wszyscy ludzie zmienili się w szarobiałe cienie.

Dlaczego biegła tak prędko? Czyżby dostrzegła go, jak stał przy załomie muru i się gapił? Czy to prawda, że jest szalona i że potrafi odczytać myśli innych ludzi?

Nie wiedział. Wiedział jedynie, że za każdym razem, gdy gdzieś niedaleko przemknęła, po plecach przechodziły mu ciarki i nie mógł swobodnie oddychać.

Dlaczego więc za nią poszedł? Czyżby w głębi ducha miał jednak zamiar z nią porozmawiać?

Nie, już sama myśl, że znów spojrzy jej w twarz, sprawiała, że zaczynał drżeć. Bał się, i to nie bez powodu, bo przecież w taki czy inny sposób był jej coś winien, jeszcze od tamtego czasu.

Ona ocaliła mu życie, on odmówił odebrania życia jej.

Oczywiście byli wtedy tylko dziećmi, na pewno roześmiałyby mu się w twarz, gdyby wspomniał teraz o tamtej dawnej historii. Być może nawet by się rozzłościła. „Naprawdę wciąż myślisz o takich dziecinnych żartach? Arillu Storlendet, jesteś doprawdy jeszcze głupszy, niż wyobraża to sobie moja matka!” Nie.

Poczuł, że zęby zgrzytają o siebie.

Gdybyż tylko zdołał zapomnieć o całej tej sprawie! To przecież jedynie niemądry epizod pomiędzy parą zwariowanych dzieciaków. On sam wówczas nie bardzo potrafił dać sobie radę ze sobą, utratę ojca odczuł bardzo dotkliwie. Teraz wszystko się odmieniło, Magnus Storlendet był starym zasuszonym człowiekiem, niezdolnym do wypowiedzenia bodaj jednej rozumnej myśli, która ocaliłaby go od dożywocia w przytułku dla wariatów. Miał tam dobrą opiekę, lecz Arill zaglądał do niego coraz rzadziej. Stryj zajął miejsce Magnusa, stopniowo również jako ojca. No i Ida - lepszej matki nikt nie mógłby chyba pragnąć. Przez cały czas niestrudzenie pracowała, nie oszczędzała się w niczym, byle tylko przydać blasku wszystkiemu temu, co pewnego dnia miało zostać własnością Arilla.

Ta Reina... Kiedyś byli przyjaciółmi. Zanim wszystko to się stało. Zanim Magnus srebrną kulką zastrzelił Marję Oppdal. Zanim oszalał. Zanim ojciec Reiny zniknął... Dużo wcześniej.

Jeszcze wtedy, gdy ona była zwyczajną dziewczynką.

Nie, nie zwyczajną. Zwyczajna nie była nigdy. Gdyby nie zasługa jego dobrych nauczycieli, Arill uwierzyłby w historie opowiadane przez wioskowe staruchy, twierdzące, że Reina to czarownica.

Biegła w dół zbocza, obserwował ją ukryty za pniem dęba.

Wyciągnęła się w górę, urosła, przypuszczał, że sięgałaby mu teraz do ramion.

Żuł w ustach pasek przytrzymujący czapkę na głowie. Poczł, jak zęby zagłębiają się w rzemień. Dlaczego tak przyciągała jego wzrok za każdym razem, gdy pokazywała się w wiosce? Co sprawiało, że tak świetnie pamiętał każde słowo, które ze sobą zamienili, każde muśnięcie jej dłoni?

Tak, tak, dobrze wiedział, co się dzieje. Ona miała nad nim jakąś moc. Poza tym każdy porządny człowiek podpisałby się pod stwierdzeniem, że jeśli nie spłaciło się honorowego długu, to pozostaje się w jego okowach tak długo, jak długo człowiek się nie rozliczy.

Gdyby tylko poślizgnęła się i przewróciła, przebiegając obok niego, to mógłby skoczyć do niej i uratować, nie dopuścić, by rozbiła sobie głowę o zmrożone kamienie.

Nie, to za proste.

Jeśli jednak jest tak, jak powiadali ludzie, że ona ma ledwie połowę rozumu, to prędzej czy później zapłacze się w coś, przed czym on będzie mógł ją ocalić.

Wtedy będą kwita.

Idąc, czuł, jak nóż - nowy, z rękojeścią wykładaną macicą perłową i srebrem - obija się o biodro.

Ida i stryj Gjert zaprosili mnóstwo gości na Storlendet po świątecznym nabożeństwie, garnki pełne białej owsianki na pewno perkotały na ogniu przez wszystkie te godziny, które spędzili w kościele. Arill poczył, że jest głodny. Żółte oko roztopionego masła w owsiance na pewno zdoła zapełnić tkwiącą w nim pustkę.

- Byłaś na grobie, prawda? Na grobie Reina? Reina zaskoczona popatrzyła na matkę. Czyżby Johanna mimo wszystko widziała, jak przekrada się wokół kościoła i przechodzi za mur?

- Wiem, wiem. Przypomniało mi się, że opowiadałam ci o tym, co sama robiłam. Chyba będąc mniej więcej w twoim wieku, tak mi się wydaje. Ogarniał mnie od tego taki niezwykły nastrój, to było takie romantyczne. Johanna zaśmiała się i pogładziła córkę po policzku.

- Gdy się jest młodym, chętnie szuka się takich nastrojów, nie ma w tym niczego złego, moja mała. Ale ty, ty przecież nie znałaś Reina, właściwie Marji także nie, dlaczego więc?

Reina przelknęła ślinę.

- Ja... pomyślałam... że tatusiowi to by się spodobało. Johanna zamyślona pokiwała

głową.

- Tak, być może tak. Nie wiem, oni dwaj bardzo się od siebie różnili i czasami wydawało mi się, że Ravi nienawidził swojego ojca. Wiele, musiał od niego znieść. Wydaje mi się, że mógłby być inny, gdyby nie Rein...

- Inny? To chyba znaczy, że istnieją wszelkie powody, by dziękować Reinowi, nieprawdaż?

Johanna spuściła wzrok i splotła palce obu dłoni. Reinie wydało się, że matka się zaczerwieniła.

- Owszem - powiedziała wreszcie cicho Johanna. - Chyba właściwie masz rację.

Znów skupiły się na pracy. Smarowały placki masłem, posypywały cukrem i odrobiną drogiego cynamonu. Aurora przywiozła ze sobą całe mnóstwo pudełek z przyprawami, były to jednak głównie smaki i aromaty, do jakich tutejsi ludzie nie przywykli. Cynamon natomiast nauczyli się cenić, podobnie jak cukier i dobry tytoń.

- Jest jedna rzecz, Reino... Córka obróciła się w drzwiach. Wnosiła właśnie wielką, toczoną z drewna misę z owsianką. Johanna lubiła tę misę o wiele bardziej niż te elegantsze, kamionkowe.

- Widziałam, jak Ingalill bezwstydnie się dzisiaj zachowywała, kokietowała tego chłopca ze Storlandet. Musisz mieć na nią oko trzeciego dnia świąt na zabawie u Gyrid i Nilsa, inaczej będę się bała ją puścić. Reina wolno pokiwała głową.

A więc matka uważa, że Arill Storlandet też tam przyjdzie? Ona o tym nie pomyślała. Poczowała, jak ciepło owsianki przenika jej w dłonie.

- Dobrze, mamo - odparła pogodnie. - Przypilnuję Ingalill. Ale chyba Bendik i Helena także się tam wybierają? No i ty sama, nie zamierzasz chyba...

- Nie sędzę - odparła Johanna, rozwiązując fartuch. - Tyle tutaj roboty, lepiej, żeby dziewczyny trochę się zabawiły. Wiem, że mają ochotę. Nawet stara Maren drepcze i nuci pod nosem dawne piosenki do tańca, gdy tylko wspomni się o świątecznej zabawie.

Reina kiwnęła głową i obdarzyła matkę krótkim uśmiechem. Potem poszła zanieść owsiankę. Piwo już stało na stole w dzbanach schłodzonych w piwnicy.

Dzisiaj w pierwszej kolejności nalano parobkom i służącym, w podzięcie za całoroczną pracę. Zwyczajem obowiązującym na Vildegard było dodatkowe uczczenie służby w czasie świąt i Johanna zawsze szczerze rozdzielała wśród nich zarówno umówioną roczną zapłatę, której termin przypadał około Nowego Roku, jak i dodatkowe podarki w postaci zwojów materiału, gotowych już koszul czy też pary dobrych trzewików. Tego roku Reina zobaczyła, że matka wywiesza kilka par spodni i kurtek należących do ojca. Mieli je dostać parobcy.

Benjamin odziedziczył po nim najlepsze ubranie, ale roboczy ubiór nie był mu do niczego przydatny.

Zapieкло ją, gdy zobaczyła, jak najmłodszy z parobków naciąga przez głowę pobrudzoną farbami koszulę ojca i uśmiecha się przy tym zachwycony.

- Ona nic a nic nie gryzie! Będę ją nosił kaździuteńkiego dnia, gospodyni! Wokół stołu gruchnął śmiech. Reina naląa jeszcze jedną kolejkę i wsunęła się na swoje miejsce pomiędzy Benjamina i Astrid. Ciemnoskóra dama przeciągnęła się zadowolona i popiła piwa z kubka.

- Pomyśleć tylko, że kiedyś nie lubiłam tego napitku! I że tak bardzo brakowało mi tamtego straszliwie słodkiego sfermentowanego soku, który zwykle piliśmy w Boże Narodzenie! A przecież to dopiero jest prawdziwy przysmak! Gratuluję ci, Bendiku, to piwo naprawdę ci się udało.

Bendik z wesołym uśmiechem zerknął na żonę.

- Sądzę, że powinnaś raczej pochwalić Helenę, ona nie ucieka od męskiej roboty nawet w warzelni!

Parobcy uśmiechnęli się, za sprawą mocnego piwa bardziej szczyrzyli zęby, niż to sobie zamierzali. Jeden z nich zapewne wciąż pamiętał ów pierwszy okres pobytu Heleny na Vildegard. Często wówczas odwiedzała czeladną. Johanny nie zdziwiłoby, gdyby zabawił pozostałych mężczyzn tą historią, gdy posiłek dobiegnie końca i położą się, by trochę odpocząć. Wigilia to dzień odpoczynku. Parobcy mało mieli zajęć, wyłączwszy oporządzenie koni. Dziewczyny zatrudnione do pracy w domu miały o wiele więcej roboty, wieczorem bowiem rodzina miała się zebrać na wieczerzę przy odświętnie zastawionym stole w Zamku Marji, na którym stanie nie tylko owsianka.

Będzie to jednak cudowny wieczór, tak samo cudowny jak wszystkie inne Wigilie.

Johanna będzie czytać, a potem zaśpiewają.

Maren zatęskni być może za muzyką Amelii.

Johanna od dawna nie grała, instrument stał osłonięty w stodole, na pewno zimno i wilgoć już zdążyły go uszkodzić.

Dziwne, że takie myśli nachodzą ją akurat w tej chwili, gdy szum wesołych rozmów dociera do uszu, a wszyscy najbliżsi siedzą wokół niej.

Ale takie już bywają święta.

To, co smutne, staje się jeszcze smutniejsze, ale i to, co dobre, jeszcze lepsze.

Johanna rozejrzała się w koło, pogodne twarze otaczały stół. Nawet Reina śmiała się głośno, gdy Bendik opowiadał o tym, jak to ostatnio pastor przepyttywał bliźniaków. Obydwa

łobuziaki siedziały zdumiewająco porządnie w dolnym krańcu stołu wraz z Vetlebrorem i służącymi. Synowie Heleny i Bendika także zaczęli już dorastać.

Westchnęła, zjadła jeszcze kilka łyżek. Owsianka była słodka, płatki przysłane z Kopenhagi miały łagodny, cudowny smak, były o wiele lepsze od tych, które zwykle namaczali przez trzy przedświąteczne noce i gotowali w śmietanie, by dały się zjeść.

Astrid nastawiła miskę, chciała jeszcze.

Zrobiła się naprawdę okrągła. Reina wiedziała, że jest jej tu dobrze. Z początku niejednen miał to i owo do powiedzenia o tej obcej ciemnoskórej kobiecie. Niektórzy przybywali do ich zagrody tylko po to, by ujrzeć takiego niesamowitego człowieka o brunatnej skórze. Z czasem jednak historie pełne głupstw na jej temat ucichły, szczególnie po tym, jak zaczęła się pojawiać na zgromadzeniach modlitewnych i działać w kole misyjnym, gdzie opowiadała historie z pól, na których pracowali czarni.

Ludzie zrozumieli, że Astrid była kimś w rodzaju czarnoskórego ucznia Jezusa wśród dzikich, i niewiele czasu upłynęło, a zaczęto ją traktować jak honorowego członka społeczności i powierzono jej nawet odpowiedzialność za doroczną zbiórkę na rzecz szerzenia Ewangelii wśród pogan.

Szkoda, że nie słyszeli, jak przeklina, ogarnięta zaciekłym gniewem, wtrącając od czasu do czasu jakieś obce słowa, których Johanna na swoje szczęście nie rozumiała. Albo gdy wybierała się na te swoje wyprawy do Bergen i wracała z nich do domu z miną kociaka, który najadł się słodkiej śmietanki.

Ostatnio, w październiku, w pewien późny wieczór nalała Johannie szklaneczkę wina i wbiła w nią ciemne oczy.

- Siostró, potrzebujesz mężczyzny. Johanna roześmiała się tylko.

- Mężczyzny? Gdzieżbym ja znalazła czas dla mężczyzny? Ręce mam przecież pełne roboty, sama widzisz, ile wolnych chwil mi zostaje. Mężczyzna... Chyba oszalałaś, Astrid!

Ale Astrid zamachała rękami.

- Wcale nie myślę o mężu, głuptasie, tylko o mężczyźnie do radości i do rozkoszy, na kilka dni. Tak, byś mogła nabrać trochę sił. Pojedź ze mną do Bergen, znam tam kogoś, kto...

Johanna zostawiła wtedy Astrid razem z jej winem. Przyjaciółka zapewne nieźle sobie popiła jeszcze przed jej przyjściem. Cóż to za mowa?

Nie, niech wiosną znów jedzie sama. Zwykle już w kwietniu zaczynała niecierpliwie przebierać nogami. Potem przez pewien czas nie mogła przejść obojętnie obok lustra w hallu. Wkrótce pojawiały się wymyślne kapelusze, ganiała także do kupca i zwykle wracała od niego rozgniewana, narzekając, że nie można tu dostać absolutnie nic z tego, co najbardziej

potrzebne.

Potem wyjeżdżała. Zabierała się choćby z szyprem łodzi rybackiej, jeśli nie nadarzył się akurat inny statek. Pod tym względem Astrid nie wybrzydzała, a mimo budzących prawdziwe przerażenie pomysłów było w niej coś, co nie pozwalało Johannie nazwać jej prostytutką. Astrid stała się dla niej siostrą.

Ogromnie różniącą się od niej samej siostrą, wobec której Johanna mimo wszystko odczuwała wielką wdzięczność. Astrid i Aurora wniosły z powrotem życie na ten dwór, przybyły w jakże trudnym okresie po śmierci Marji. A kiedy Ravi zniknął, dbały o to, by być przy Johannie nawet wtedy, gdy ona sama najbardziej pragnęła gdzieś się schować i tam zginąć.

Być może to one ją uratowały.

A już na pewno mogła im dziękować za to, że Reina z czasem doszła do siebie. Aurora działała na Reinę niezwykle kojąco. Nie tylko zresztą na nią, na wszystkich. Zdaniem Johanny w tej ciemnoskórej dziewczynie tkwił jakiś niezwykle spokojny i trudno było się doszukać w niej śladów pozostawionych przez dramatyczne dzieciństwo. Była też piękna, jej twarz zachwycała regularnymi rysami, na pełnych ustach w kształcie serca ukazywał się często nieśmiały uśmiech. Miała ciemne oczy, mocno piwne, a rzęsy długie i pięknie wywiniete. Włosy spływające na plecy spod panieńskiej chustki były ciemne i błyszczące jak kamienie, które nosiła na szyi, krwiste kamienie, połyskliwe czarne ze srebrnym poblaskiem.

Już miała zalotników, wyglądała bowiem na starszą, aniżeli wskazywał to jej wiek.

Astrid odprawiała ich, parskając władczo.

Teraz jednak nadeszło Boże Narodzenie.

A po spokojnym uśmiechu Aurory Johanna zgadywała, że coś się dzieje.

Być może na świątecznej zabawie spotka się z kimś szczególnym. Może widziała go już dzisiaj w kościele. Możliwe, że za jakieś dwa, trzy lata w Zamku Marji będą wyprawiać wesele.

Może nawet wcześniej.

O, tak, wiele dobrego ich czeka.

Nie ma powodu, by w taki wieczór rozpamiętywać smutki.

Służący przynieśli pozdrowienia dla swojej gospodyni. Stało się to również swego rodzaju zwyczajem, czego ludzie w wiosce nie omieszkali nie zauważyć. Na Vildegard służba wręczała podarki państwu! Podobno w zeszłym roku jeden ze starych parobków podarował gospodyni naprawdę piękny i cenny kapciuch na tytoń, na wypadek gdyby zdecydowała się wskrzesić obyczaje babki i zdjąć ze ściany srebrną fajkę.

W tym roku ten sam mężczyzna z zarumienionymi policzkami wręczył Johannie nieduży przedmiot z cyny, zrobił go jego brat. Był to kałamarz.

Jeden za drugim występowali naprzód, nagle wśród takiej powagi otrzeźwieli. Johanna zaś dziękowała. Za haftowaną' krajkę, za kosz wypełniony niebieską włóczką, za komplet nowych warząchw, wyglansowanych i natartych olejem, prawdziwą ozdobę kuchni. Najmłodsza ze służących znalazła piękny kamyk, w blasku świec połyskiwał i lśnił, lecz widać nie uważała tego za wielki podarek, bo ze spuszczonej oczami położyła go przed Johanna.

- Są w nim kryształ, z gór. Moja babka zawsze powtarzała, że kryształ to anielskie łzy. To wcale nie znaczy, że aniołowie płaczą przez panią, pani Johanno, raczej nie posiadają się z radości, widząc całe to dobro, jakie pani czyni...

Johanna uśmiechnęła się lekko. Pogłaskała dziewczynkę po głowie i zapewniła, że prezent naprawdę jest piękny. Zajmie poczesne miejsce wśród kubków nad piecem w salce dla chorych.

Potem zrobiło się cicho, jedynie lekkie szuranie nóg od krzeseł i kilka głośniejszych trzasków z paleniska przerwały ciszę, wcale jej jednak przy tym nie zakłócając. Teraz w przód wystąpił Benjamin. Stał plecami do ognia, twarz oświetlała mu lampa. W rękach trzymał nieduży woreczek i chytrze zerkał na Johannę.

- Ja też mam dla was kilka drobiazgów. Chciałem pokazać, czego się w tym roku nauczyłem, matko.

Johanna patrzyła, jak syn wsuwa szczupłe dłonie do woreczka, wyłonił się z niego jakiś drobny przedmiot. Zmrużyła oczy, trudno było dojrzeć, co to takiego.

Benjamin włożył jej podarek do ręki.

- Wesółych świąt, mamó. Johanna popatrzyła w dół. To była figurka kobiety. Z początku Johannie znów przyszli na myśl aniołowie, potem jednak zorientowała się, że to maluteńka figura dziobowa wyrzeźbiona z wielką starannością tak, by pasowała do maleńkiej łodzi. Długie włosy kobiety powiewały z tyłu, stała z ramionami na wpół uniesionymi i wyciągniętymi przed siebie, jak gdyby z wielką radością i zapałem chciała objąć wszystko, co się przed nią roztaczało.

Delikatne rysy twarzy były ledwie zaznaczone, choć maleńkie nacięcia tworzące suknię kobiety świadczyły o tym, że Benjamin doskonale sobie radzi z najbardziej nawet skomplikowanymi pracami. Strój kobiety, będący właściwie jednym dużym kawałkiem materiału spowijającym jej ciało, miał załamania i fałdy przedstawione jak prawdziwe. Cała figurka była autentycznym dziełem sztuki.

- Dziękuję - szepnęła Johanna. - Dziękuję ci bardzo, synku. Naprawdę z ciebie mistrz.

Benjamin z powagą skinął głową, ale oczy, gdy usłyszał pochwałę, rozbłyły mu jak u dziecka. Obiegł teraz stół, kierując się do siostry.

- Reina, to dla ciebie! Najbardziej chciałem ci ofiarować coś ze srebra, ale wiesz przecież, że nie mam pieniędzy. Wyrzeźbiłem więc to...

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu aż jęknęli, gdy Reina podniosła prezent na wysokość piersi. To była brosza, duży piękny kwiat, delikatnie ażurowy i kruchy, otoczony liśćmi akantu. Ozdoba była niezwyklej urody niczym wspaniały okaz dzieła złotnika, lecz została wyrzeźbiona z drewna.

- To drzewo różane - powiedział cicho Benjamin. Reina wstała i uściskała go z całej siły.

Przeszedł dalej. Bendik dostał niedużą szkatułkę do przechowywania papierów. Vetlebror spał, ale Johanna schowała konika z powiewającą grzywą, którego Benjamin wyrzeźbił dla brata. Dla Heleny wydrążył kawałek drewna, robiąc z niego rurkę, zakończoną pięknie zdobionym drewnianym korkiem. Jego zdaniem mogła w nim przechowywać druty do robótek, a gdy ją otworzyła, okazało się, że w środku leży także cały pęczek cienkich i giętkich patyczków. Były tak doskonale wygładzone, że już zaczęła się cieszyć na chwilę, gdy poczuje prześlizgującą się po nich wełnę.

Ingalill czekała w napięciu. Benjamin, lekko kiwając głową, wręczył jej drobny przedmiot. Między dwie rybki gryzące się za ogony wmontował maleńkie lusterko.

- Prześliczne! - Ingalill uściskała go impulsywnie. - Bardzo dziękuję, Benjaminie. Naprawdę jesteś zdolny. I w dodatku się nie zaciąłeś, dzięki Bogu.

Johanna z trudem przełknęła ślinę.

Wszystkie te piękne rzeczy... Stały jej przed oczami godziny, które spędził, trzymając w ręku ostre dłuto, noże i piły. Każdy z tych pięknych podarków mógł dla niego oznaczać śmierć, wystarczył jeden nieostrożny ruch noża, przecięta żyła i mógł umrzeć.

Taka była ta choroba, tyle już o niej wiedzieli. Przeniknął ją dreszcz. Zerknęła na uśpionego młodszego synka. Tak bardzo pobladł. Teraz, zimą, często bywał blady. Na szczęście spał spokojnie w objęciach Astrid. I choć kiedyś musiała ustąpić gorącym naleganiom Benjamin, to tym razem będzie już umiała skierować małego Vetlego w inną stronę. Musi znaleźć coś mniej niebezpiecznego dla osoby nękanej takimi dolegliwościami jak on. Może Vetle zostanie adwokatem albo pastorem, jeśli sam tego zechce. Gospodarzem nie będzie nigdy, a już z całą pewnością nie żołnierzem.

Benjamin dalej rozdawał prezenty. Astrid i Aurora dostały pudełeczka do

przechowywania igieł z maleńkimi przegródkami, zrobione z drewna cienkiego niemal jak papier.

Wreszcie stanął z pustym woreczkiem, ale z rozpromienioną twarzą. Wszystkie miłe słowa, jakie usłyszał, były więcej niż dostateczną zapłatą za cały trud. Wiedział, że za zaskoczenie, jakie ujrzał w oczach rodziny, nie może żywić urazy. Oni zawsze w niego wierzyli, radowało go jednak ich zdumienie, gdy zobaczyli, jaki naprawdę ma talent. Usiadł przy matce.

- Rozumiesz teraz, mamó, że warto było? Johanna go objęła.

- Tak, synku, zawsze rozumiałam. Ale wiesz dobrze, że się boję.

- Najgorsze już minęło - oświadczył dorośle. - Nauczyłem się prowadzić nóż. Nic już mi się nie stanie, mamó.

Na krótką sekundę przytuliła policzek do jego policzka. Chciała, by poczuł, że oczy jej zwilgotniały.

Benjamin wiedział. Johanna tak bardzo się bała, że utraci któreś z nich. Odkąd ojciec zginął... Cóż, teraz nie było już nadziei. Nawet Reina to rozumiała i przestała pogrążona w myślach stawiać na stole o jeden talerz za dużo.

Leniwą ciszę po posiłku i rozdawaniu podarków przerwała Ingalill:

- Chyba powiem już dobranoc - rzekła uprzejmie, kiwając głową Bendikowi i Johannie. - Chciałabym być wypoczęta na jutro.

Johanna odpowiedziała na jej pożegnanie, lecz w głębi ducha pomyślała, że zapewne jest ktoś, o kim dziewczyna pragnie choć przez chwilę pomarzyć przed snem. A może po prostu liczyła się z tym, że jutrzejszy dzień będzie pełen roboty, podobnie jak dzień następny, lepiej więc zebrać siły na tańce i zabawę trzeciego dnia, teraz gdy jeszcze można.

Ingalill ucałowała ojczyrna, Johanna zauważyła, że Bendik cofnął się trochę pod naporem sterczących piersi, które do niego przycisnęła.

Ingalill była już bardziej niż na wpół dorosła. Zachowywała się jednak nie jak dostojna młoda kobieta, niekiedy potrafiła zareagować jak niegrzeczne dziecko, krzykiem i tupaniem nogami.

Cóż, niech Helena się o to martwi. I na pewno tak właśnie jest, pomyślała Johanna na widok rudowłosej pospiesznie wstającej od stołu, by odprowadzić córkę do pokoju, w którym spali wszyscy troje. Może zamierzała rozmówić się z Ingalill co do jej zachowania na dziedzińcu kościoła.

Prawdopodobnie jednak nie.

Johanna widziała, że w oczach Heleny odbija się poczucie winy.

Westchnęła ciężiej, aniżeli zamierzała. Bendik ponad stołem popatrzył jej w oczy.

- Chyba wszystkim nam przyda się odpoczynek. Nie trzeba wszak czuwać nad błogosławieństwem bożonarodzeniowej nocy...

Udali się na spoczynek. Astrid, Emmi, Aurora i Diana owinęły się wielkimi pelerynami i parobek z latarnią wyprowadził je w grudniową noc. Dziewczyny służące prędko posprzątały ze stołu.

Nic więcej tego wieczoru nie zamierzano robić. Johanna jednak zwlekała, aż wreszcie została sama i siedziała zapatrzona w palące się spokojnym płomieniem świąteczne świece. Zgodnie z dawną tradycją powinno się zapalać jedną świecę dla każdego z domowników. Powinny to być dobre świece, bez pęcherzyków powietrza, supłów na knocie czy też uszkodzeń wyrządzonych przez wodę, tak by mogły palić się aż do rana, nie zgasnąć, wróżąc tym samym komukolwiek nieszczęście.

Czy świeca Ravięgo w ostatnie święta, które spędził w domu, zgasła?

Nie, taką rzecz by pamiętała. Stare przesady były oczywiście jedynie niemądrymi wymysłami, lecz gdyby się tak stało, na pewno by o tym nie zapomniała.

W tym roku nie zapalili świecey dla niego. Nie palili jej od tamtych pierwszych świąt, gdy zniknął, gdy wszystko jeszcze było takie nowe, a nadzieja wciąż żywa.

Patrzyła, jak płomień chwieją się trochę w przeciagu, gdy ostatnia ze służących zatrzasnęła drzwi do kuchni i zasunęła antabę wejściowych drzwi, zanim wbiegła schodami na górę.

Johanna złożyła dłonie na jednym z płomieni i poczuła pieczenie ognia na skórze.

Nie było jej zimno, choć przenikał ją dojmujący chłód.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Johanna, obudziwszy się, instynktownie wyczuła, że coś jest nie tak. Vetle oddychał z trudem, jakoś dziwnie, i nawet przez grube okrycie, w które go owinęła, wyczuwała bijący od niego żar.

Miał gorączkę.

Wychwyciła w jego piersiach szmery.

Niemo krzyknęła na samą siebie: Nie powinnaś była tak długo pozwalać mu marznąć w powozie. Należało od razu jechać, Reina sama trafiłaby do domu. Ach, Boże, nie pozwól, żeby zachorował!

Zbudziła go stanowczym poklepywaniem w policzek i zaczęła spokojnie przemawiać:

- Vetle, kochany, gorąco ci? Chcesz coś do picia? Zaraz przyniosę ci słodkiego mleka albo tego soku z wiśni, który tak lubisz. Są święta, wiesz...

Dziecko tylko coś mruknęło i wywinęło jej się z rąk.

Johanna wstała, wyszła do sali dla chorych, w której zapach świątecznego obiadu z poprzedniego wieczoru wciąż jeszcze tkwił w powietrzu. Wielki podłużny stół wyglądał teraz jak podłoga do tańca, wyszorowany do czysta i nagi, gotów, by nakryto go do kolejnego posiłku. Biały obrus zawieszono przy drzwiach, żeby rano nie poplamyły go dziecinne rączki. Vetle lubił czasami o poranku bawić się sam, a przecież jeszcze nie tak dawno temu, postanowiwszy pomóc w przygotowaniach do świąt, wysmarował sadzą połowę kuchennych sprzętów, naśladując służącą, która czerniła ściany w czeladnej.

Johanna poczuła chłód od podłogi. Pod drzwiami wpadał kąsający przeciąg i skubał jej okryte skarpetkami stopy. Krajem spódnicy zamiatała podłogę. Przeszła prosto do zamkniętej na klucz szafki, w której przechowywała najdroższe, a zarazem najbardziej niebezpieczne medykamenty, klucz do niej zwykle nosiła w pęku wraz z innymi domowymi kluczami. Na szczęście miała dobre lekarstwo. Ostatnia przesyłka od przyjaciela Remmermanna zawierała sporo nowinek zaopatrzonych w staranne objaśnienia, dotyczące ich użytkowania. Johanna bardzo była za to wdzięczna profesorowi. Przypomniała sobie chłopca, którego wyleczyła z tej samej choroby zaledwie przed paroma tygodniami. Wszystko na pewno będzie dobrze. Ach, oczywiście, na pewno wszystko będzie dobrze!

Rozmieszała krople w słodkim soku z wiśni i podgrzała napój na uśpionym żarze. Ostrożnie zaniósła go z powrotem do alkowy, zostawiając drzwi do sali chorych otwarte. Uważała, że świeże powietrze także nie zaszkodzi, kiedy choroba zalega w piersi.

Chłopczyk wypił przez sen, zapłakał, kiedy gorzki smak lekarstwa zagłuszył słodycz owoców. Zaczął wymachiwać rączką, trafił w kubek, rozlewając jego zawartość na nową nocną koszulę matki. Na spódnicy, którą wciągnęła przez głowę, również pojawiły się duże ciemnoczerwone plamy. Johanna przełknęła ślinę, odstawiła kubek z resztką napoju i wzięła synka w ramiona.

- Spij sobie, głupia byłam, że cię zbudziłam. Rano na pewno będziesz się czuł lepiej.

Chłopczyk popłakiwał trochę, kwilił jak pisklę. Teraz, gdy światło dzienne zaczęło już przekradać się przez szpary w zasłonach, widziała cienkie żyłki na jego powiekach.

Przygarnęła go mocniej do siebie i przytuliła głowę do główki synka.

- Panie Boże, nie odbieraj mi go teraz! Pomóż mi wierzyć, że on również nie zostanie mi odebrany. Ty bowiem wiesz, Panie, że takiej straty bym nie zniosła...

Reina i Ingalill spały bezwstydnie długo i zeszły na dół dopiero wtedy, gdy Johanna zawołała je po raz trzeci. Posprzątano już po śniadaniu i na stole zostało jedynie kilka nasmarowanych placków i parę łyków słodkiego piwa. Johanna zmarszczyła nos, lecz bawiło ją również, że obie dziewczyny tego poranka były w promiennym humorze. Śmiały się nawet ze swoich żarcików i podrwiwały z siebie w bardzo dobroduszny sposób.

Były siostrami, przynajmniej przyrodnymi, ale Reina nie raz z goryczą odmawiała jakiegokolwiek pokrewieństwa, które łączyłoby ją z tą „wstrętną dziewczuchą”.

Johanna rozumiała Reinę, chociaż niekiedy łagodnie musiała prosić, żeby wzięła się w garść. Ingalill niełatwo polubić. Można się było co najwyżej nad nią litować albo zastanawiać, jak to możliwe, że mroczne strony charakteru Heleny w taki sposób odziedziczyła córka. Ingalill wszak nigdy nie widziała, co kiedyś wyprawiała jej matka. Można było odnieść wrażenie, że oto narodził się zupełnie inny człowiek, odkąd Helena poślubiła ojca Johanny, a może stało się to już wcześniej? On musiał dostrzec to prędzej niż inni, a może też to właśnie on ją odmienił?

Johanna nie wątpiła, że tych dwoje zapewniło Ingalill jak najlepsze wychowanie. Jak to więc możliwe, by dziewczyna wyrosła na tak nieznośną osobę? Zawsze była bezczelna i hałaśliwa, a tego słodkiego uśmiešku, który wykorzystywała, by wyżebrać dla siebie wszystko, od uwagi ojca poczynając, a kończąc na przysmakach, Johanna zawsze nienawidziła.

Ale dzisiaj Ingalill była po prostu wesoła. Nie prawiła złościwości, a w jej słowach nie kryła się drwina. Grzecznie podziękowała za posiłek i nie skarżyła się, chociaż Reina wzięła ostatni placek. Nawet ubrała się porządnie, nie płatała się po domu w nocnej koszuli jak w inne świąteczne poranki. Pogładziła też palcami przepiękną drewnianą broszkę Reiny i

pochwaliła ją bez wyczuwalnej zazdrości.

Tak, widać świąteczny spokój zapanował również na Vildegard. Skoro te dwie awanturnice zawarły pokój, to wszystko jest możliwe.

Aurora jak zwykle była uśmiechnięta. Ubrana w jasno - czerwony jedwab, z pięknie wyszczotkowanymi włosami, siedziała niczym młodzianka baronowa, delikatnie zwilżając wargi czubkiem języka z takim wdziękiem, jak robi to kociak. Zawsze odczesywała ciemne włosy mocno z twarzy, ale nad czołem skręcały się w puszyste loki jak u dziecka. Wyglądała jednak bardzo dorośle, miała głębokie ciemne oczy, które tak wiele wyrażały już przy pierwszym spojrzeniu. Figury nie miała pełnej, o wyraźnych kształtach, jak zapowiadała się Ingalill, ale też nie była szczupła i zwinna jak Reina. Sprawiała wrażenie opanowanej i spokojnej, a drobne piersi wypychały stanik sukni w sposób nie przyciągający uwagi każdego, kto tylko na nią spojrzał.

Aurora jest piękna, stwierdziła Johanna, szczególnie w blasku kilku lamp, które zapalono w ten późny świąteczny poranek. A jej dłonie wewnątrz są jasne jak łapki małego kotka. Aurora miała złocistą skórę, choć nie tak ciemną jak jej matka.

Reina przywitała ją serdecznie jak zawsze. W uściskach tych dwóch dziewcząt było siostrzeństwo, lecz Johanna wyraźnie wyczuwała, że obie dziewczyny świadome już są tego, jak bardzo różnią się od siebie.

Chodziły razem na przechadzki, czasami kładły się w jednym łóżku, by wspólnie poczytać książkę lub obejrzeć jakiś rysunek, podejrzewała jednak, że nigdy tak naprawdę nie dzielą się sobą w pełni.

Dobry humor Ingalill najwidoczniej już zaczął mrocznieć, dziewczyna bowiem poderwała się od stołu, pospiesznie podziękowała za jedzenie i zaraz zniknęła za drzwiami.

- Poczekaj, musisz po sobie sprzątnąć! Służące mają inne rzeczy na głowie, tyle chyba sama wiesz!

- Jestem gościem w tym domu - uśmiechnęła się Ingalill przez ramię, sięgając po szeroki płaszcz, który dostała na święta. Należał kiedyś do Heleny, lecz ona kazała sobie uszyć przed wyprawą do Lyster obszerną pelerynę z owczej skóry. Trzaskający mróz zapowiedział swe nadejście, jeszcze zanim opuścili Meisterplassen.

- Dokąd się wybierasz? Ciche zawołanie Heleny jakby nie czekało na odpowiedź, ale Ingalill podciągnęła pończochy i zerknęła na matkę.

- A, nigdzie, chciałam jedynie zajrzeć do stajni, może pomóc przy koniach? Wydaje mi się, że Baltazar mnie polubił...

Bendik przygryzł górną wargę.

- No cóż, jeśli wolisz być stajenną, to sama sprzątnę ze stołu - powiedziała Reina z kwaśną miną.

Oplukanie i ustawienie na półce tych kilku naczyń nie zajmie jej wiele czasu.

Johanna westchnęła. Odciągnęła zasłonę, tak by więcej lodowatego niebieskiego światła wpadało do środka.

- Uch, ależ ciągnie od okna! Bendiku, nie zobaczyłbyś, czy nie da się czegoś z tym zrobić? W najgorszym razie użyj nasmołowanej słomy, chociaż poprzysięgam sobie kiedyś, że już nigdy więcej nie będzie tu tego zapachu. Zamarzniemy!

Rzeczywiście było zimno. Moment, zanim drzwi zatrzęsły się za Ingalill, wystarczył, by świąteczny dzień przysłał do wnętrza swe lodowe pozdrowienie.

W piecu płonął ogień, lecz zdołał pochłonąć chłód tylko w najbliższym otoczeniu. Od ścian ciągnęło wilgotnym nieprzyjemnym zimnem.

- To przez te wszystkie okna, przy których tak za wszelką cenę się upierałaś - burknęła najstarsza służąca do Johanny. - Wiem, wiem, światło i powietrze to wielka rzecz, ale czasami tęsknię za swoją starą chatą, w której był tylko maleńki otwór, dający się zamknąć w takie noce jak dzisiejsza. Ale cóż, to tylko moje zdanie.

Johanna uśmiechnęła się z przymusem.

- No właśnie, twoje zdanie. Dołóż jeszcze kilka polan, to zrobi się cieplej. A jak było dziś w oborze? Nie zimno tam tym biedakom?

Służąca kiwnęła głową i powiedziała, że chociaż woda w wiadrach, które zanieśli na ganek poprzedniego wieczoru, zamarzła aż do dna, to zwierzętom, przytulonym do siebie, było ciepło. Pod niskim dachem grzały się nawzajem.

Bendik wyszedł, żeby przenieść uprząże w ciepłe miejsce, tak by koni później nie sparzył mróz.

Powóz zapewne trzeba będzie oskrobać ze śniegu i szronu, jeśli zamierzają dzisiaj gdzieś się wybrać. Otrzymali zaproszenie na plebanię wraz z kilkoma innymi właścicielami dworów i urzędnikami, a Bendik znalazł pastorową jeszcze, z dawnych czasów. Pamiętał ją jako młodą dziewczynę, którą spotkał podczas pierwszej wyprawy na jarmark w Kaupanger. Pochodziła z dobrego rodu i już wtedy uderzyło go, że jest zapewne najbardziej kruchą kobietą, jaką kiedykolwiek stworzył Bóg. Przypominała mu trochę Amelię, lecz wydawała się bardziej przezroczysta. Cathrine Elisabeth Knagenhjelm, teraz żona Gerta Andersena Daae. Niedawno urodziło im się pierwsze dziecko, chłopiec, któremu, rzecz jasna, nadano imię Anders.

Poczuł, że pomimo sutego śniadania już zgłodniał. Święta to pora jedzenia, człowiek

jakoś prędko przyzwyczajają się do tego i w jeden dzień zjada więcej niż kiedy indziej przez dwa, nawet w najgorętszą porę żniw.

Ale na plebanii dość będzie jedzenia i picia, pomyślał. Rzadko bywał w wiosce, dostatecznie często jednak, by usłyszeć to i owo o pastorze i jego świeckich uciechach. Powiadano, że w swojej alkowie popijał nie tylko wino mszalne. Mówiono też, że jest żądnym sławy człowiekiem, wykorzystującym każdą okazję, by kłócić się z ludźmi. Cóż, zaproszono ich, Johannę wraz z ojcem i synami.

O Reinie nie wspomniano, dziewczyna nie dopominała się też, by ją zabrali.

Zdjął uprząż z haka w przedsionku stajni. Gdy usłyszał dochodzące ze środka głosy, cały zeszytniał i wstrzymał oddech aż do chwili, gdy w powietrzu przed jego oczami przestała unosić się para.

Oczywiście nic nie mógł dojrzeć. Słyszał jednak. Rozróżnił cichy chichot Ingalill, a także pomrukiwanie i śmiech mężczyzny. Mógł to być ów parobek o wielkich dłoniach, który żartował sobie z młodą dziewczyną, naśladując pełne zapału odgłosy, które wydawały z siebie konie, gdy rano przynoszono im paszę.

Bendik jednak miał przecucie, że tam w środku dzieje się coś innego. Poznawał to po tonie cichego śmiechu dziewczyny, po głosie, chociaż nie wychwytywał słów. Otworzył drzwi szeroko.

Lampa stała na podłodze, wprost na słomie. Już za samo to powinien przywołać parobka do porządku, przecież gdyby się wywróciła, mógł wybuchnąć pożar.

Parobek wiedział jednak, że gospodarz zaraz zapomni o lampie, zamarł bowiem, gdy jęknęły zawiasy i stał jak skamieniały z ręką wsuniętą głęboko pod bluzkę Ingalill.

- Na cóż on sobie pozwala! - syknął Bendik cicho. Ingalill odepchnęła dłoń mężczyzny, uczyniła gest, jakby ją odrzucała. Ręka zawisła w powietrzu, wydawało się, że zarówno nią, jak i brodą mężczyzny sterują te same mięśnie.

- Co ty tu robisz z dziewczyną? - powtórzył Bendik, teraz już ostrzejszym głosem.

Parobek popatrzył na niego nieszczęśliwym wzrokiem, potem ściągnął z głowy czapkę, a z gardła wydarły mu się dwa ciche łkania.

- Ingalill, odpowiadaj, co to ma znaczyć? Co on ci zrobił? Dziewczyna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, wreszcie jednak jej twarz przybrała normalny wygląd. Jeszcze przez chwilę się zawahała, a potem skoczyła w przód, padając Bendikowi w objęcia.

- No, tak - szlochała. - Przyszłam tylko pogłaskać Baltazara, a on zaraz wszedł i chciał mi pokazać, jak powinnam to robić. A potem chciał, żebym poczuła to, co czuje koń, no a potem...

Bendik stał nieruchomo, pozwalając, by płakała. Głupia dziewczucha, kłamie jak sprzedawczyni ryb latem. Parobkowi drżały wargi, ale nie wydusił z siebie ani słowa.

- Idź do matki! - rzekł Bendik spokojnie, delikatnie popychając Ingalill w plecy.

Parobek, jeśli to możliwe, wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego.

Bendik przysiadł na wiązce słomy i przesunął lampę.

Stała teraz na płaskim kamieniu, przydźwiganym tu właśnie w tym celu.

- Ona... ona... myślałem... ach, Boże, odpuść mi, ja tego nie chciałem! Parobek padł na kolana przed milczącym gospodarzem, ujął rękę Bendika.

- Okaż mi łaskę, panie, i nie mów o tym pani, twojej córce! Ona zaraz by mnie przegnała. Dobrze wiem, że czegoś takiego nie znosi, jeszcze by się rozgniewała i przyniosła któryś z tych swoich ostrych noży...

Bendik nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Na własne uszy słyszał, jak Johanna groziła, że wykastruje mężczyzn nastających na cześć młodych dziewcząt albo nawet dzieci. Ale gdy odpowiadał, głos miał ciężki:

- Sądzę, że to nie będzie potrzebne, Jens, ale... niemądre z twojej strony było iść za Ingalill do stajni. Ona nie ma w sobie zbyt wiele skromności, tyle chyba już zrozumiałeś.

- Ach, ale przecież wcale nie tak było! To ona nagle tu przyszła, kiedy nalewałem świeżej wody do tego wiadra, i powiedziała, że... Nie, nie mogę tego powtórzyć, ona jest przecież pana córką. No i tego pana tutaj - zaczerwienił się nagle.

Bendik wolno skinął głową.

- Chcesz powiedzieć, że sama się napraszała? Parobek się wahał. Miętosił w palcach brzeg czapki, wiedział, że takie oświadczenie wystarczy, żeby dobry pan wyrzucił go na mróz, nie dając nawet pary butów. Ta śliczna młoda panna zachowała się tak, że chyba nowa służąca w Deseń nie potrafiłaby być bezczelniejsza. Ujęła jego dłoń, chwając za to, że ma taką dobrą rękę do koni i że to musi być takie cudowne uczucie dla zwierzęcia, gdy gładzi je miękką wełnianą rękawicą, aż sierść zaczyna lśnić...

Nie.

Popatrzył w oczy Bendikowi.

A Bendik o nic więcej już nie pytał.

- Nikomu o tym nie wspominaj - rzekł cicho i wyszedł ze stajni. Westchnienie ulgi parobka czuł na karku, ale wiedział, że ściskania w żołądku nie złagodzi już kieliszek wypity na plebanii. Reina przerażona wpatrywała się w przyrodną siostrę.

- Co on zrobił? Dotykał ciebie? Pod bluzką? Chyba oszalałaś, musisz natychmiast powiedzieć o tym mamie! Biegnij po nią od razu!

- Cicho bądź, głupi dzieciaku! Nie ma się czym tak przejmować. A poza tym Bendik już przywołał tego człowieka do porządku. Pewnie zbił go batem za taką bezczelność. Ale wiesz, Reina, to było dosyć przyjemne, trochę łaskotało, ale nie tak, jak wtedy, kiedy sama się myję. No nie, bo on miał takie wielkie ręce i szorstkie jak język cielaka.

Reina zadrżała. Przed oczami stanęły jej kwadratowe dłonie Jensa, mocno obejmujące korbę od oselki albo trzonek wielkiej siekiery, którą rąbał drewno. Ze też przyszło mu do głowy coś podobnego! Znow zadrżała. Westchnienie Ingalill sprawiło, że poczuła się nieprzyjemnie.

- Musisz powiedzieć o wszystkim mamie. Wiem, że ona nie chce takich ludzi pod swoim dachem. I może któregoś dnia on spróbuje się dobrać i do mnie, będę wtedy krzyczeć najgłośniej jak umiem!

- Głupi dzieciak! U ciebie nie ma czego szukać, masz tylko takie fałdki jak tara, ale może za kilka lat sama to i owo odkryjesz.

- Wcale nie jestem jak tara, jestem już dorosła tak samo jak i ty, tylko że nie jestem taka tłusta! - krzyknęła Reina.

Jeszcze zanim dokończyła zdanie, usłyszała, jak dziecinnie brzmi jej głos. Ale mówiła przecież prawdę, nabrała już kształtów dorosłej kobiety. Miesięczną przypadłość od dawna miewała regularnie, ustabilizowało się to w niespełna rok od czasu tamtego pierwszego tajemniczego krwawienia przed blisko sześciu laty. Niedługo skończy szesnaście lat, a Ingalill była mimo wszystko zaledwie dwa lata od niej starsza.

Ingalill podniosła stopy z zimnej podłogi i skrzyżowała je pod sobą. Jej twarz błyszczała, gdy siedziały same w pustej izbie. W kuchni krzątały się dziewczęta, wieczorem bowiem wydawano obiad w Zamku Marji. To Astrid zapraszała na drugi dzień świąt, większość dań jednak miano przenieść w wielkich naczyniach z kuchni na Vildegard.

- Mimo wszystko jesteś jeszcze bardzo młoda. Gdybyś tylko umiała zachowywać się mniej dziecinnie, zdradziłabym ci kilka tajemnic. Bo widzisz, ja już mam pewne doświadczenia z mężczyznami...

Reina popatrzyła na nią podejrzliwie. Przejrzyste zielone oczy błyszczały teraz. Ingalill zamknęła je, ogarnięta uniesieniem.

- Mam starającego, rozumiesz? Kogoś, o kim nikt nie wie.

- Naprawdę? Prawdziwego? Ingalill roześmiała się krótko.

- Tak, najprawdziwszego na świecie. Jest wielki i silny, ma dużą łódź rybacką, którą kupił za własne pieniądze!

- Gdzie go poznałaś? Ingalill zorientowała się, że Reina pyta ze szczerem

zainteresowaniem, a uwielbiała przecież skupiać na sobie czyjąś uwagę.

- Oczywiście w Sogndal, nad fiordem, koło karczmy. Wybrałam się z ojcem zawieźć trochę placków na jakieś wesele. I on tam był. To brat panny młodej. I taki był piękny, muszę ci powiedzieć, w nowiusieńkim ubraniu i czapce szypra na bakier. I w dodatku palił fajkę! Łączuszek od zegarka w kieszeni kamizelki miał gruby jak mój palec. Prędko się zorientowałam, że zwrócił na mnie uwagę. Zaproszono nas w gościnę następnego dnia, ale ojciec niestety odmówił. Ach, Reino, Bendik potrafi być taki okropny! Gdyby tylko tatuś tu był, na pewno pozwoliłby mi iść na to przyjęcie.

- Tatusia nie ma - mruknęła Reina ze zwilgotniałymi nagle oczyma. Ingalill czym prędzej podjęła opowieść:

- On też miał takie szorstkie dłonie... trochę drapały, skóra zrobiła mi się od tego czerwona i gorąca, a potem mnie pocałował, w same usta...

Reina głośno przełknęła ślinę.

Chciała spytać, jakie to uczucie. Pamiętała jedynie przelotne muśnięcie na wargach, które poczuła kiedyś dawno temu, bardzo dawno temu. Ingalill znów dramatycznie westchnęła:

- Ach, dla niego uczyniłabym wszystko, ale to uczciwy człowiek, rozumiesz? Powiedział, że zaczeka, aż się pobierzemy, aż będziemy mężem i żoną. A to już niedługo, bo przecież w przyszłym roku skończę osiemnaście lat. Wtedy będziemy mogli się pobrać, jeśli tylko Bendik wyrazi zgodę!

Reina oszołomiona kiwnęła głową. Uświadomiła sobie teraz, że być może jednak owe dwa lata bardzo je od siebie różnią. Jej nigdy nie przyszłoby do głowy, by myśleć w taki sposób, w jej świecie bowiem małżeństwo, ukochany, to były sprawy bardzo, bardzo odległe, które być może zaczną jej dotyczyć kiedyś, w odległej przyszłości.

- No, ale... czy oni go znają?

- Ależ nie, sama spotkałam go zaledwie dwa razy, lecz przyjedzie na Wielkanoc, obiecał mi to. Wtedy przycumuje w naszej przystani, a ja wezmę go za rękę i zaprowadzę do chaty, i wtedy mama i Bendik go poznają. Ależ będą zaskoczeni! I ucieszeni, tak mi się wydaje. To naprawdę bardzo miły człowiek i na pewno będzie umiał o mnie zadbać.

- Jak on się nazywa? - spytała Reina niechętnie. Ingalill przymknęła oczy i uśmiechnęła się szeroko.

- Na imię ma Tore - powiedziała cicho. - Tore Magnussonn Kleppen. Z Fresvik!

Reina kiwnęła głową, ale nie miała pojęcia, gdzie może leżeć to miejsce.

- Ach, kiedy przyjedzie, będę go całować tak długo, aż zabraknie mu tchu, i będę go

ściskać tak mocno, mocno i szeptać, jak strasznie tęsknię do... do naszej nocy poślubnej.

Reinie zaschło w ustach. Przez głowę przemykały jej dziwne obrazy, nie pochodziły jednak z głębi, jak niekiedy działo się to z tymi niezwykłymi wizjami. Teraz tworzyła je sama. Wyobraziła sobie Ingalill przyciskającą czerwone usta do warg wielkiego jak niedźwiedź rybaka. W jej myślach przybrał wygląd parobka. Widziała, jak wsuwa rękę pod bluzkę Ingalill, potrząsnęła głową, odpędziła te obrazy, ale w piersi nie przestawało ścisnąć.

- Reino... Ingalill zniżyła głos.

- Czy ty nie chciałabyś, żeby ktoś ciebie pocałował? Żeby ktoś cię dotykał?

Reinie drgnęły ramiona.

Napotkała spojrzenie Ingalill. Druga dziewczyna mimo wszystko okazała jej wielkie zaufanie i w rozmarzonym zielonym spojrzeniu nie znać już było nawet cienia złośliwości.

- Owszem - odparła cicho. - Czasami zdarza mi się o rym myśleć.

- Nie chciałabyś mieć dorosłego wielbiciela? Takiego, który umie sprawić, że całe ciało ci drży i pulsuje?

Reina nie odpowiedziała.

Lekko skinęła jednak głową i Ingalill uśmiechnęła się zadowolona.

- A więc robisz się dorosła - stwierdziła, uśmiechając się dobrodusznie. Reina także odpowiedziała uśmiechem.

Ingalill wyprostowała nogi i wygładziła spódnice.

- Już jutro zabawa, być może znajdziesz sobie kogoś - oświadczyła wesoło i zeskoczyła ze skrzyni z drewnem, na której siedziały.

- Ha! Tam będą ci sami głupi chłopcy. Znam ich przecież wszystkich, to zwyczajni durnie. Nie można z nimi nawet porozmawiać, niczego nie pojmują.

Ingalill śmiała się teraz głośno.

- Nie mówię przecież o chłopcach, ty niemądra! Musisz rozejrzeć się wśród mężczyzn!

Reina zastanowiła się nad tym. Musiała przyznać przed samą sobą, że jakiegokolwiek myśli, które w ogóle wędrowały w tym kierunku, nie kierowały się w ogóle w stronę jakiegokolwiek mężczyzny czy też chłopca. Były jedynie marzeniem, zamgloną twarzą, cieniem, który sama wymyśliła, tak jak jej ojciec wiele razy nadawał twarze swoim cieniom.

Ingalill wyglądała teraz przez okno.

- Nie jest już tak zimno. Ach, Reino, myślisz, że pojedziemy jutro na zabawę wielkimi saniami? Zabierzemy pojemnik z węglem, pochodnie i dzwonki i... Ależ tak, wokół księżycy jest lisia czapa, będzie śnieg!

Drepcząc niecierpliwie, przysunęła nos do lodowych róż malujących się na okiennej szybie.

Słyszały, że służące wchodzą i wychodzą tylnymi drzwiami. Ktoś zawołał, że trzeba prosić państwa do stołu, inaczej owsianka z masłem wystygnie.

Ingalill w przyptywie chwilowej życzliwości chwyciła Reinę za rękę. Reina mocno ją uścisnęła, było to dziwne uczucie, choć jednocześnie miała pewność, że postępuje słusznie. Ingalill zwierzyła jej się ze swoich tajemnic, odsłoniła się przed nią, wrywanie ręki nie miało więc sensu, chociaż mimo wszystko nie zdołałaby się przemóc, by powiedzieć, że lubi tę swoją bezczelną przyrodnią siostrę.

Za kilka dni Ingalill wyjedzie, a wszyscy będą zadowoleni, gdy przez resztę świąt one dwie nie będą się kłócić.

Zdecydowanie usadził pasierbicę na krześle i stanął nad nią z podniesionym palcem.

- Oboje wiemy, co się stało. Rozumiem, że jesteś ciekawa, Ingalill, to całkiem naturalne u młodej dziewczyny, ale postępujesz nieostrożnie. Jak będziesz wyczyniać takie zabawy w niewłaściwym miejscu, może się to skończyć czymś strasznym. Mężczyźni nie zawsze potrafią stwierdzić, z kim mają do czynienia, nie potrafią rozróżnić tej twojej dziecinady od... od... rozpusty dorosłej kobiety!

Ingalill poczuła, jak narasta w niej gniew o to, że nazwał ją dziecinną, jednocześnie zaś wiedziała, że Bendik osądzałby ją znacznie surowiej, gdyby nie pozwoliła mu użyć takiej wymówki. Bendik to dorosły mężczyzna. Wprawdzie nie jest taki wielki i silny, lecz gdy tak stał, wygrażając jej pięścią, bez trudu można było uwierzyć, iż jest zdolny przełożyć ją przez kolano i spuścić solidne lanie.

Ha! Na pewno właśnie na to miał ochotę, stary knur! Ingalill siedziała jednak nieruchomo, a na twarzy miała najpokorniejszą ze wszystkich swoich min. Z oczu płynęły jej łezki.

- Przepraszam... Nie wiedziałam, że to aż takie złe. Ja... to było jak zabawa, Bendiku. Nie gniewaj się na mnie, po prostu tego nie przemyślałam.

- O, tak, z całą pewnością nie, takie zabawy, młoda damo, są wyłącznie dla tego, którego pewnego dnia wybierzesz sobie na męża. Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony, że wszystko trzeba ci tak tłumaczyć, i to teraz, kiedy jesteś już prawie dorosła!

Prawie dorosła.

Przecież jej matka nie była starsza, kiedy ją urodziła. Co on takiego sobie wymyśla? Że kobiety nie są dorosłe, dopóki się nie zestarzeją? Przecież ona jest dorosła już od dawna.

Bendik opuścił rękę i popatrzył wprost na dziewczynę.

- Obiecuj mi, że skończysz z takimi eksperymentami. Przyjdzie czas i na ciebie, a twoja matka... wpadłaby w rozpacz, gdyby się dowiedziała, że ściągnęłaś na siebie wstyd, i to kolejny raz.

Ingalill ciężko przełknęła ślinę. Wiedziała, do czego pije Bendik. Upłynęło już blisko dwa lata od tamtego sobotniego wieczoru, gdy odwiedziła ich rodzina ze Slinde. Bendik miał jakieś interesy z mężczyzną, dotyczące rybackich sieci, a Helena dogadała się z jego żoną, zajmującą się tkactwem. Goście przywieźli ze sobą dzieci, czterech chłopców chudych i wysokich jak tyczki. Najstarszy z nich od początku nie mógł oderwać oczu od Ingalill i zabrał ją za szopę, by tam nauczyć tego i owego. Dziewczyna pobierała nauki z zapałem, wciąż pamiętała, co dzięki niemu ujrzała po raz pierwszy...

Nakryła ich Helena. Chłopak stał ze spodniami opuszczonymi do kolan, Ingalill z zaczerwienionymi policzkami i rozczochranymi włosami.

Skończyło się to dwoma tygodniami wypełnionymi najbrudniejszymi robotami, jakie tylko Helena zdołała dla niej wymyślić, a przy tym najnudniejszymi. Wieczorami, które były wtedy długie i jasne, posyłali ją na stryzzek, gdzie mogła siedzieć i tylko przysłuchiwać się wesołym głosom ludzi, miło spędzających wiosenne wieczory przy kamiennym stole, ustawionym w małym ogródku.

Niesprawiedliwe!

Lecz mimo wszystko warte takiej zapłaty.

Następnym razem, gdy nadarzyła się podobna sposobność, Ingalill wiedziała już, że musi baczniej się pilnować. To była ciekawa zabawa, w którą można się było bawić z młodymi i starymi, znajomymi i nieznanymi. Niekiedy wystarczyło powłóczyście spojrzenie, rzucone jakiemś obcemu, delikatne, niby to przypadkowe dotknięcie, muśnięcie, gdy prześlizgiwała się obok handlarza wśród ciasno ustawionych kramów tak, by poczuł dotyk jej piersi na ramieniu. Zabawne było patrzeć, jak dorośli mężczyźni rumienią się od takich drobnostek, a jeśli się potem do nich odezwała, odpowiadali niepewnie, jękając się, zwłaszcza gdy stała blisko. Albo gdy pochylała się w przód, delikatnie pieszcząc sprzedawane przez nich jabłka czy warzywa.

Bendik wpadłby we wściekłość, gdyby o tym wiedział. Był też jedynym mężczyzną, któremu za nic na świecie nie ośmieliłaby się posłać choćby pocałunku w powietrze. To dopiero stary pień! Dobrze, że i matka jest już na tyle stara, że na pewno straciła zainteresowanie dla takich rzeczy, bo równie nudnego męża nie było chyba w całym świecie. Do łóżka kładł się w grubych wełnianych skarpetkach i zapiętej na wszystkie guziki koszuli. Widziała to przecież już tyle razy. A z sypialni rodziców nie dochodziły do niej nigdy inne

odgłosy, aniżeli szeptem wypowiedane słowa wieczornej modlitwy.

Ona nigdy nie będzie taka jak oni.

Byle tylko Tore przypląnął! Kiedy się pobiorą, będą się bawić, baraszkować i przez resztę życia wyczyniać najbardziej nieprzyzwoite rzeczy!

Czuła, jak drzenie w żołądku narasta.

Wyobraziła sobie, jak dech zatyka mu w piersiach, gdy ona będzie się rozbierała na jego oczach, pokaże mu w pełnej okazałości piersi, które tak wychwalał i delikatnie podszczypywał. I będzie go całować, tak jak on lubi, otwartymi ustami i wszędzie...

Ingalill wzięła się w garść. Starannie zasznurowała gors bluzki, wsunęła poły za stanik. Sutki, napięte i wrażliwe, ocierały się o cienki len.

Reina już poszła. Zapewne czekają tylko na nią.

Najpierw jednak wstąpiła na chwilę do swojej sypialni, bo inaczej niepokój dręczący ciało dokuczałby jej przez cały wieczór.

Aurora uśmiechała się swoim zwykłym, nieobecnym uśmiechem, który mimo wszystko docierał wprost do serc większości ludzi. Gdy się odzywała, jej głos dźwięczał tak łagodnie i jasno, że Reina czuła się w porównaniu z nią jak burzący trzmiel.

Zjedli już, bawili się w różne gry, czołgali się nawet po pustych strychach, chowając się przed sobą nawzajem jak baraszkujące dzieci. Vetle, rozpalony i słaby, siedział na kolanach u matki, nie chcąc brać udziału w zabawie. Po zażyciu lekarstwa trochę się uspokoił, lecz nie dało się go nazwać zdrowym. Mimo to Bendik uważał, że lepiej mu zrobi światło i ruch dookoła, aniżeli leżenie w łóżku w towarzystwie jedynie zamartwiającej się matki. Chłopczyk czasami uśmiechał się blado, szczególnie gdy Astrid łaskotała go i wykrzywiała twarz w najprzeróżniejszych grymasach. Karmiła go też kawałeczkami cukru, tymi brunatnymi dużymi grudkami, które handlarz sprowadzał na jej specjalne zamówienie, ponieważ nigdy nie zdołała się od nich odzwyczaić.

Reina popatrzyła w dół swojej spódnicy, niebieskiej, ozdobionej na brzegach zielonymi haftami. Teraz nad kolanami pojawiła się jeszcze jakaś szarość, a na samym środku spora wilgotna plama. Zabawa na strychu zostawiła ślady. Ciemnoczerwony strój Ingalill nie prezentował się wcale lepiej. Aurora jednak w jedwabnej sukni wyglądała tak samo czysto i porządnie jak przedtem. Dziewczyna nie miała chyba innych strojów niż te cienkie, leciutkie warstwy kosztownego jedwabiu i chętnie ubierała się w takie suknie nawet na co dzień. Ale też i właściwie nic nie robiła, nikt nie widział, by zanurzała miękkie, drobne rączki w wodzie z ostrym mydłem lub by słodka jak u lalki twarzyczka wykrzywiała się przy podnoszeniu zbyt wielkich ciężarów. W dodatku stale była zajęta z Emmi, która uczyła ją zarówno języka, jak i

zwyczajów tego nowego kraju.

Kraj przestał już być tak bardzo nowy, lecz los Aurory został wyznaczony na zawsze: jej miejsce było w Zamku Marji, przy biurczku Emmi albo przy matce, o którą lubiła się troszczyć. Haftowała, czyściła srebra, bawiła się z piaskiem, którego dostała od Johannы. Poza tym przez trzy ostatnie wiosny i lata to ona zajmowała się porządkowaniem ogrodu, który bardzo podupadł po śmierci Marji. Odnalazła także ogród z ziołami Amelii, w którym pielęgnowała wiele roślin. Potrafiła je wszystkie nazwać, mimo że nawet Johanna nie umiała rozpoznać niektórych woreczków z nasionami zebranymi przez matkę.

Reina zazdrościła jej tego.

Aurora brała udział w zabawie. Zwabili ją w najciemniejszy i najchłodniejszy zakamarek strychu w poszukiwaniu skarbów albo zapomnianych kufrów z ubraniami, które mogliby zbadać. Niczego jednak nie znaleźli, panowała tu bowiem ciemność jak w grobie, a na dodatek przeraźliwie zimno. Pajęczyna łaskotała ich w twarze, a Aurora zaczęła krzyżeć, kiedy jakaś przerażona myszka schroniła się pod jej spódnicą.

Mimo to siedziała teraz czysta, bez jednej plamki.

Złożyła ręce i z zamkniętymi ustami żuła kawałek kandyzowanego owocu.

Emmi śpiewała.

Przyłączyły się do niej Johanna i Diana, nawet służące z uśmiechem na odprężonych twarzach kołysały stopami w drewniakach. Kiedy skończyły dawną świąteczną śpiewkę, Reinie przypomniał się instrument Amelii. Emmi tak pięknie śpiewała, może umie też i grać? Głupio, by stał i niszczał na strychu do przechowywania wełny na Vildegard. Wielokrotnie mówiła już o tym matce, lecz Johanna udawała, że nie słyszy. Może po prostu tego nie chciała.

- Auroro, ty też nam zaśpiewaj! Przecież śpiewasz tak ładnie, pamiętasz którąś z dawnych pieśni?

Aurora przestała żuć. Popatrzyła na matkę ciemnymi piwnymi oczyma, które z wolna zaczęły wilgotnieć. Astrid z uśmiechem pokręciła głową.

- No cóż, nikt cię nie zmusza, ale masz przecież taki piękny głos, moja kochana. I naprawdę chciałabym usłyszeć, jak śpiewasz którąś z tych starych...

Aurora nagle, bez uprzedzenia, wydała z siebie głos. Ale nie był on wcale piękny. Głośny, brzmiał raczej jak krzyk ptaka i słów nie rozumiał nikt, melodii też nikt nie znał, jeśli w ogóle urywane dźwięki można było potraktować jak melodię.

Astrid poderwała się i czarną dłonią nakryła usta córki. W oczach miała pustkę.

- Już dobrze, dobrze, cherie, tylko spokojnie... Przepraszam, nie chciałam. Odpocznij

teraz. Dzieci, nie wybrałybyście się sprawdzić, czy śnieg nie pada? Chodź, Reino, weź Aurorę, idźcie zobaczyć. Trochę się przy okazji przewietrzycie.

Reina wstała, kolana lekko pod nią drżały. Co się stało Aurorze? I jej matce? Wyglądała na przerażoną do szaleństwa. To prawda, że Aurora nie może pochwalić się dobrym głosem i być może głupio, że wszyscy się o tym przekonali, zwłaszcza po tym, jak matka tak ją wychwalała. Ale dlaczego Astrid wydawała się taka wystraszona?

Reina wyciągnęła rękę do Aurory.

- Dziękuję - powiedziała cicho dziewczyna. - Wydaje mi się, że matka ma rację, przyda nam się trochę powietrza.

Benjamin z Ingalill niechętnie poszli za nimi, nie bardzo się im spodobało, że ich także zaliczono do dzieci.

Ciekawi jednak byli, czy rzeczywiście niedługo spadnie śnieg. Jeśli pojawi się na czas, to droga na zabawę trzeciego dnia świąt sama w sobie będzie wielką przyjemnością. Może spotkają też innych młodych ludzi i cała podróż zmieni się w radosne wyścigi wzdłuż fiordu aż do zagrody, w której wszyscy mieli się spotkać?

Śnieg wisiał nad nimi w ciężkich szarych chmurach. Powietrze było łagodniejsze, ale ziemię pokrywały jedynie nieduże plamy szronu. Cienki puch, który spadł w listopadzie, zabrudził się i częściowo zwiął go wiatr.

Księżyc nie było widać, światło bijące z okna za ich plecami sprawiało, że ciała rzucały dziwaczne długie cienie. Benjamin pochylił się, zdrapał paznokciem grudkę lodu.

Reina nie spuszczała oczu z twarzy Aurory, dziewczyna była już spokojna.

- To była dziwna piosenka - powiedziała cicho. - O czym śpiewałaś? Aurora odpowiedziała obojętnie:

- O, to tylko taka stara pieśń, o dumnym wodzu murzyńskim, który zabija córkę, ponieważ przyniosła wstyd swemu plemieniu.

Benjamin znieruchomiał z ręką wyciągniętą w pół ruchu. Bryłka lodu, która miała wylądować gdzieś daleko w ciemności, upadła tuż przy jego butach.

- Jakie to ciekawe! Czy to jakaś stara historia z tej krainy, z której pochodzisz? Z wysp w Zachodnich Indiach?

Aurora wolno kiwnęła głową.

- Tak, to legenda. Reinę zakłuło w sercu. Ona wiedziała. Domyślała się jednak, że nikt nie wspomniał o niczym Benjaminowi. Brat rzadko bywał w domu, odkąd poszedł na nauki. Byle tylko nie zaczął drążyć tematu i jeszcze bardziej dręczyć Aurory! Pociągnęła dziewczynę za rękę.

- Wracajmy do domu, już zmarzłam.

- Tak, chodźmy, dość już się nalykaliśmy powietrza - podchwyciła Ingalill. - Mama obiecała, że pozwoli mi spróbować ponczu!

Ale Benjamin wsunął ręce w kieszenie i oparł się o grubą kolumnę, podtrzymującą wejście do Zamku Marji.

- Ja wolę zostać jeszcze trochę. Wezwę śnieg. Aurora uśmiechnęła się szeroko i ślą mu zawstydzone spojrzenie, wysunęła rękę z dłoni Reiny i usiadła na schodach.

- Chcę posłuchać, jak przyzywasz śnieg - powiedziała, przekrzywiając głowę.

Reina zobaczyła, że Benjamin krzyżuje ręce na piersi, wychwyciła także niezwykle błysk w spojrzeniach, które ślą złocistoskórej dziewczynie.

Wolno weszła po schodach, szerokich, o tak wielkich stopniach, że po to, by pokonać jeden, trzeba było zrobić dwa małe kroczki.

Ingalill już przytrzymała otwarte drzwi.

- E tam, śnieg na pewno nie spadnie! Znów trzeba będzie jechać tym starym wózkiem, a to nic przyjemnego!

- Cicho bądź, bo inaczej Bendik się rozgniewa, a wtedy będziemy musieli iść piechotą - rozzłościła się Reina.

I Ingalill rzeczywiście już milczała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Johanna stwierdziła, że ani trochę mu się nie polepszyło.

Po obiedzie i ponczu u Astrid, Emmi i Diany atmosfera szybko się rozgrzała, a kiedy młodych odesłano na spoczynek, niczym na sygnał pojawili się sąsiedzi i znajomi, by przepić do siebie jak nakazywał obyczaj. Jeśli w taki wieczór odprawiono się kogoś bez kielicha, nowy rok nie zapowiadał się dobrze.

Zrobiło się naprawdę wesoło. Johanna wiedziała, że zbliża się już dziesiąta, gdy wymknęła się razem z Vetlem mocno otulonym kocem. Chłopczyk spał, ale nie był to spokojny sen i płatki śniegu, który lekko prószył teraz z nieba, roztopiały się, niemal jeszcze zanim dotknęły jego rozpalonego policzka.

Nie trzeba było zabierać go z domu, pomyślała.

Powinnam raczej zostawić go w łóżku, miękkim i ciepłym, i siedzieć przy nim.

Ale po południu chłopczyk wydawał się zdrowszy, uśmiechał się i śmiał, a ona sama miała ochotę spędzić ten wieczór z innymi. Przecież już wkrótce spokojny okres świąt minie i nie będą mogli siedzieć razem przy zapalonych świecach w zwyczajny zimowy wieczór. Kładli się wcześniej, ciężko pracowali i wcześniej wstawali. A po tych mrozach przeziębienia i choroby płuc i gardła na pewno wybuchną i znów u jej drzwi pojawi się nie kończący się szereg ludzi. Zwykle tak bywało, gdy mróz popuszczał, i to samo zresztą spotkało Vetlego.

Zakaszła trochę.

Johanna przestraszyła się. Tej choroby, która zalegała w piersiach, obawiała się najbardziej. Za wielu już widziała plujących krwią i coraz bardziej słabnących, a wreszcie umierających. Jeśli nawet zdołali się wywinąć od śmierci po takim ataku, rzadko przeżywali więcej niż jakieś dwie, trzy zimy.

A gdyby Vetle zaczął kasłać krwią...

To by znaczyło, że jest za późno. Już przed kilkoma laty dostała list od Remmermanna z wyjaśnieniami dotyczącymi tej choroby, o której zresztą zawsze wspominał w swoich pozdrowieniach z Kopenhagi. Remmermann był teraz poważnym uczonym i, o ile Johanna dobrze rozumiała, w ogóle nie miał kontaktu z pacjentami. Poświęcił się natomiast badaniu ludzkiego ciała, pisał wiele i niezrozumiale o swoich licznych doświadczeniach.

Krwawiaczka, tak to nazwał.

Tak, to dobre określenie.

Pisał, że to choroba dziedziczna, ale o tym już Johanna wiedziała. Nowiną było jednak

dla niej, że dotyka ona również rodziny królewskiej, nie na wiele jednak się to jej zdało, bo wprawdzie cierpiał na nią również król Anglii, lecz i tak żaden doktor nie był w stanie mu pomóc.

„Pewnego dnia - pisał Remmermann - pewnego dnia znajdziemy sposób na to, by wymienić całą tę chorą krew, a gdyby teraz już nam się to powiodło, to Benjamin i Vetlebror byliby zdrowi, a ty nie musiałabyś się więcej martwić. Na razie jednak udało się tylko napęlić krwią cielęcą żyły psa. Zwierzę padło wkrótce po tym - to jedna z nierozwiązanych zagadek medycyny, na której zbadanie ja sam poświęcę swój czas”.

Nigdy już nie zapraszał jej do Kopenhagi.

A Johanna wiedziała, że i tak by do niego nie pojechała. Zbyt wiele przypominało to miasto, zbyt wiele wspomnień się z nim łączyło. Tamte straszne przejścia z Włochem, dojmująca pustka, gdy tylko uświadomiła sobie, że Thilla już na nią nie czeka, ale przede wszystkim owo słodko - gorzkie wspomnienie ponownego spotkania z Ravim.

Gdyby tam pojechała, w sercu obudziłyby się bezpodstawne nadzieje. Tak bardzo by pragnęła, by jeszcze raz się z nią tam spotkał, by jeszcze raz się okazało, że mimo wszystko żyje.

Tak jednak się nie stanie.

Nawet gdyby poszła w to samo miejsce na skraju lasu, w okolice ruin starego klasztoru, nawet gdyby wyobraziła sobie jego postać dokładnie taką, jaką wówczas zobaczyła, wyłaniającą się z nicości, wprost z jej tęsknot...

Tak się nie stanie.

Prawdopodobnie by oszalała.

Nie, zapewne miała już okazję oglądać królewskie miasto po raz ostatni. Remmermann zaopatrywał ją we wszystko, czego było jej potrzeba, zarówno w towary apteczne, jak i w książki. Uważnie śledziła nowo powstałe dzieła, a w ostatniej przesyłce otrzymała od niego szczególny podarunek nowy, kolorowany atlas ludzkiego ciała. Wielki kosztowny tom był zapieczętowany, a ponadto oznaczony jej własnymi inicjałami malowanymi złotem.

Przepiękny podarunek.

Wiedziała, że Remmermann wciąż czuje się związany z nimi wszystkimi, choć jego Marja odeszła, a jemu nie starczało sił, by odwiedzić miejsca, w których żyła tutaj, na Północy.

Johanna złożyła dłonie nad swym uspiętym dzieckiem, pragnąc, by Rikard znalazł się tu teraz.

On być może znalazłby radę.

Jedyne, co ona mogła zrobić, to podawać dziecku kamforę i napar z ziół rozluźniających śluz i ułatwiających oddychanie.

To mogło nie wystarczyć.

Przesiedziała tak przez całą noc, licząc każdy oddech synka i delikatnie go chłodząc wilgotną szmatką.

Zanim wstał świt, Vetle zwymiotował dwa razy i już myślała, że go utraciła, gdy zwiódł ją półmrok, który sprawił, iż wydało jej się, że śluz, wylewający mu się z buzi to krew.

Przygarnęła małego mocno do siebie, chciała odciąć drogę ucieczki jego duszyczce, by od niej nie uleciała.

Kiedy wstał świt i światło dnia zakłuło ją w oczy, spostrzegła, że buzia chłopca jest blada, ale Vetle oddychał równo, a na jego rączce dostrzegła cztery sinoczarne odciski swoich własnych palców.

Dziewczęta ćwierkały ze śmiechem, kręcąc się w kółko jak podniecone wróble, wypuszczone do sąsiaka z ziarnem.

- Ach, mamó, pożycz mi tę swoją bluzkę z czerwonego jedwabiu! Przecież i tak nigdy jej nie nosisz - powiedziała z pretensją w głosie Ingalill.

Helena prychnęła.

- Nawet jej z sobą nie zabrałam, mówiłam ci, że trzeba ją oszczędzać.

- To bardzo głupie, na pewno zgnije, zanim ją włożysz! Myślisz, że Bendikowi by się to spodobało? Kosztowała pół świniaka, jestem tego pewna!

- Będziesz więc musiała poczekać na inną okazję. Ta bluzka jest dostatecznie piękna, by stanowiła część ślubnego stroju - ze spokojem stwierdziła Helena.

Ingalill się poddała. Matka pożyczyła jej jednak długi srebrny łańcuch z turkusowymi kamykami, chociaż Bendik pomrukiwał, że to zupełna przesada, by taka młoda dziewczyna obwieszala się tyloma błyskotkami.

Reina wciągnęła przez głowę niebieską jedwabną suknię Marji i zaraz poczuła na plecach ręce matki, skubiącej małe guziczki.

- Jest na ciebie tylko odrobinę za duża. Bardzo urosłaś, moja kochana. Poczekaj, zwiążę ci tę wstążkę w pasie i będziesz wyglądała doskonale. We włosy i tak chyba wpleciesz te nowe wstążki, które dostałaś od Diany i Emmi?

Reina z radością pokiwała głową. Czasami miło było się tak wystroić, a dziś wieczorem miała się wybrać na świąteczną zabawę po raz pierwszy bez towarzystwa matki. Było to dodatkowo ekscytujące, choć przecież te kobiety w czerni siedzące pod ścianą izby na

pewno dopilnują, by nie zdarzyło się nic nieprzyzwoitego. Cóż, ona i tak nie zamierza chować się po kątach i pozwolić obmacywać głupim chłopakom. Nigdy przecież i tak jej to nie interesowało.

Suknia była świeżo wyprasowana, połyskiwała leciutko, śliczna. Miała kolor fiordu w późny wrześnieowy dzień, błękit przechodził niemal w czerni, gdy padł na niego cień.

Johanna rozwiązała szmatki zawiązane w wilgotnych włosach Reiny jeszcze poprzedniego wieczoru. Teraz wokół głowy zaszumiały wielkie loki zamiast drobnych fal, które zwykle zaczesywała na gładko albo splatała w gruby warkocz. Włosy Reiny były teraz grubsze i bardziej błyszczące, no i dłuższe, dawno bowiem ich nie obcinała. Gdy je zaplotła, sięgały jej do pasa, mokre po myciu były dostatecznie długie, by mogła na nich usiąść. Teraz jednak nakręcone i wysuszone otaczały jej głowę jak chmura i sięgały ledwie za ramiona.

- Mój Boże, jak pięknie wyglądasz! Włosy błyszczą jak suknia! Nie wiem, czy mimo wszystko starczy mi odwagi, żeby cię puścić, bo na pewno jakiś młodzieniec jeszcze mi cię ukradnie!

W głosie Johanny brzmiała wymuszona wesołość.

- Ależ, mam, nie strój sobie ze mnie żartów. Przecież ja nawet nie będę tańczyć, porozmawiam tylko chwilę z Aną, Britt i innymi dziewczętami. No i przypilnuję Benjamin, bo on chyba znacznie bardziej oszalał na punkcie narzeczonej niż ja.

Matka roześmiała się, tym razem szczerzej.

- Ach, tak? Czyżbyś coś słyszała? Może ma na oku jakąś panienczkę z Eidet?

Reina pokręciła głową.

- Co to, to nie, ale jest w nim coś... Zdaje mi się, że on bardzo lubi Aurorę. Johanna podniosła brwi.

- Ach, tak? Tak myślisz? Ale oni przecież ledwie się znają. Spotkali się zaledwie kilka razy latem i teraz, w święta.

Reina z powagą popatrzyła na matkę.

- I co z tego? Johanna zachichotała. Potem ujęła się pod boki i zadowolona przypatrywała fryzurze, którą zdołała ułożyć na głowie córki.

- No cóż, niemądrze powiedziałam. Oczywiście, że to wystarczy. Cóż, może masz i rację, lecz jeśli tak, to byłoby dziwne. Przyzwyczyłam się już, żeby myśleć o niej jak o twojej siostrze. Przecież wy jesteście nawet do siebie podobne! A dziś wieczorem bardziej podobne do siebie niż kiedykolwiek, tyle ci powiem. Te same ciemne włosy, tyle że ona ma oczy ciemniejsze, no i jest od ciebie trochę wyższa, przynajmniej na razie...

Reina zaczęła się niecierpliwić. W dodatku odświeżone trzewiczki ją gniotły i tęskniła

już za chwilą, gdy je zdejmie i wsunie nogi w ciężkie buty, w których miała jechać. Jeśli będzie jej sprzyjać szczęście, to nikt się nie zorientuje, kiedy wejdzie do odświetnej izby w starych butach. Spódnicę miała dostatecznie długą i szeroką.

- Wyglądasz jak księżniczka - westchnęła Johanna z dumą, kiedy córka obróciła się w koło na jej komendę. - Ta suknia jest trochę ciemna, ale bardzo ci w niej do twarzy.

- Nikt na pewno tak nie pomyśli. Ale i tak się będą gapić, bo z wyjątkiem sukien Aurory i być może jeszcze pani Cathrine niewiele pewnie będzie jedwabiu do oglądania - stwierdziła cierpko dziewczyna.

- No cóż, skończył się już ten czas, kiedy pozwalałam pięknym strojom gnić w kufrach, ponieważ nie chciałam pokazać światu, że mam coś ładnego.

I Reina włożyła do torebeczki, stanowiącej komplet z sukienką, jeszcze grzebień i kilka dodatkowych szpilek do włosów. Na ganku czekały już Emmi i Diana, obie otulone wełnianymi pelerynami, ozdobionymi barwionym futrem.

Ingalill krzyczała coś do matki w pokoju, potem trzasnęły jakieś drzwi i dziewczyna przybiegła z policzkiem naznaczonym czerwonymi śladami. Sparzyła się o rozgrzane żelazne szczypce, kiedy próbowała ufryzować rude warkocze. Czuć było od niej zapach spalonych włosów. Płakała, ale prędko pozwoliła się pocieszyć, kiedy Reina pogładziła oparzenie palcami i ból przeszedł. Zanim starannie opatulone dziewczęta zasiadły w saniach, na ich twarzach wykwitły rumieńce, które wymalował mróz, a Ingalill z radością pokrzykiwała na woźnicę.

Reina odwróciła się, żeby pomachać tym, którzy zostali na schodach, i w jednej chwili uświadomiła sobie, że zapomniała zajrzeć do chorego braciszka i obiecać mu kilka przysmaków z przyjęcia.

Cóż, on i tak niewiele da radę zjeść, mimo to jednak postanowiła schować parę kolorowych cukierków, którymi zawsze uroczyście częstowano z najlepszego kryształowego półmiska podczas świątecznego przyjęcia. Cukierki były kwaskowate i słodkie, zrobione z cukru i Bóg wie czego jeszcze, a Gyrid przysięgała, że nikt nigdy się nie dowie, gdzie zamawia te niezwykle smakołyki.

Temu łasuchowi na pewno sprawią przyjemność, pomyślała Reina, uśmiechając się do siebie. Diana i Emmi znów zaczęły śpiewać, dzwoneczki u sań pobrzękiwały delikatnie w wieczornym zmierzchu, niebieskawe światło jakby unosiło się znad fiordu i spowijało okolice delikatną kołdrą. Wkrótce szaroniebieskie niebo popęka i być może w powrotnej drodze zobaczą gwiazdy.

Reina sapnęła z zadowoleniem pod baranicą. Udem dotykała nogi Ingalill, a pod gachę

wciskała jej się drobna rączka Aurory. Benjamin siedział na koźle w grubym futrze ojca, a Reinie wpatrzonyj w jego plecy wydawało się wręcz, że to Ravi powozi.

Nie, teraz już nie.

Zaintonowała wesołą piosenkę, a Aurora popatrzyła na nią wielkimi oczami i zaraz wybuchnęła śmiechem.

- Śpiewasz prawie tak samo okropnie jak ja - zachichotała.

- Tak, tak, ale zaczekaj tylko, aż zobaczysz, jak fatalnie tańczę - odparła Reina ze śmiechem.

Benjamin odwracał się od czasu do czasu i gdy przez moment spojrzęła w jego łagodne oczy, wiedziała, że coś się wydarzyło.

Palce Aurory zacisnęły się na jej ramieniu i Reina zauważyła, że spojrzenia, jakie tamci między sobą wymieniali, są zbyt gwałtowne, zbyt prędko cofane.

Rozebrała go, nie wiedziała, co innego może zrobić, bo teraz nie pomagała już ani kora z wierzby, ani nacieranie skóry zimną wodą. Vetle oddychał szybko i płytko, nie mogła go dobudzić. Pocieszała się z początku, że zmęczyła go gorączka, lecz gdy na kilka długich sekund zupełnie przestał oddychać, wystraszyła się.

- Vetle! Vetle, kochany, zbudź się! Popatrz na mamę i otwórz oczy, zobacz, zapaliłam u nas świecę, zaraz dostaniesz coś słodkiego do picia, mój mały...

Ale on ledwie uniósł powieki.

Johanna widziała już dostatecznie dużo dzieci dręczonych gorączką, żeby wiedzieć, że mały jest teraz daleko w świecie majaków. Wydało jej się, że rozciągnął usta w uśmiechu, gdy zdjęła mu koszulę. To znaczy, że jest przynajmniej na tyle przytomny, by odczuć przyjemność chłodu powietrza na rozgrzanym ciele.

Uniosła go trochę i wsparła na poduszkach, może w tej pozycji łatwiej mu będzie oddychać. Chłopczyk chwycił powietrze, ale wyrócił oczy, tak że widać mu było tylko białka.

Johanna była śmiertelnie przerażona. Przyłapała się na tym, że podnosi wzrok nad ścianę nad łóżkiem, jak gdyby spodziewała się, że ujrzy jaśniejący tam biały krzyż. Zobaczyła jednak tylko brązowe drewno, wpatrywała się w nie, aż do oczu napłynęły jej łzy i wszystko przesłoniła mroczna mgła. Serce waliło jej w gardle, usłyszała, że oddech synka się zmienia.

- Panie Boże w niebiosach, dopomóż mi, nie odbieraj mi go, nie... Gdy spuściła wzrok, już wiedziała. Na małe sinoczerwone punkciki do tej pory nie zwróciła uwagi. Na jej oczach rosły, zmieniając się w maleńkie róże na małym bladym ciałku. Zapadła cisza.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie było muzykanta, lecz goście i tak potrafili rozpocząć taniec. Śpiewali, przytupując do rytmu, a kobiety prześcigały się, której głos ma prowadzić. Mężczyźni przyłączali się do refrenów, a starzy dziadkowie walili rytmicznie łyżkami albo gołymi pięściami w nakryte lnianymi obrusami stoły, by podać rytm.

Młodzi tańczyli.

Kilkoro małżonków obracało się w koło w ciasnych objęciach, lecz młodszy tańczyli polkę tak, jak nakazywał obyczaj: chłopcy z pięściami zaciśniętymi na palcach dziewcząt obracali nimi w nie kończącej się serii piruetów aż do zawrotów głowy tak mocnych, że wkrótce chłopak po prostu musiał objąć partnerkę, podeprzeć ją w krzyżu i przez dobrą chwilę podtrzymywać.

Reina siedziała wraz z Dianą i, mrugając, usiłowała odpędzić dym z oczu. Lampy kopciły, nie były tak dobre jak te na Vildegard, bardziej niezgrabne, domowej roboty, a płonąca w nich oliwa wydzielala ostry zapach. Zapalono także dwa wielkie kandelabry z woskowymi świecami, które powinny dawać dość światła, pod dachem jednak snuł się dym, a winą za niego należało po części obarczyć również mężczyzn, palących fajki i cygara. Sprzedawał je sam pastor, ręcznie zwijane w Brazylii, jak oświadczył z dumą. Tylko szylinga za sztukę!

Patrzyła, jak Emmi wywija, lekko i swobodnie podskakuje w obcym sobie tańcu, a handlarz, który jej towarzyszył, wznosił się nad drobną kobietą niczym góra.

Widziała, że Ingalill siedzi przy drugim końcu długiego stołu, najwyraźniej zajęta rozmową ze studentem, który widocznie pobladł i cały się spocił, przejęty takim zainteresowaniem.

Gospodyni nareszcie trochę się uspokoiła, gdy wydano poczęstunek i okazało się, że wystarczy kiełbasy, solonego mięsa i sera. Piwo nie przestawało płynąć strumieniem z ustawionego w kącie małego stolika kucharza. W izbie panował tłok.

Szum głosów towarzyszył pieśni i Reinie zamgliło się w głowie. Czula się niedobrze, być może zaszkodził jej ten obowiązkowy kieliszek wódki, podawany przy wejściu wszystkim, nawet tym najmłodszym, którzy właściwie nie powinni smakować mocnej gorzałki.

Wstała, zmrużonymi oczyma popatrzyła na drzwi. Czy ktoś się zorientuje, gdyby się stąd wymknęła?

Nie, wszyscy wyglądali na bardzo zajętych.

- Zaraz wracam - szepnęła do Diany, która klaskała teraz w dłonie uniesione nad głową i wyglądało na to, że świetnie się bawi wśród całego tego zamieszania. Pewien wieśniak z Nes kręcił się koło niej przez cały wieczór i teraz znów podszedł na chwiejnych nogach, niosąc dwa pełne po brzegi kubki piwa.

Reina zebrała spódnice i pamiętała o tym, żeby przejść przez pomieszczenie wolnym krokiem z wysoko podniesioną głową. Jedwab szeleścił, ocierając się o drgającą podłogę.

Cisza na zewnątrz była niczym cudownie orzeźwiający kubek wody w letni skwar.

Wciąż słyszała klaskanie i równy śpiew, taniec zmienił się teraz w spokojniejszą piosenkę, widać rozpoczęto starą zabawę w kole.

Zachłystywała się powietrzem, podniosła oczy w górę. Tak, na niebie pojawiły się już gwiazdy. Wisiały na nim wciąż kłębki szarobladych chmur, lecz księżyc świecił jasno i widać było, że wiatr wkrótce pochwyty obłoki i pogna je za Molden.

Dzięki delikatnej lekkiej pokrywie śniegu cały pejzaż aż lśnił.

Reina bardzo lubiła takie noce.

Gdy zamknęła oczy, mogła patrzeć tak daleko, jak tylko chciała.

Nie śmiał się do niej zbliżyć. Stała nieruchomo, pozwalając, by roztańczone płatki śniegu, które wiatr porywał z dachu, padały na jej twarz. Topniały na półotwartych ustach, lecz na ciemnych rzęsach kładły się pięknie jak klejnoty. Jej niezwykła fryzura wydawała się ciężka i duża, dziewczyna stała z głową odchyloną w tył, jak gdyby nie była już dłużej w stanie utrzymać ciężaru włosów.

Widział, że stoi zatopiona w myślach. Od czasu do czasu wysuwała tylko język i chwytła nim śnieżynkę.

Ze też jej nie zimno!

On sam przez pewien czas siedział na kamieniu pod ścianą od południa, chcąc dać wytchnienie uszom, podczas gdy tańce i śpiewy w środku osiągały coraz to nowe tony. Wypił trochę za dużo piwa. Był już jednak teraz mężczyzną i powinien umieć sobie z tym poradzić, nie przynieść sobie wstydu zataczaniem się, a w najgorszym razie wymiotowaniem w paradnej izbie. Dlatego właśnie postanowił się trochę przejść i teraz rzeczywiście rozjaśniło mu się w głowie. Wypite piwo wyczuwał tylko jako miłe ciepło w żołądku.

Wiedział, że gdyby ono nie dodało mu siły, nigdy by się nie przełamał. Ruszył jednak w jej stronę i zanim miał czas, żeby się zastanowić, co też powinien powiedzieć, język sam wymówił jej imię. Odwróciła się do niego, zaskoczona, prędko mrugając. Ostrzegawczo wyciągnął rękę w przód.

- Nie bój się, Reino Vildegard. Nie chciałem cię wystraszyć, ale dużo czasu już minęło, odkąd rozmawialiśmy, wiesz chyba...

Dużo czasu!

Reina westchnęła zaskoczona, z niedowierzaniem. Dużo czasu!

Dobrze wiedziała, że on pamięta, ile czasu dokładnie.

To było tamtego dnia, kiedy wpadli na siebie, a on odmówił wyświadczenia jej przysługi. Rzecz, o którą go prosiła, była skandaliczna. Na samo wspomnienie twarz zaczęła jej płonąć.

- Tak pięknie dziś wyglądasz - powiedział nieśmiało. Reina poczuła teraz bijący od niego odór piwa, stał bowiem zaledwie w odległości kilku kroków od niej. Gardło jej się ścisnęło, zapach nie był przyjemny, a poza tym on stał zwrócony do niej zniekształconym policzkiem. Mimo to jednak chciała, by nie przestał do niej mówić. Zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję - odparła cicho. - To suknia Marji...

- Teraz należy już chyba do ciebie. Reina kiwnęła głową. Pomyślała w duchu: Tak, ponieważ twój ojciec ją zabił. Oboje myślimy o tym samym, prawda?

Chrząknął, wsunął dłonie do kieszeni kurtki. Był teraz wyższy, to już dorosły mężczyzna. Przerósł ją co najmniej o głowę, nawet gdy tak jak dzisiaj nosiła trzewiki na obcasie.

- Ty... nie tańczysz? Reina pokręciła głową, poczuła przy tym, jak loki zaczepiają o spinki we włosach.

- Nie, mnie to nie interesuje. Uśmiechnął się.

- Na pewno niejeden prosił cię do tańca dziś wieczorem.

- Tak, ktoś tam marudził - odparła. Pokiwał głową. Zapatrzył się przed siebie. Księżyc rzucał dziwne cienie na jego twarz.

Podkreślały bruzdy i rowy tam, gdzie powinien być gładki młody policzek. Reina teraz, gdy odwrócił głowę, przyjrzała mu się uważniej.

Włosy wystawały mu spod, czapki, gęste, lekko kręcone. Tak samo ciemne jak przedtem, chociaż nie, jeszcze ciemniejsze. Prawie tak ciemne jak jej własne, uświadomiła sobie.

- Myślę, że porozmawiamy kiedy indziej, Reino. Nie chcę, żebyś miała kłopoty. Twoja matka nie byłaby łaskawa, gdyby dowiedziała się, że stoję tu teraz i rozmawiam z tobą. Pewnie pogoniłaby za mną z muszkietem!

Reina uznała, że chłopak plecie bzdury, nie mogła jednak nic poradzić na to, że obrazek, który namalował przed nią tymi kilkoma słowami, bardzo ją rozśmieszył.

Matka ścigająca go, w dodatku z bronią! Przecież ona nawet nie umie odróżnić, gdzie jest przód, a gdzie tył strzelby.

- Mama ma powody, by myśleć tak, jak myśli. Niemało udręć zaznała od ludzi ze Storlendet. Ona jako jedyna z naszej rodziny dobrze was zna. Od podszewki!

Chłopak z powagą pokiwał głową i odwrócił się teraz do niej. Pochwycił roziskrzone spojrzenie.

- Szkoda, że nigdy się nie dowie, że przynajmniej ja ocaliłem jej córkę od niej samej.

Reina nie znalazła odpowiedzi.

Wiedziała jednak, że pewnego dnia będzie musiała mu za to podziękować.

- Byłam wtedy jedynie zrozpaczoną dziewczynką. Ty chyba to rozumiesz? Spuściła wzrok, oczy zatrzymały się na jego dłoniach, zaczepionych kciukami o pasek. Miał dość duże ręce, wyglądały jednak na miękkie, wcale nie szorstkie. Zapewne dziedzic Storlendet nie zajmował się najcięższymi robotami.

- Wiem - rzekł łagodnie. - Byłaś wtedy małą dziewczynką... Ale widzę, że teraz już nią nie jesteś.

Urwał.

W jego głosie było coś w rodzaju zdumienia, jakby urażonego zdumienia, że ona ośmieliła się dorosnąć. Co się z nim dzieje? Czyżby wciąż szukał towarzyszek zabaw, tak jak przedtem, zanim stało się to z Marją? To już wtedy było złe, a teraz wręcz niemożliwe. Chyba powinna to zrozumieć.

Zmusiła się, by podnieść głowę i znów spojrzeć mu prosto w twarz.

- Chyba wrócę już do środka, Arillu Storlendet. Ty dla przyzwoitości poczekaj tu trochę. Masz rację w tym, co powiedziałeś o mojej matce. Rzeczywiście najpewniej pogoniłaby cię, wygrażając muszkietem, i pewnie zdzieliłaby cię nim przez łeb.

Chłopak roześmiał się, Reina spostrzegła, że oczy mu błyszczą, a wargi rozciągają się, odsłaniając błyszczące zęby. Kiedy tak się uśmiechał, aż tak bardzo nie rzucało się w oczy, że cała jedna strona twarzy jakby zastygła w grymasie.

Wyciągnął do niej rękę, pragnąc złożyć życzenia noworoczne. Reina nie ośmieliła się jej ująć, odparła tylko pogodnie:

- Oby i dla ciebie ten rok był jak najlepszy.

Później dudniło jej w piersi jakimś dzikim niezwykłym rytmem, wywołanym nie tylko strachem, lecz także czymś, co przypominało gniew.

Nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy, kiedy go opuściła, stojącego z ręką wyciągniętą na próżno.

Przecież chyba nic w tym złego, że podałyby mu rękę, odpowiadając na noworoczne życzenia. Chyba nawet matka umiałaby to zrozumieć, bo przecież zwyczajną uprzejmość należy okazywać również człowiekowi ze Storlendet.

Nie, ona by tego nie rozumiała. Przeciwnie, z radością słuchałaby o tym, jak to Reina napluła w wyciągniętą do niej dłoń. Na pewno właśnie tak postąpiłaby Marja.

Ale te oczy - patrzyły na nią dokładnie tak samo jak wtedy w maleńkiej chacie komorników, gdy go tam ukryła i pielęgnowała. Przynosiła lekarstwa matki. Była pewna, że bez nich by nie przeżył.

On też już raz uratował jej życie.

Czy to znaczy, że wciąż jest mu coś winna? Czy to dlatego tak śpiewa i huczy jej teraz w uszach, ponieważ przypomniała sobie o starym długu?

Nie, tak być nie mogło.

A może się bała, że ktoś ich zobaczył i doniesie o wszystkim Johannie?

Ale nie, podwórze było puste. A zresztą nawet gdyby, to kto miałby w tym interes? Dość tu było innych powodów do plotek. Ona sama na własne oczy widziała, jak wdowa po Kristenssonnie szarpie córkę za ucho i wyciąga ją z izby zaraz po poczęstunku, bo dziewczyna pozwoliła, żeby Dinwik za mocno obejmował ją w tańcu.

A Charlotta z Rypeli upiła się do nieprzytomności słodkim piwem i nie zauważyła nawet, że srebrna brosza jej się rozpięła i bluzka rozsunęła na boki, odsłaniając połowę jednej piersi, kiedy siedziała przy stole.

Reina poszukała wzrokiem Emmi.

Dym snuł się teraz jeszcze gęściejszy niż przedtem, choć paliły się jedynie woskowe świece.

Nie dostrzegła Emmi ani Diany, zauważyła natomiast Benjamina. Trzymał Aurorę za rękę i niezgrabnie podskakiwał przy niej, próbując nauczyć się mazurka.

Osunęła się na krzesło pod ścianą. Królowały tu starsze kobiety, bacznie przyglądając się tańcom. Przestały już klaskać, pewnie rozboleły je ręce, pomyślała Reina. Najbliżej siedząca ze staruszek uśmiechnęła się do niej życzliwie, chwając za okazywaną skromność.

- Tańce nie są dobre dla młodych ludzi - wydusiła, odsłaniając brunatne pieńki zębów.  
- Ale dla takiej starej baby jak ja, to przyjemność popatrzeć.

Reina uśmiechnęła się lekko, w uszach jej teraz szumiało. Było tylko nie się nie wydarzyło, tak żeby nie narobiła sobie wstydu wśród wszystkich tych ludzi.

Powędrowała wzrokiem dalej, usiłując jednocześnie rozluźnić twardy supeł mięśni napinający się już między łopatkami.

Wtedy ich zobaczyła.

Ingalill z przekrzywioną głową mocno ścisnęła Arilla za rękę. Przytuliła się do niego, drepcząc w koło, podczas gdy on usiłował zmusić ją do tańca w wyznaczonym przez siebie rytmie. Ingalill potknęła się, ciężko upadła na niego. Reina zobaczyła, że chłopak obejmuje ją ze śmiechem.

Ingalill zaraz się wyprostowała, a on schylił się do niej, przyłożyła usta do jego ucha, chyba coś szeptała. On przez moment stał poważny, ale zaraz znów wybuchnął śmiechem i uniósł ją odrobinę nad ziemią przy następnym obrocie.

Spódnica Ingalill zamiotła podłogę, chlaszcząc innych tancerzy po łydkach.

Reina odwróciła głowę.

Czuła, że pragnie jedynie wrócić do domu.

Usiłowała ściągnąć wzrokiem Emmi albo Helenę, to one miały wyznaczyć porę powrotu, jeśli oczywiście woźnica wciąż był trzeźwy, a w saniach ciepło...

Coraz bardziej kręciło jej się w głowie, chciała wstać jeszcze raz i wrócić w cichą zimową ciemność, bała się jednak, że on przyjdzie za nią, jeśli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w myślach.

Cały czas tańczył z Ingalill, dziewczyna zrozumiała już widać kolejność kroków, bo wywijali teraz naprawdę elegancko i swobodnie. Patrzyła na jego wielką dłoń, spoczywającą w talii dziewczyny, takiej smukłej pod pełnymi piersiami. Reina zobaczyła, że Ingalill rozluźniła sznurowanie brokatowego stanika i teraz czerwone jedwabne sznurki zmieniły się w małe baciki, które drażniąco uderzały chłopaka w brzuch za każdym razem, gdy zawracał w tańcu.

Czyżby zakochał się w Ingalill?

Reina odetchnęła głęboko, czując, jak zęby trą o siebie w ustach. Ta głupia dziewczyna! Jakże ona się wystroiła, przecież to nieprzyzwoite tańczyć tak w rozpiętej sukni, w dodatku z najgłupszym pod słońcem uśmiechem na ustach. Znów na niego wpadła! Udaje, że niby to kręci jej się w głowie!

Reina w duchu poprzysięgła sobie, że matka musi się o tym dowiedzieć.

W tej samej chwili Helena ciężko siadła na stojącym obok niej krześle. Pachniała słodkim potem, pewnie tańczyła z Bendikiem, który stał teraz w rogu wraz z innymi mężczyznami i wznosił pieniący się kubek, przepijając do starego znajomka.

- I jak, dobrze się bawisz? Pokręciłaś się trochę, Reino? Pierwsza świąteczna zabawa to musi być dla ciebie coś naprawdę emocjonującego. Tak wcześnie przystąpiłaś do konfirmacji, że być może byłoby mądre ze strony twojej matki poczekać, aż skończysz

siedemnaście lat. Ale co ty na to, wesoła zabawa?

Jak na Helenę była to bardzo długa tyrada. Kobieta o zwykle tak spokojnej twarzy szczyrzyła teraz zęby w uśmiechu do Reiny, a dziewczyna nagle dostrzegła, jak bardzo Ingalill jest podobna do swojej matki. Miała te same błyszczące zielone oczy, identyczne lekko wygięte łuki brwi nad nimi, ale usta miała inne, a włosy Heleny nie płonęły już tak żywym ogniem jak kiedyś. Nad uszami i czołem pojawiły się cienkie bladobrunatne pasma. Mimo to wyglądała teraz prześlicznie, na policzkach wykwitły jej rumieńce, a twarz błyszczała od ciepłej wilgoci.

- Tak... Miło tutaj, tyle życia, ale mnie tańce nie interesują. Helena ściupila wargi.

- Ach, tak? A ja myślałam...

- To takie niemądre - warknęła Reina. - Wszyscy to robią jedynie po to, żeby móc się obmacywać bez konieczności stawania za to przed sądem.

Helena wybuchnęła śmiechem.

- Moja kochana, nie przypuszczałam, że taka z ciebie moralistka! Jesteś chyba jeszcze gorsza niż twoja matka!

Reina milczała, spojrzenie utkwiała w stole. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, dwie słone krople stoczyły się na jasny obrus i jakby na nim roztopiły.

Helena pochyliła się w przód.

- Ależ, moja kochana, co się z tobą dzieje? Chora jesteś? Czy to... Reina próbowała się podnieść, obiema rękami chwyciła się brzegu stołu i mocno oparła o mebel, pozwalając przy tym włosom opaść na twarz i częściowo ją zasłonić.

- Chcę wracać do domu - szepnęła zduszonym głosem. - Błagam cię, Heleno, muszę wracać...

Helenie oczy pociemniały. Z lękiem położyła dłoń na ramieniu Reiny.

- Poproszę parobka z Norset, żeby cię odwiózł. Czekają już gotowi, ale gospodarze widać jeszcze nie dość się napili. Dla nas to chyba jeszcze za wcześnie, nie podano nocnego posiłku.

Reina tylko skinęła głową.

Pozwoliła, by Helena ją wyprowadziła, po drodze usprawiedliwiając się na prawo i lewo.

- Dziecko nie najlepiej się czuje. Nie, nie, nic jej nie trzeba. O, tak, na pewno przekażę pozdrowienia jej matce. Nie, to na pewno tylko początki przeziębienia.

Czuła jego spojrzenie na plecach, lecz nie widziała, jak w trakcie tańca zapomniał o swej partnerce i stanął na środku ludzkiego kręgu, bezradnie unosząc w górę rękę.

Reina nie miała śmiałości, by zamknąć oczy, dopóki mocno otulona futrami nie siadła w saniach, a nieznajomy chłopak gwizdami i pokrzykiwaniami nie pobudził koni do biegu. Usiłował z nią rozmawiać, był taki wesoły i młody, na pewno nie przegapił należytą mu porcji z dzbanków, którymi hojnie obdzielano czeladną, żeby rozgrzać powożących i wszystkich innych, którzy nie przyłączyli się do tańca, woląc raczej cieszyć się rzadkim smakiem prawdziwej wódki.

Wiedziała, że on ma na imię Kristafar, więcej wiedzieć nie chciała, lecz on już wychwalał pod niebiosa pewną dziewczynę o imieniu Lina, pochodzącą z Havella, która miała najpiękniejszy uśmiech na świecie.

Reina odgrodziła się od niego, zapadła w szum. Wiedziała, że to się stanie, teraz w nocy, lecz wcale się nie bała.

Oczy matki, już one wystarczyły. Te wizje, tak zastanawiająco piękne, w jednej chwili stały się dla niej jasne jak kryształ. A więc takie było wyjaśnienie. Okrutne lustrzane odbicie tego, co zobaczyła podczas powrotnej podróży saniami do domu.

Pod wysokim niebem wszystko wydawało się takie piękne. Teraz zgięła się wpół na środku pokoju i pozwoliła, by nękające ją nudności wezbrały z ostateczną mocą. Potem kwaśny odór szarpał za usta i nos, ale matka stała nieruchomo, wpijając jej ręce w ramiona jak szpony.

- Kiedy...? Johanna załkała i odpowiedziała na wdech:

- Teraz, przed chwilą. Ach, Reino, wybacz mi! Reina jak przez sen uwolniła się z uścisku matki. Pod ławą w kuchni znalazła wiadro, starannie napełniła je ługowym mydłem i zimną wodą, przyniosła też ścierkę, której służąca używała do wycierania koryta dla świń. Zabrała to wszystko do pokoju, uklękła, zanurzyła ręce w ostrym roztworze. Skóra natychmiast ją zapiekła. Z całej siły tarła wypolerowane deski podłogi, patrzyła, jak ług zostawia jasne smugi na drewnie. Matka stała nieruchomo, nie odrywając od niej oczu. Reina widziała brzeg jej spódnicy, tej samej pięknej spódnicy, którą miała na sobie tamtego dnia, gdy siedzieli w Zamku Marji, pijąc poncz.

Kraj tej spódnicy nawet nie drgnął. Na Boga, jak to się dzieje, że ona stoi tak nieruchomo? Czy możliwe, żeby żywy człowiek do tego stopnia się nie poruszał?

Palce ją paliły, ale podłoga była już czysta. Odór wymiocin był teraz jedynie ledwie wyczuwalny, za to ług drażnił nozdrza. Reina poczuła, że do oczu napłynęły łzy. To mogło być przez ten ług. Gdzieś w głębi ducha pragnęła wierzyć, że dopóki będzie myć i szorować, pociągać nosem i czuć pieczenie palców, to nie starczy miejsca na takie wiadomości jak ta, którą przywitała ją Johanna. Mały kochany Vetlebror.

A mimo to tak łatwo było jej uwierzyć, w głębi serca już o tym wiedziała. Miała owo poczucie mającej nadejść katastrofy już wtedy, gdy Arill utkwiał w niej spojrzenie tam, na dziedzińcu kościelnym.

Potem deska podłogowa rozpląnęła się w wodzie i łzach, wywrócone wiadro potoczyło się po podłodze, zadzwoniło nieprzyjemnie, kiedy rączka uderzyła w obicie wokół brzegu. Teraz kraj spódnicy się zbliżył. Pod pachy Reiny wsunęły się ręce i dziewczyna na wpół oślepią ruszyła za matką, żeby się pożegnać z braciszkiem.

Małeńka alkowa lśniła i błyszczała jak królestwo niebieskie. Matka musiała tu wnieść wszystkie świeczniki, jakie tylko mieli w domu. Przy główce stał srebrny lichtarz Benjamina, a w nim jedna z białych świec, które Karlsgard miało ofiarować do kościoła. Reina spostrzegła, że świece niedawno zapalono. Z ostrego czubka wypalił się zaledwie koniuszek.

Wyglądał jakby spał, policzki wydawały się nawet odrobinę czerwiejsze, włosy, uczesane i błyszczące, zakrywały czoło, ale głębokie cienie pod oczami rysowały na małej twarzyczce otchłanie sinoczarnej śmierci.

Oczywiście ubrała go na białe. Reina podeszła bliżej, spostrzegła, że to ślubna koszula ojca.

Płacz ścisnął ją w brzuchu, zupełnie inny płacz niż ten, który najpierw napływa do oczu.

Wyciągnęła rękę, mrugając odpędziła wełnistą zasłonę, która przesłoniła spojrzenie. Tuż nad uchem poczuła drżący oddech matki. Pachniał tak słodko, czyżby opium?

- Wybrał się w niebieską drogą - szepnęła pustym, głosem.

- Jest teraz u swego ojca - odparła Johanna głucho. Reina gwałtownie odwróciła się do matki. Po raz pierwszy, odkąd otrzymała wiadomość, popatrzyła jej w oczy. Jakie ciemne jest to jedno, a drugie wydaje się dziwnie obce.

- Naprawdę tak myślisz, mamó? - spytała niepewnie. Johanna kiwnęła głową.

- Z każdym dniem coraz bardziej. Reino, boję się, boję! Ostatnie słowa wypowiedziała krzykiem.

I teraz ramiona Reiny zacisnęły się wokół drżącego ciała, zanurzyła twarz w rozczochrane włosy matki, pojękując cicho.

- Nie bój się, mamó. Teraz już nie ma się o co bać. Teraz już stało się to, czego zawsze tak strasznie się lękałaś.

Johanna zaniósła się szlochom, lecz stłumiła go, wciskając usta w okryte delikatnym jedwabiem ramię córki. Reina przez materiał wyczuła jej zęby.

Właśnie w tej chwili nadleciała ku niej myśl, uniosła się z żółtego światła płomieni

gromnic, ustawionych przy zwłokach:

To właśnie znaczy być dorosłą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dopiero cztery noce po pogrzebie opowiedziała Johannie o niezwyklej wizji w drodze do domu, od której jej głowa zrobiła się taka dziwnie lekka i otępiała. Widziała wtedy małego chłopca, zobaczyła go podczas wizji, nie rozpoznając w nim brata. Chłopczyk nie miał twarzy, nie miał też właściwie sylwetki, był tylko wrażeniem, które pojawiło się pod powiekami, «delikatną dłonią, muskającą jakąś strunę w jej wnętrzu.

Dotknął jej lekko, czule, i wiedziała, że to coś w rodzaju pożegnania. Mimo wszystko nie było to wcale smutne. Ulga, że niebieska droga nareszcie się przed nim otworzyła, była dominującym uczuciem podczas całego tego przeżycia. Chyba się uśmiechał, chociaż nie miała pewności. Czuła przecież tylko delikatne promyki ciepła, gdy dotarło do niej bijące od niego światło. Czy słyszała pieśń? Tak, być może bardziej daleką i piękniejszą aniżeli ta, którą wykonywał chór w kościele. A zapachy? Tak, pamiętała, że z przyjemnością wypełnia płuca powietrzem. Przede wszystkim jednak utkwily jej w pamięci kolory i intensywna, przesycona radością cisza.

Teraz nabrała już pewności.

On się z nią pożegnał.

Z oczu matki wolno spływały łzy, gdy jej o tym opowiadała, i Reina wiedziała, że Johannę ta opowieść pocieszyła bardziej niż cokolwiek innego. Dopiero gdy spytała, czy Reina widziała, że ktoś go tam przyjął, jej rozluźniona twarz znów ściągnęła się w codziennym zmęczeniu.

Reina wolno pokręciła głową. Warkocz na głowie wydawał się za ciasno spleciony i ciężki.

- Nie, nikogo innego nie widziałam. Nikogo nie poznałam.

- Ktoś go tam przyjął, ja o tym wiem! Krzyk Johanny był niczym wołanie tonącego o ratunek. Reina popatrzyła na nią, gorąco pragnąc, by mogła dodać tę odrobinę. To jednak nie było możliwe, nawet teraz. Dlatego milczała.

- Marja przez cały czas miała rację - szepnęła Johanna głuchym głosem. - Omyliłam się. Karmiłam się kłamstwem, tak właśnie było! Przeklęta matka, to ona nauczyła mnie tych kłamstw! Ją samą także oszukano! Do wszystkich diabłów, naprawdę straszne z nas barany! Zdurniałe owce, wierzące w istnienie gdzieś tam w górze sprawiedliwego Boga, który troszczy się o nasz nędzny los!

Reina wpatrywała się w matkę, przerażona wypluwanymi przez nią słowami. Nie

przestraszyła się płaczu ani krzyku czy nawet gniewu, lecz nigdy dotąd jeszcze nie słyszała, by matka była do tego stopnia pełna goryczy i rezygnacji.

- Mamo, jesteś zmęczona. Nam wszystkim jest ciężko. Nie wolno ci tak mówić.

Serce waliło jej w piersi. Często dziwiły ją długie wieczorne modlitwy matki i to, że bez względu na to, co się działo, zdawała się uważać, że dzięki swym codziennym rozmowom z Bogiem w niebiosach jest w stanie kontrolować przynajmniej większą część życia.

Johanna nie uniosła nawet ręki, żeby otrzeć łzy, które zasychały jej teraz na policzkach, sprawiając, że skóra napinała się w ostrych fałdach pod szeroko otwartymi oczami.

- Przekonasz się, jutro wszystko będzie lepiej, odrobinę lepiej, a potem przyjdzie nowy dzień, później jeszcze jeden. Vetebrora nie ma już z nami, ale nigdy go nie zapomnimy. Będzie więc mimo wszystko żył.

Johanna usłyszała w tych słowach echo swych własnych pociech.

Wypowiedziała je wtedy, gdy chodziło o modlitwę za Raviego.

Tym razem to coś innego, zupełnie innego. W tej chwili jej maleńki, chudziutki Vete marzył głęboko w grobie w przemrożonej ziemi, mając jedynie do okrycia ślubną koszulę swego ojca.

To było nie do zniesienia.

Johanna wpatrywała się w bezradną twarz córki, rozumiejąc, jak małą pociechę przyniosły jej wtedy te same słowa.

- Nigdy więcej nie będę się już modlić - oświadczyła zmienionym głosem. - Bo wszystko, o co błagam, by się nie stało, staje się. I wszystko, za co dziękuję, zostaje mi odebrane.

Reina podniosła się sztywno. Potem cicho wyszła z pokoju. Znalazła Benjamina siedzącego przy ogniu w salce dla chorych. W kącie chrapały dwie staruszki, matka musiała przyjąć je pod swój dach zaraz po pogrzebie. Jednej trzeba było naciąć wielki wrzód na szyi, druga mało nie wykrwawiła się na śmierć po upadku ze stromego zbocza, zanim ją przyniesiono.

Reina przytuliła się do brata. Tak strasznie było jej zimno, ale też i po krótkiej odwilży przed Bożym Narodzeniem wróciły mrozy.

Zorientowała się, że Benjamin także drży.

Nic nie mówił, tylko wyciągnął rękę i objął siostrę. Mocno, z całej siły. Poczula, jak napinają mu się mięśnie, gdy tulił ją do siebie, a jej własna moc z niej wypływa. Przez moment miała wrażenie, że to ojciec tak ją trzyma w objęciach, spokojnie, mocno, na zawsze.

- Ten mały łobuziak - zapłakał Benjamin, nie przestając się uśmiechać. - Pamiętasz, Reino, jak latem wepchnął cię do wody? Pamiętasz, jak bardzo się z tego śmiał? A kiedy pożyczył mój teleskop, pamiętasz jego oczy? Jakie były wielkie? Jak gdyby zobaczył coś naprawdę baśniowego!

Reina musiała się uśmiechnąć, wszystko to pamiętała bardzo dobrze.

Benjamin nie przestawał karmić jej dalszymi urywkami wspomnień, Reina wciąż płakała, wszystko się w niej wywracało, ale z uśmiechem na ustach przyjmowała obrazy, wspomnienia z krótkiego, wesołego życia małego braciszka.

- Prawdą jest to, co mówią ludzie, Reino. Najlepszych Bóg wcześniej zabiera do siebie.

Reina wolno skinęła głową i otarła policzki. Spojrzała na twarz Benjamin.

- On był chory - rzekła z powagą. - Ty także jesteś chory, bracie. Nie boisz się śmierci?

Benjamin przyłożył głowę do jej czoła.

- Ja jestem zdrowy - szepnął. - Wiem, co mogę, a czego nie mogę. Będę żył równie długo jak ty, siostrzyczko.

Reina westchnęła ciężko. Wdychała zapach brata, w którym czuła się tak bezpieczna. Coś w tym zapachu również przywodziło jej na myśl ojca.

Benjamin długo milczał, a potem powiedział, nie przestając gładzić jej po plecach:

- Nie osądzaj matki zbyt surowo, Reino. Ona wcale nie myśli tak, jak teraz mówi.

Reina podniosła głowę.

- Słyszałeś nas? Potaknął.

- Ona będzie taka jak dawniej, przynajmniej prawie. Wydaje mi się, że najbardziej boli ją to, że ojciec nigdy nie widział Vetlego.

Reina zastanowiła się nad tym przez chwilę. Owszem, być może tak i było. Ale potem nie mogła się już dłużej powstrzymać:

- Benjaminie, czy myślisz... Czy wydaje ci się, że wpadłaby w taką samą rozpacz, gdyby to spotkało któreś z nas?

Benjamin milczał.

Reina dostrzegła jednak pewien żal na jego twarzy i to, że się odwrócił, zanim odpowiedział.

- Na pewno, bo dlaczego nie...

- Ale on był taki mały - przerwała mu Reina. - Taki mały, niewinny, kochany i dobry. Nie taki jak ja, która krzyczę, złoścuję się i przez cały czas tylko przysparzam jej kłopotów.

Benjamin mocno złapał ją za ramiona.

- Spójrz na mnie, siostrze, nie wiesz chyba, co mówisz. Nie wolno ci tak myśleć. Dobrze wiesz, że ona kocha nas wszystkich, to znaczy teraz nas oboje. A Vede był najmniejszy, nie powinno być tak, że to właśnie ci najmniejsi umierają.

Reina nie spuszczała z niego oczu, gardło jej się sznurowało.

- To powinienem być ja, słyszysz? To ja powinienem skaleczyć się nożem albo spaść z drabiny, po których ciągle się wspinam, albo...

Głos mu się załamał.

Reina wielkim wysiłkiem woli zdołała unieść rękę i pogłodzić go po policzku.

W kącie jęknęła któraś z chorych.

Poza tym w całym domu panowała cisza.

Benjamin siedział nieruchomo na ławie, dopóki ciało Reiny wreszcie się nie rozluźniło, a potem pozwolił jej ostrożnie opaść na wyściełane siedzenie i poruszając się cichym krokiem, przyniósł koc z kufra pod oknem. Zajrzał jeszcze do ognia, zanim wyszedł z pokoju, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Zimowa noc dobiegała kresu.

Na wschodzie horyzont płonął bladym pomarańczem. Wszyscy zapewne jeszcze spali, i dziewczki służące, i parobcy, i goście rozlokowani na strychu w Zamku Marji.

Wystawił twarz na chłodny powiew od fiordu i spostrzegł, że księżyc skurczył się w wąski sierp.

Co ona powie, jeśli on pojawi się o tej porze, z oczami tak czerwonymi i obolałymi, że chyba nie zniosą widoku czegoś równie pięknego jak ona?

Nastał kwiecień. Ta wiosna pobłogosławiła ich wszystkich wczesnym ciepłem, jak gdyby chcąc zadośćuczynić za ciężką zimę. Słońce rozpałiło się już od lutego, a zanim minął marzec i święta Wielkiej Nocy, ogrody i łąki już się zazieleniły. Drzewa owocowe w sadzie pastora groziły, że zakwitną przed majem, co było doprawdy niezwykłą rzadkością.

Nawet fiord był ciepły i łagodny, przyjemny zielony kolor wody mógł zwiędzić każdego. Na szczycie Molden śnieżny kaptur wciąż jeszcze jaśniał bielą, lecz z dnia na dzień patrzyli, jak góra go z siebie wypaca.

Bendik wyprostował kark na polu kapusty i po raz setny już chyba pobłogosławił taką pogodę. Byle tylko w maju nie nadeszła susza. Często po tak pięknej wiosnie nadchodziło suche lato. Ale co tam, nastał czas radości i nadziei, dlaczego zawsze trzeba wierzyć, że nawet za najmniejsze błogosławieństwa należy odpokutować?

Patrzył na Helenę, jak idzie po niedużym wzgórzu, koszyk lekko obijał się o jej biodro. Szła razem z dwiema drobnymi dziewczynkami, które u nich służyły, a Ingalill

deptała jej po piętach. Dzieciak bardzo wyrósł tej zimy, już około Bożego Narodzenia wzrostem dorównywała matce. Teraz zaś była od niej odrobinę wyższa.

Zima pozbawiła też biodra dziewczyny co nieco z tej krągłości, poruszała się więc teraz lżej, choć z tak samo wysoko podniesioną głową.

Widział też to, co dostrzegali wszyscy mężczyźni: Ingalill stawiała się piękniejsza, niż mogło to wyjść na dobre córce drobnego wieśniaka z Meisterplassen. Nie raz denerwował się spojrzeniami, jakie posyłali jej parobcy. Nieraz też musiał brać ją na bok, żeby powiedzieć, że to nie najlepszy pomysł kąpać się w samej koszuli, kiedy dwaj dorośli mężczyźni stoją w kącie z rękami w kieszeniach, próbując odwracać wzrok...

Na Wielkanoc siłą musieli zatrzymać ją w domu, z dala od wszystkich ucieków w Sogndal. Krzyczała i przeklinała, zarzekając się, że jej nowa przyjaciółka, panna Agathe Ditloff, nigdy jej nie wybaczy, jeśli nie przyjdzie na jej wielkie przyjęcie zaręczynowe. Wreszcie zarzuciła im, że celowo bronią jej dostępu do wszystkich tych przystojnych młodych oficerów, przez co nigdy nie wyjdzie za mąż i przez całe życie będzie musiała im służyć jak niewolnica. Pewnie taki właśnie mają plan, co?

Teraz w każdym razie była uśmiechnięta i wesoła, stwierdził Bendik. Nieraz ledwie panował nad chęcią, by wyrzucić świeżo dorosłą dziewczynę za drzwi, Helena jednak patrzyła na niego tak błagalnym spojrzeniem, a on dobrze wiedział, o co go prosi:

Okaż jej taką samą cierpliwość, jaką okazałeś mnie.

I, na Boga, jeśli Ingalill dostąpi takiej samej cudownej przemiany jak jej matka...

Niestety, w to akurat bardzo wątpił.

Gorzka bezwzględność Heleny była wynikiem lat, podczas których traktowano ją gorzej niż podwórzowego kundla. Bitą i upokarzana, okrutnie dręczona, tak przez przybranych rodziców, jak i nieznajomych. To prawdziwy cud miłości, że zmieniła się w spokojną, ciepłą żonę, z której bliskości radował się co dnia.

Ale córka Heleny urodziła się, by sypiać w ciepłym łóżku i żyć pod ochroną. Była kochana nawet przez obcych, i to jeszcze zanim przyszła na świat. Przecież nawet jego Johanna walczyła o nią, w tym czasie gdy była jeszcze tylko obietnicą nadziei za pełną rozpacz fasadą Heleny.

Dlaczego więc wyrosła tak niełaskawie?

Nie było czasu na drażnienie takich myśli, chociaż Bendik coraz częściej kładł się do łóżka z wrażeniem, że w żołądku rośnie mu wrzód wzbierającego strachu.

Ingalill przysporzy im kłopotów.

Z własnej woli traktował ją jak córkę, niekiedy jednak naprawdę z ogromnym trudem

przychodziło mu, by nie obejść się z nią jak z bezwstydną dziwką, którą udawała.

Kobiety zbliżały się, wesoło pokrzykując. Aż do tego miejsca, gdzie Bendik wbił w ziemię łopatę, docierał zapach jedzenia. Ciepła zupa ze świeżych jarzyn i solonego mięsa. No i dopiero co upieczone podpłomyki, był tego pewien, bo kiedy w porze śniadania zakradł się do spiżarki po łyk słodkiego mleka, widział już rozczynione ciasto.

Mężczyźni wokół niego też wyprostowali plecy i uśmiechem powitali kobiety wędrujące przez przekopane pole.

- Pora coś zjeść, a jeśli nie odmówicie, to mamy i do picia niespodziankę!

Kwaśne mleko rozcieńczone wodą! O, tak, to znaczy, że lato zawitało już na dobre. Pierwsza krowa ocieliła się już dawno, wkrótce i innych osiem będzie miało cielęta. Dwie ostatnie ustawili tak, żeby świeże mleko było i na Boże Narodzenie.

Helena śmiało pocałowała męża w policzek. Mężczyźni zaburczeli coś ze śmiechem. To dopiero kochająca baba. Gdyby więcej było takich, to...

Pracowali razem. Johannes z Eidet, Mekkel z Hon i stary Sigvat Dalen. Wspólnie przekopywali nowe pole, ramię w ramię wywijali łopatami i łomami, wspólnymi siłami odciągali kamienie, gdy okazały się za ciężkie dla jednego. Tak też i było przyjemniej, miłe towarzystwo ujmowało ciężaru nawet wielkim granitowym blokom. A gdy w dodatku można liczyć na taki poczęstunek, jak tu na Meisterplassen - o, tak, doprawdy bywało gorzej, chociaż słońce przypiekało blade plecy.

Siedzieli, żując ser o ostrym smaku i podpłomyki, kiedy dostrzegli łódź przecinającą fiord. Była to nieduża wiosłowa łódź, przystosowana do krótkich wypraw, przewozu sieci rybackich i innego sprzętu rybackiego. Bendik pierwszy poznał szczupłą postać wywijającą wiosłami.

- To Benjamin, już tu jest! Musiał znaleźć kogoś, kto go podwiózł z Voss, ten spryciarz!

A kiedy zmrużył oczy, spostrzegł większą łódź cumującą przy gospodarce na brzegu w Sogndal. Helena zerwała się na równe nogi.

- Ach, mój Boże, a w jego pokoju i tak już jest ciasno... Obcy mężczyźni popatrzyli na siebie, musiała więc jakoś wygładzić nierozważne słowa.

- No, ale Benjamin i tak najlepiej się czuje w starej szopie, w warsztacie, jak ją nazywa. Jest tam wąska ława, a dość ciepło już się zrobiło, żeby mu tam pościelić. Będzie z tego bardzo zadowolony. Nie przejmujcie się, że tak niemądrze powiedziałam.

Bendik popatrzył na nią.

Mężczyźni dalej jedli.

Benjamin wybrał się wraz ze swym mistrzem, żeby wyrzeźbić nowe poręcze schodów w samej baronii w głębi fiordu. Teraz jednak wrócił i nie musieli wcale czekać, aż zejdzie na ląd, żeby przekonać się, że jest w dobrym humorze i zdrowiu. Dziób małej łódki ciał tafle wody jak nóż i chłopak już wkrótce lekką nogą zeskoczył na kamienne nabrzeże.

- Ach, pozwól mi jechać! Mamo, tak cię proszę! Nie widziałam ich od tamtego straszego pogrzebu, a teraz na pewno tak tam ładnie. Drzewa owocowe kwitną i... i...

Bendik widział, że Ingalill oczy płoną, ale był zdecydowany. Johanna na pewno miała dosyć roboty, a ta jakże trudna zima dla niej okazała się wyjątkowo ciężka. Utrata Vetlego być może nie całkiem ją zaskoczyła, chłopczyk zawsze bowiem był słabowity, lecz mimo to taki niewinny, taki mały i taki dobry.

Być może czuła też, że na nowo utraciła męża. Wśród żaloby wywołanej zniknięciem Ravięgo ta mała istotka rosła w niej, na pewno dodając otuchy. Teraz odeszła, i to zaledwie po sześciu latach.

Benjamin wiał się pod przytłaczającymi błaganiami Ingalill.

- Ach, zabierz mnie ze sobą! Na pewno się do czegoś przydam. Myślisz, że twojej matce nie potrzeba dodatkowej pary rąk do pracy w środku wiosennych robót? No i Reina, przecież dobrze by jej zrobiło, gdyby ktoś ją rozweselił?

Benjamin milczał, ale myślał swoje. Wreszcie Helena powiedziała ostatnie słowo:

- O, nie, moja kochana, potrzebujemy cię tutaj. W przyszłym tygodniu czeka nas wielkie pranie, a mamy dużo nowego lnianego płótna, które trzeba wybielić.

Ingalill tupnęła nogą o ziemię, ale widać ustąpiła. Benjamin odetchnął z ulgą. Wiosłowanie do Lyster w samotności nie było być może upragnioną przygodą dla kogoś, kogo i tak bolały już mięśnie, lecz przy wtórce nieustającej paplaniny Ingalill byłoby po prostu torturą.

- Oczywiście, że możesz wziąć najmniejszą łódź, jakżeby mogło być inaczej? Ale jesteś pewien, że nie chcesz wynająć nikogo do pomocy? To przecież daleka droga dla kogoś, kto nie przywykł do wipseł.

Benjamin uśmiechnął się.

- Aż tak bardzo mi się nie spieszy. Pomyślałem sobie, że trochę odpocznę. Często patrzyłem na te uschnięte drzewa wiśni koło Viken, miałbym ochotę zejść tam na ląd i obejrzeć ich stare pnie. Może znajdę tam dobry materiał?

Bendik dobrodusznie pokiwał głową.

- Dobrze, skoro starczy ci na to czasu. A więc masz teraz wolne?

- Dwa tygodnie - rozpromienił się Benjamin. - Stary wybiera się na wesele do

Gudbrandsdalen.

Mówił o szlachetnym starym panu, który zgodził się przyjąć go na naukę, o człowieku, który w młodości rzeźbił boazerię i baldachimy dla samego biskupa, a teraz postanowił uczynić wszystko, by przekazać swoje umiejętności i tajemnice temu blademu młodzieńcowi.

- To dobrze - powiedziała Helena. - Potrzeba ci trochę odpoczynku, a matkę na pewno uraduje twój widok. Wiem, że bardzo za tobą tęskni.

Benjamin zamyślony kiwnął głową.

- Przede wszystkim myślę o Reinie. Ona... jej nie jest łatwo, ona widzi... Zapadło milczenie. Obcy mężczyźni chrząknęli, zakłopotani rozejrzeli się dokoła, popatrzyli przed siebie. Nie chcieli o tym słuchać. Ale Ingalill wychyliła się w przód.

- Powiedzieć ci coś, Benjaminie? Ja także widzę! Na pewno obie odziedziczyliśmy to po ojcu.

Helena szturchnęła ją w bok.

- Posprzątaj lepiej ze stołu, dzieciaku, nie pleć takich bzdur!

Ale Benjamin przestał żuć, jego wzrok powędrował za przyrodnią siostrą, gdy zniknęła między słupami, podtrzymującymi przybudówkę.

Było to bardzo, bardzo dziwne, ona bowiem jakby na niego czekała. Co prawda tęskniła za nim co dnia od tamtego poranka, liczyła puste godziny, nie wiedząc, czy kiedykolwiek będzie miała je czym zapelnąć.

Cztery dni po śmierci Vetlego przyszedł do niej w rozpaczy tak rano, że na wschodzie widać było zaledwie smugę dziennego światła, gdy delikatnie otworzyła tylne drzwi i wpuściła go do środka.

On wcześniej ją zawołał, stał w ogrodzie i gwizdał przeciągle jak ptak, w stronę jej okna. A ona nie spała. Dzięki Bogu nie zasnęła.

Teraz znów tu przyszedł, do jej maleńkiego pokoiku, i było to prawie aż za dobre, by mogło być rzeczywiste.

A więc on także o niej myślał. Nie wmówiła sobie tego w samotności.

Oczy mu pałały.

A wargi były takie miękkie i żywe, kiedy pierwszy raz ją pocałował. Ujawszy jej rękę w dłoń, opowiedział o dobrej zapłacie, którą zaproponował mu baron, ona zaś szeroko otworzyła oczy i chciała protestować.

Na szczęście miała dość rozumu, by trzymać język za zębami, bo moment później Benjamin Karslgard oświadczył się Aurorze Astridsdatter i został przyjęty.

Znów ją pocałował, tym razem mocniej. Tak bardzo cieszył się widokiem jej przejrzystych oczu, złocistobrunatnej skóry, innej i z wyglądu, i w dotyku niż skóra jakiegokolwiek dziewczyny na świecie.

- Może będziemy musieli poczekać rok albo dwa - powiedział zdyszany, nie wypuszczając jej ręk z uścisku. - Będą mówić, że jesteśmy za młodzi, że nie jestem w stanie cię utrzymać. Ach, moja piękna księżniczko, jakąż słodką udręką będzie czekać tak długo! Ale wspólnie jakoś to wytrzymamy. Mamy wszak takie same marzenia.

Aurora z powagą pokiwała głową i rozchyliła ciemne wargi.

- To prawda - powiedziała zachrypniętym głosem, a potem uwolniła ręce i położyła mu je na policzkach. Benjaminowi całe ciało stanęło w ogniu, gdy przysunęła wargi do jego ust i jęknęła. A kiedy powiodła nimi po jego szyi, po miejscu pod uchem, w którym krzyżują się wszystkie nerwy, miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie, obróci się tu i teraz w gwiazdny pył.

Aurora jednak wciąż przytrzymywała go swoim głębokim przepastnym spojrzeniem, a on zauważył, że gdzieś głęboko w duszy jego dalekiej, wyniesionej na piedestał nocnej księżniczki płonie iskra pożądania.

Wielbił ją jak boginię, jej uroda była zbyt gwałtowna i przytłaczająca, by mógł bez wstydu fantazjować dalej aniżeli do wyobrażenia jej policzka dotykającego jego podczas świątecznych tańców. Teraz wszystko się odmieniało.

Aurora wtuliła mu głowę w kolana, a wargi musnęły napięty brzuch. Nawet przez grubą kurtkę zapiekło go, jakby się sparzył.

- Nie - jęknął. - Nie... Zrozumiała ostrzeżenie, lecz tylko się do niego uśmiechnęła.

- Czekałam na ciebie, najdroższy, chyba od zawsze. I nareszcie jestem w domu. Nareszcie należę do tego miejsca i do ciebie.

Benjamin z powagą pokiwał głową, wciąż oszołomiony nagłą powodzią uczuć, które w nim wyzwoliła.

- Nigdy, przenigdy nie myślałem, że można tak czuć - wyznał równie ochryple jak ona.

Aurora uśmiechnęła się przebiegle. Na jego oczach zaczęła rozkwitać, nie była już wielbionym przez niego spowitym w jedwab różanym pączkiem.

Była kobietą, którą kochał.

A z jej twarzy wyczytał obietnice, które, jak mu się wydawało, nie mogą być z tej ziemi.

- Żartujesz sobie - powiedziała Reina. - To przecież niemożliwe! Ty i Aurora!

Benjamin uśmiechnął się do siostry i rzucił jej na kolana kilka wystrzępionych żółtych kwiatków.

- To wciąż jeszcze tajemnica, siostrzyczko, ale chciałem, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza.

- Cha, cha, po prostu nie potrafisz milczeć, przecież cały płoniesz! Policzki poczerwieniały ci jak śliwki!

Benjamin znów się uśmiechnął, ale nie zaprzeczał.

- Tak, masz rację. Jestem bardzo szczęśliwy, tak szczęśliwy, że wprost trudno to wytrzymać!

Reina też nie mogła zapanować nad śmiechem. Po twarzy brata, ba, po całym ciele poznawała, że to prawda. Nigdy jeszcze Benjamin nie trzymał się tak prosto, nie poruszał tak lekko i bez stracha On, który zawsze ostrożnie się przemykał, w obawie, że może się przewrócić i zranić, przeskoczył teraz przez strumyk, zamiast przejść przez kładkę jak ona. Reina spoważniała.

- Jesteś więc pewien, że chcesz się ożenić, zaraz gdy tylko skończysz dwadzieścia lat?

- Tak, nigdy nie byłem niczego bardziej pewien!

- No dobrze, ale gdzie będziecie mieszkać? I co z twoją nauką? Przecież jeszcze nie skończyłeś!

- No, to prawda, ale Stary nie ma nic przeciwko temu, żebym miał narzeczoną. Dlaczego zresztą miałby mieć? To przecież jeszcze lepszy powód, by bardziej przykładać się do roboty.

Reina chwilę nad tym rozmyślała, lecz zmusiła się do uśmiechu.

Brat był od niej starszy, lecz w tej chwili akurat przypominał jej najbardziej dziecko, które ma wielką ochotę na ciastko. Żartobliwie szturchnęła go w bok.

- Nie możesz się już doczekać, kiedy będziesz miał całą gromadkę brązowych dzieciaków z kręconymi włosami, co? Naprawdę ci się spieszy!

Benjamin nagle spoważniał.

- Reino, całkiem straciłem dla niej głowę. I wiem tylko to. Musimy być ze sobą, na zawsze. Ona albo żadna. Pewnego dnia to zrozumiesz. Pewnego dnia, kiedy sama spotkasz kogoś, na czyj widok zamarzniesz w upale i będziesz płonąć w trzaskający mróz.

Reina popatrzyła na niego, żalując, że nie wie, o czym mówi brat.

- Ale na razie nikomu ani słowa. Na razie. Kiedy nadejdzie ten dzień, będziesz stała wśród świadków, Reino, przyrzekam ci to.

- Dziękuję - uśmiechnęła się dziewczyna. - I pewnie będę też matką chrzestną twojego

pierwszego Murzyniátka?

Benjamin roześmiał się, nie przejął się żartem. Złapał ją za rękę i podniósł do góry. Gdy upadła na niego, mocno ją uściskał.

- To ja tobie dziękuję - mruknął siostrze we włosy. - I pamiętaj, Reino kochana, że starszy brat zawsze jest gotów, by wysłuchać twoich tajemnic...

Bardzo ją te słowa zdziwiły.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ten ostatni wieczór musiał przecież nadejść, lecz ani Aurora, ani Benjamin nie chcieli o tym myśleć teraz, gdy siedzieli pod stromą skalną ścianą, dzieląc się miękkim pszennym ciastkiem. Jutro Stary przyplynie łodzią z Skjolden i znów zabierze ze sobą Benjamina do Sogndal. Zobaczą się potem dopiero jesienią.

Wymknęli się tu potajemnie, co wcale nie było trudne, cały dom bowiem stanął na głowie, gdy przybyła doroczna przesyłka z Kopenhagi. Tym razem były to trzy wcale nie takie znów duże skrzynie, ale Johanna uśmiechnęła się jednym z tych swoich rzadkich uśmiechów, gdy wypakowała z nich kompletny leksykon medyczny - w dodatku po duńsku!

Znalazły się tam również inne książki, powieści i wspomnienia z podróży najwyższego lotu. A także mnóstwo pudełeczek ze znakiem lwa i łabędzia. Woreczki z przyprawami, tytoń, dwie butelki czystego spirytusu i gotowa mikstura, która według załączonej ulotki była naprawdę fantastycznym środkiem do przemywania ran, nie dopuszczająca do ich zakażenia.

Johanna wyjęła też niedużą skrzynkę z narzędziami i wiedziała, że Remmermann, przesyłając je, okazał jej tak wielkie zaufanie, że ledwie miała śmiałość o tym myśleć.

No i były również listy. I to wcale niemało.

Benjamin ściągnął kilka smakołyków ze spizarki, zawinął także w ściereczkę kawałek masła.

Nikt nie widział, jak się wykrada. Wiedział, że ona czeka, że będzie stała przy wielkim dębie. A gdy się zbliżał, policzki jej zapłonęły, zauważył też, że dłonie lekko jej drżą.

Ujął ją za rękę i razem pobiegli przez otwarte pola z nadzieją, że nikt ich nie widzi. Wkrótce już skryły ich zarośla, mogli zacząć wspinaczkę. Czekala ich droga wprawdzie niedługa, lecz stroma. Wreszcie znaleźli się na górze pod skałą, skąd roztaczał się wspaniały widok na całą wieś, za to ich kryjówki nikt nie mógł zobaczyć.

Aurora zrzuciła szal z ramion. Dziś nie była ubrana w jedwab, miała na sobie jedynie prostą, tkaną w kratkę sukienkę, fartuch z rodzaju tych, w które Emmi ubierała się najchętniej, jeśli nie stroiła się szczególnie albo nie chodziła w męskim ubraniu.

W kwietniowym słońcu było ciepło, niemal gorąco. Przy kamieniu, na którym siedli, kwitł na żółto podbiał, a dalej, przy wilgotnym rowie, rosły drobniutkie białe leśne dzwonki, tworząc na tle zieleni jasną smugę.

- Pięknie tutaj - westchnęła Aurora przejęta. Benjamin skoncentrował się na chlebie.

Kroił go na ładne równe kromki swoim fińskim nożem i pieczołowicie smarował masłem.

- Powinniśmy przychodzić tu częściej... Ja tu będę przychodziła. I będę myślała o tobie.

Chłopak uśmiechnął się.

Ona już się nie bała, mówiła, i to więcej niż kiedykolwiek usłyszał z jej ust. Pośród wielu ludzi Aurora nie była osobą podtrzymującą rozmowę, ale przez te kilka dni Benjamin wiele się o niej dowiedział. Zrozumiał teraz, że wcale nie jest nieśmiała ani też nie brakuje jej słów. Raczej po prostu jej nie interesowało ot, takie gadanie. Kiedy była razem z nim, rzadko milczała.

- Pomyśl, jak cudownie będzie, kiedy się pobierzemy - zagruchała. A jej głos brzmiał tak słodko i łagodnie, że Benjamin musiał aż przełknąć ślinę. Uczucia dławily go w gardle, piersi mało nie rozsadziło. Ostrożnie odłożył nóż.

- Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Ze ty naprawdę mnie chcesz... Teraz ona się śmiała:

- Ciebie, najpiękniejszego, najzdolniejszego, najwspanialszego chłopaka na całym świecie? Zawsze tak o tobie myślałam.

- Ach!

W brzuchu aż trochę go zabolęło. On sam wcześniej nie bardzo zwracał uwagę na Aurorę. Oczywiście obserwował ją, różniła się od innych, i to nie tylko z powodu ciemnej barwy skóry. Była w pewnym sensie trochę obca, widziała dalekie kraje, sama się tam urodziła. Jej ojcem był Murzyn, a córka Randara matką.

Trwający już latami podziw Benjamina dla rzeźbiarza, którego nigdy nie spotkał, stopił się w jedno z uczuciami, jakie żywił dla niej. Aurora była żywą częścią tej tajemnicy, nad którą tak często się zastanawiał. Tak jak i on była z krwi i kości Randara, lecz nie na tyle mu bliska, by ich miłość skazana była na śmierć.

Musi jej o tym powiedzieć.

- Chciałbym, żeby twoja matka opowiedziała mi coś więcej o Randarze. Prawie mi się wydaje, że go znam, odkąd tyle czasu spędziłem w jego warsztacie. Wiesz, te piękne figury, które wyrzeźbił z drewna, stoją tam i tylko się kurzą. Nigdy ich nie skończył...

- Naprawdę? Są tam figury z drewna? Benjamin kiwnął głową.

- O, tak, wiele, niektóre prawie gotowe, brakuje im tylko ostatniego szlif. Uważam, że najlepsze są twarze, portrety. Randar był naprawdę zdolnym drzeworytnikiem, ale co więcej, potrafił ożywić drewno.

Aurora z powagą kiwnęła głową.

- Kiedy wrócimy do domu, będę chciała ci coś pokazać. Wieczorem, jak przyjdiesz do mojego pokoju, zobaczysz coś ładnego.

Podzielili się jedzeniem. W milczeniu przez pewien czas wpatrywali się w krajobraz. Dalej, na Sorflaten, pasły się już owce, a przy nich małe kłębuszki wełny, nowo narodzone jagnięta.

Słyszeli pokrzykiwanie mężczyzny, posuwającego się za pługiem w dole koło zagrody handlarza. Widzieli, jak przewraca skiby tłustej ziemi, a zaraz za nim siewca, modląc się, z gołą głową rzucał ziarno owsa w otwarte redliny.

- Przyszłej wiosny - mruknął. - Przyszłej wiosny, Auroro... będziemy już mężem i żoną.

Aurora przytuliła się do niego.

- Wielkanocne wesele - szepnęła. Popatrzył na nią, uśmiech błakający jej się po ustach przydawał całej twarzy pozłotę bliską świętości. Nie był świadom, że w człowieku może pomieścić się tyle uczuć, ile ona w nim wywoływała.

Ciężka i rozgrzana, oparła się o niego i zapadła w pół sen. Jej drobna dłoń odnalazła jego nagą skórę między koszulą a paskiem spodni. Benjamin zadrżał, chociaż było tak ciepło. Wszystkie uczucia od tego delikatnego muśnięcia jakby zgromadziły się w jednym miejscu ponad biodrem. Rękę, szczupłą i lekką, już odsunęła, lecz wiedział, że będzie musiał użyć wszystkich swych sił, by się od niej oderwać.

Aurora uśmiechnęła się otwarcie.

- Pocałuj mnie - powiedziała cicho i poważnie. Spełnił jej prośbę z walącym sercem. A potem przestał już nad wszystkim panować, z głębokim westchnieniem osunął się na ziemię i pociągnął ją za sobą. Niesłusznie robię, przemknęło mu przez głowę. Ściągam wstyd na siebie i, co gorsza, na nią...

Ona jednak nie wyglądała na ani trochę zakłopotaną, ani tym bardziej wstrząśniętą. Wciąż się uśmiechała i teraz to ona chciała go pocałować. Zanim się zorientował, jej ręce same wyciągnęły koszulę ze spodni i Benjamin poczuł, że dziewczyna gładzi go delikatnie po piersi. Palce go łaskotały, brzuch cały drżał, Benjamin łapał powietrze jak ryba wyciągnięta z wody na brzeg.

Aurora przyłożyła usta do jego szyi, gorący oddech owionął mu twarz.

Jęknął, zaczął się wić po ziemi, chciał poczuć więcej, sam zapragnął przyłożyć dłonie do nagiej skóry, nie wiedział jednak, czy starczy mu odwagi.

Wreszcie się rozluźnił, a jej głębokie oczy dawały mu wszelkie przyzwolenia, jakich potrzebował. Drżącymi rękami rozpiął więc srebrne haftki, które spinały jej fartuch. Pod nim

nosiła prostą kraciatą spódnicę, sznurowaną po bokach. Benjamin miał wrażenie, jakby jej ciało samo wyślizgnęło się z ubrania, jakby sam prawie nie dotykał supełów i wstążek.

Cała była tak samo złocista.

Kwietniowe słońce świeciło na jego blade ciało, przydając jej skórze jeszcze cieplejszego blasku.

Ukazały się brązoworóżowe sutki, a jemu zakręciło się w głowie, gdy poczuł ich twardą szorstkość we wnętrzu dłoni.

Nachylił się, przepojony niezwykłym szacunkiem, i pocałował je, ona wtedy wyprężyła się, usłyszał, że chwyta kilka haustów powietrza. Szepnęła coś, on nie zdołał tego odczytać, lecz i tak wiedział, co mówi.

Jej dłonie zacisnęły się na jego szyi, potoczyli się po lekko wilgotnej ziemi, ale słońce w zenicie grzało mocno i żadne nie poczuło chłodnego powiewu od gór.

W całym domu znać było jeszcze ślady wielkiego wydarzenia. Przesyłki od Remmerrnanna zawsze wprawiały Johannę w doskonały humor i nawet tego roku radośnie dreptała w kółko, usiłując odczytać łacińskie nazwy na niektórych pojemniczkach i wpisać je do swej księgi leków.

Przyszło też trochę ubrań, lecz odłożono je na bok. Były tam koszulki i kołnierzyki, a nawet odświętne ubrania, uszyte wedle dorosłej mody. Wszystko doskonale pasowałoby na Vetlego, Remmerrmann najwidoczniej wysłał paczki, jeszcze zanim dotarła do niego wiadomość o śmierci chłopca.

Ale znalazło się też wiele innych rzeczy, którymi można było się cieszyć. A gdy wszystko zostało już poukładane w szufladach i kufrach, Johanna o zmierzchu podkręciła lampę i zasiadła nad rozłożonym grubym listem.

Ogromnie się już cieszyła na czytanie tego, co napisał Remmerrmann, gdyż z jego długich opisów życia instytutu zawsze mogła nauczyć się czegoś nowego.

Wiedział, że interesują ją szczególnie dwa tematy: wszystko, co ma związek z ciążą i porodem, a także to, co mogłoby wyjaśnić chorobę, na którą cierpiały jej własne dzieci.

Zaczytana, nie zauważyła nawet, że zmierzch przeszedł w noc ani że Benjamin nie wrócił do domu.

- Muszę z tobą pomówić, synu, to poważna sprawa. Benjamin przekrzywił głowę. Matka miała lekko zaciśnięte usta, oczy zapadnięte. Nie wyglądała jednak na wystraszoną, tylko była od niej jakaś ogromna powaga.

Czyżby się dowiedziała? Czy ktoś ich zauważył? Czy już spostrzegła, że ten dzień go odmienił, uczynił z niego mężczyznę, pozwolił na moment zajrzeć do raję?

Benjamin już chciał głęboko odetchnąć i powstrzymać ją: To nie jest aż taki wstyd, jak jej się wydaje. Wiedział, co musi zrobić, i wcale nie wydawało mu się to trudne! Przecież się pobiorą, nawet w tej chwili, byle tylko ona wyraziła zgodę.

Nie dane mu było jednak o tym powiedzieć.

Matka podała mu list. Była to zaledwie jedna z wielu stron. Rozpoznał pismo Remmermanna.

- Odkryto nowe rzeczy dotyczące twojej choroby, Benjaminie. Musisz to przeczytać, żebyś o wszystkim wiedział.

I Benjamin czytał. Czuł, jak słowa pomimo niechęci w jakiś dziwny sposób zapadają mu w świadomość. I czuł, że wcale nie chce o tym wiedzieć.

Kiedy oderwał oczy od delikatnej kartki, spostrzegł, że spojrzenie matki wciąż spoczywa na nim tak samo ciężkie.

- Rozumiesz, co to może oznaczać, mój kochany? Benjamin speszony kiwnął głową.

- Sam musisz dokonać wyboru. Ale nie mogłeś się o tym nie dowiedzieć. To niezwykle ciężka świadomość dla tak młodego człowieka, lecz ty wkrótce będziesz dorosły, a pewnego dnia być może kogoś poznasz. Wtedy musisz o tym wiedzieć, tak byś mógł ocenić, czy pragniesz na tę kobietę, którą pokochasz, ściągnąć taki los jak ten, który przypadł w udziale mnie.

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Mamo, wielu ludzi traci dzieci. Bardzo, bardzo wielu. A jednak oni żyją dalej.

Johanna ciężko przełknęła ślinę.

- Owszem, masz rację, ale to co innego, Benjaminie. Tu nie chodzi tylko o to, że odebrano mi Vetlego. To coś więcej. To świadomość, że wybierasz nie tylko swój własny smutek, wydając dzieci na świat, ale dopuszczasz, by choroba się rozprzestrzeniała. Karmisz ją, pozwalasz jej krążyć i będziesz umierał ze świadomością, że skazałeś swoich własnych potomków na dokonanie tego wyboru, na który sam nie potrafiłeś się zdobyć.

- Co ty mówisz, mamo? Że nie urodziłabyś nas, gdybyś wiedziała... Opędziła się od niego ruchem ręki.

- Tak nie można powiedzieć. Wy już jesteście na świecie i dobrze wiesz, że stanowicie dla mnie największą radość. Bez was nie umiałabym żyć. Ale... tak być nie powinno, trzeba przerwać przekleństwo ciąży na naszej rodzinie. A jest tylko jeden sposób, mój synu, by je usunąć.

Benjamin pobladł.

- Mam się nigdy nie żenić? Johanna nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego

błyszczącymi od łez oczyma. Wreszcie podniosła się zmęczonym ruchem.

- Jedyne ty sam możesz podjąć taką decyzję, Benjaminie. Lecz jeśli jesteś mądry, to nigdy tego nie zrobisz. A jeśli już jakąś pokochałeś, to oszczędź jej całego życia w świadomości, że być może jej dzieciom przyjdzie znieść los o wiele gorszy aniżeli ten, który tobie przypadł w udziale. Ciebie choroba dotknęła bardzo lekko, dobrze o tym wiesz. Jeśli zaś chodzi o twoich synów, jeśli będziesz ich miał, cóż, nikt nie wie, jakie czeka ich życie.

Benjaminowi huczało w uszach. To nie mogła być prawda.

Bo z tego, co wiedział, to, o co obawiała się matka, mogło się już stać.

- Mamo! Nie odchodź! Muszę ci coś powiedzieć. Wydaje mi się... Zdaje się, że ten list przybył za późno...

Johanna odwróciła się i stanęła w drzwiach, zaciskając ręce na futrynie tak mocno, że aż pobiełały jej kostki. Jęknęła jak z bólu. Popatrzyła na niego, lecz już wiedziała.

- Ja... znalazłem już dziewczynę, z której nigdy, przenigdy nie zrezygnuję. Matka czekała.

- Pobierzemy się. Już się jej nawet oświadczyłem. Ach, mammo, nie możesz tak myśleć!

- Przeczytałeś list - odparła Johanna głucho. - Twoja choroba znajduje się też wśród tych wyliczanych jako powody, dla których małżeństwo nie może zostać zawarte. Takich jak syfilis, szaleństwo, deformacje...

Brzmiało to bardzo brutalnie, ale wiedział, że to prawda.

- Co to za dziewczyna? - spytała Johanna płaskim głosem. Benjamin wbił wzrok w podłogę.

- Aurora - szepnął. Westchnienie matki przeleciało przez cały pokój.

- To niemożliwe - mruknęła. - To już na pewno niemożliwe, Benjaminie. Przecież ona jest tej samej krwi. Tej samej zatraconej krwi!

- Nie! Wcale nie, ona jest zdrowa! I nie jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni, w dodatku tę chorobę mamy raczej od Marii, a nie od Randara!

Johanna kilkakrotnie z trudem przełknęła ślinę. Wciąż mocno przytrzymała się futryny.

- Sam czytałeś ten list. Nie całkiem wiadomo, w jaki sposób dziedziczy się tę chorobę, podejrzewają, że może się ona przenieść i z ojca, i z matki, ale tylko synowie chorują, dziewczęta po prostu przekazują ją dalej...

- Ale niektórym się udaje! Mamo, przecież dobrze wiesz, niektórym się udaje!

- Z moich nie udało się żadnemu.

- Ale wuj Karl jest zdrowy! I przecież nie tylko on, było takich więcej! Matka

popatrzyła na niego.

- Jeśli sam podejmiesz to ryzyko, Benjaminie, to pamiętaj tylko, że zmusisz wtedy swoich potomków, by stanęli w obliczu tego samego strasznego wyboru. Chorobę należy powstrzymać, zresztą żąda tego prawo. Benjaminie, obawiam się, że za kilka lat prawo zmusi cię do tego, co teraz odrzucasz. Możesz ponieść karę. Możesz zostać umieszczony w izolacji. W oczach władz jesteś trędowaty. To brutalne słowa, ale prawdziwe.

Benjamin gapił się na matkę z otwartymi ustami.

Ta myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Chociaż doskonale wiedział, że niekrzepnąca krew jest oznaką choroby, to jednak nawet przez moment nie pomyślał w ten sposób.

- Ale przecież ja żyję i mieszkam się dobrze. Daję sobie jakoś radę! - oświadczył żałośnie.

Matka kiwnęła głową, dopiero teraz się zorientował, jak wielki ból sprawia jej ta rozmowa.

- Tylko nie Aurora - szepnęła. - Nie ona.

Zaczął krzyczeć niemo. Tak! chciał zawołać, właśnie że tak, właśnie ona! Ona albo żadna inna!

Zamiast tego jednak osunął się na stół i ukrył twarz w dłoniach. Nieszczęsny list upadł na podłogę, Johanna podeszła sztywnym krokiem i podniosła go.

- Co ty robisz, mamó? Skazujesz mnie i Reinę na życie w samotności, zabraniasz nam mieć własną rodzinę?

Johanna teraz już płakała.

- Wcale tego nie robię, synku. Jedyne wy możecie dokonać takiego wyboru. I wierz mi, oddałabym wszystko, byle tylko wam tego oszczędzić, ale teraz wiemy już więcej, o wiele więcej, i chociaż może uda wam się uciec przed czystkami przeprowadzanymi przez władze, to od własnego smutku i żalu uciec nie zdołacie. Musicie to sobie bardzo starannie przemyśleć.

Benjamin podniósł na nią oczy.

- Czy Reina już wie? Johanna pokręciła głową.

- Nie, jeszcze nie. Nie wydaje mi się, żeby ona... Jej nie interesują chłopcy. Trochę mnie to dziwi, jest przecież już na poły dorosła, w jej wieku byłam... No cóż, ona nie wykazuje żadnych takich oznak, wiesz dobrze, jaka jest. A może sama już wszystko zrozumiała i podjęła decyzję? Przecież i ty ją znasz.

Benjamin kiwnął głową. Reina jest mądra, bardzo mądra, rozumie to, co niepojęte.

Nie zdziwiłoby go, gdyby siostra już w którejś z tych swoich dziwacznych wizji miała okazję ujrzeć swą bezpłodną przyszłość.

I może już się z tym pogodziła!

On jednak nie mógł tego zrobić! I nie chciał!

Mocno uderzył czołem o blat stołu, jęknął.

Chłodna dłoń Johanny legła mu na karku, nieśmiało, chciała pocieszyć. On prawie jej nie czuł.

- Jeśli potrafisz, to módl się teraz o siłę. Wiele cię czeka w życiu, Benjaminie. Jesteś artystą i bez względu na to, jak ci się ułoży, to otrzymałeś przynajmniej ten dar. Ale przemyśl sobie dokładnie jedno. Jesteście młodzi. To, co teraz do siebie czujecie, minie, jeśli zwrócisz jej wolność. Owszem, trudno w to uwierzyć, gdy jest się młodym zapaleńcem, ale wiem, że w końcu przyznajesz mi rację. Aurora zasługuje na lepszy los, jeśli naprawdę ją kochasz. Zasługuje na to, by znaleźć sobie męża, który będzie mógł jej dać zdrowe, silne dzieci, o które nie będzie musiała się zamartwiać, ani o to, że są takie chore, ani też o to, że czeka je taki wybór, jakiego ty musisz teraz dokonać.

Benjamin głośno szlochał.

Wiedział, że matka ma rację.

Ale pragnął jedynie spalić list od Remmermanna i udawać, że nigdy się o niczym nie dowiedział.

Zawsze nosił przy sobie tę maleńką drewnianą figurkę, którą znalazł w szopie i która, jak teraz wiedział, jest zaczarowana. Miała jego twarz, może uświadamiał to sobie od zawsze, lecz dopiero teraz zrozumiał, jak całkowite jest to podobieństwo.

Wręczył ją jej wraz z wyrokiem.

Nie krzyczała i nie płakała.

Z ogromnym wysiłkiem, załamującym się głosem opowiedział jej całą historię: o zmarłych dzieciach, o strachu matki, o możliwym powodzie, dla którego Marja nie urodziła więcej dzieci.

- To przekleństwo - zakończył. - I nie mogę cię w nie wciągać. Aurora bezradnie rozłożyła ręce.

- Ale mnie to nic a nic nie obchodzi, Benjaminie. Dopóki mam ciebie... Wbił w nią oczy.

- Naprawdę tego chcesz, Auroro? Chcesz rodzić dzieci, które być może umrą ci przedwcześnie? Chcesz całego tego lęku, dzieci, które będą o wiele, wiele słabsze ode mnie i które z kolei zrodzą na świat nowych nieszczęśników? - Tak!

Wykrzyczała to.

- Byłeś tylko ty mnie nie opuścił, to zniosę wszystko! I wcale nie musimy mieć dzieci! Możemy przecież żyć tylko we dwoje!

- A jak sobie z tym poradzimy? Myślisz, że zdołam trzymać się z dala od ciebie? Sądzisz, że to będzie lżejszy ciężar? O, nie, jeśli będziemy razem, to będziemy się kochać, dopóki tlić się będzie w nas oddech. Ale matka ma rację, jesteśmy młodzi, może pewnego dnia zdołamy zapomnieć...

- Nie! Ja nie chcę o niczym zapominać! Załamała się. Nie mogła uwierzyć, że to on stoi przed nią i mówi, że nie mogą być razem. Nie teraz, nie po tym, jak dzielili wspólnie najwspanialsze, co może być na świecie, tę bliskość, o jakiej nawet jej się nie śniło.

Benjamin milczał. Nawet miną nie okazał, że chciałby ją objąć. Poszperał tylko w swoim worku i wyjął z niego jakiś mały przedmiot.

Aurora szeroko otworzyła oczy, instynktownie rozpoznała sposób obróbki, jakiej poddane zostało drewno, głębokie, lecz jednocześnie uczynione wprawną pewną ręką ślady dłuta i noża.

Dał jej rzeźbę Randara.

Ona także zobaczyła, że to Benjamin. Wyrzeźbiony na długo przed tym, zanim się urodził.

W milczeniu podeszła do komody ustawionej przy zachodniej ścianie i otworzyła swoją szkatułkę. Figurka, którą z niej wyjęła, dokładnie pasowała do tamtej. Była tej samej wielkości, a twarz niemo wpatrująca się w nich z drewna była jej twarzą.

Na moment ustawiła obie rzeźby obok siebie na białym obrusie. Usłyszała za plecami westchnienie Benjamin, ale chłopak nie śmiał podejść bliżej.

- Spójrz, Randar wiedział - powiedziała cicho. - Wyrzeźbił nas już przed wielu laty. Wiedział, że się urodzimy i że będziemy się kochać. Zobacz, jak one ładnie razem stoją...

Podąła mu swoje dziedzictwo.

Benjamin wpatrzył się w rzeźby i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Aż nadto wyraźne było, że obie figurki należą do siebie. Zabrał rzeźbę Aurory i odwrócił się do drzwi. Ona zawołała za nim:

- Nie możemy mieć dzieci, ale możemy przecież... Benjamin bardzo chciał uwierzyć, że to możliwe. Samo jednak tylko spojrzenie na jej delikatne ciało, na wargi, mokre teraz od łez, drżące z tęsknoty za nim... Będą mieć dzieci, i to prawdopodobnie wiele. A z każdą małą istotką, która przyjdzie na świat, przekleństwo będzie się jeszcze bardziej rozprzestrzeniać. List Remmermanna uczynił z żarzących się podejrzeń jasną i wyraźną

prawdę.

- A więc wróć do mnie, kiedy już nie będę zdolna urodzić dzieci - szepnęła nagle Aurora, gdy mimo wszystko skierował się do wyjścia.

Benjamin odwrócił się do niej. Popatrzył jej w oczy. Ledwie starczało mu sił, by utrzymać się na nogach. Prawdziwym cudem było, że głos chciał go słuchać.

- O czym ty myślisz? Aurora mówiła szeptem:

- Teraz jesteśmy młodzi, strasznie młodzi, ale lata prędko mijają. Kiedy skończę czterdzieści lat, może czterdzieści pięć, wtedy będziemy już mogli być razem. Wtedy nie będziemy już rozsiewać tego, czego ty tak strasznie się boisz. Obiecuj mi, Benjaminie, że wrócisz do mnie, gdy przyjdzie ten czas. Benjamin szeroko otworzył usta.

- Ty... ty mówisz o tym, co będzie za trzydzieści lat! To przecież całe życie, Auroro. Chyba nie myślisz tak naprawdę!

Dziewczyna z powagą skinęła głową.

- Owszem, właśnie tak. Benjamin nie mógł wytrzymać tego dłużej.

- Nie wolno ci wierzyć w takie mrzonki! Ty masz żyć, słyszysz? I mieć dzieci, zdrowe dzieci! A o mnie musisz zapomnieć, i tak już mnie więcej nie zobaczysz. W ten sposób zapomnisz na pewno. Spotkasz kogoś innego, kogoś, kto będzie mógł dać ci to, na co zasługujesz.

Aurora teraz już się uśmiechała.

- Nie - powtórzyła. - Będę. na ciebie czekać, mój drogi. Poczuł, że delikatne włoski na karku mu się podnoszą. Pierś rozsadzała szaleńcza radość, ale nie mógł od niej odejść z tą nieprawdopodobną obietnicą.

- Auroro - rzekł zachrypniętym głosem. - Sądzę, że to bardzo niemądre z twojej strony, ale wiem, że słowa, które teraz wypowiedziałas, to najpiękniejsze, co od ciebie dostałem. I zachowam ten podarek na zawsze, nawet jeśli ty pewnego dnia usłuchasz mego pragnienia i znajdziesz szczęście z innym. Nie mogę odejść od ciebie, wynosząc jednocześnie przez drzwi całe twoje życie.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado, lecz ze spokojem.

- Owszem, możesz. I tak właśnie zrobisz, bez względu na to, co mówisz. Nie miał siły, by dłużej się jej sprzeciwiać. W tym, co powiedziała, kryło się ziarenko rozsądku. I coś w rodzaju nadziei, dzięki której możliwe stało się dla niego wyobrazenie sobie życia bez tej olbrzymiej miłości, którą tak niedawno dopiero odkrył.

Z każdym dniem będzie coraz łatwiej. Może uda im się zapomnieć.

A ona, w każdym razie, zrozumie, że nie jest wcale związana tą obietnicą, będącą

jedynie krzykiem zranionego serca.

Nie śmiał jej nawet dotknąć na pożegnanie, podniósł tylko rękę.

- Do zobaczenia - szepnęła Aurora zduszonym głosem, lecz z uporem. Czerwiec. Ponieważ Benjamin znów odpłynął mniejszą łódką, Bendik wraz z parobkami musieli teraz ostrożnie manewrować dużą sześciowiosłową łodzią, kierując się do brzegu przy Loftesnes. Odbywała się tam dzisiaj licytacja i łodzie przy brzegu cumowały już gęsto. Wołania licytatora docierały aż tutaj, słyhać też było kwik świń, protestujących przeciwko brutalnemu traktowaniu. Była to, rzecz jasna, dość smutna okazja, pewien wieśniak na przednówku zachował się niemądrze i teraz cały jego dobytek wraz z narzędziami, wyposażeniem domu i dwoma porządnymi wozami szedł pod młotek. Ledwie uda mu się zatrzymać dom i ziemię, jeśli ceny będą padać wysokie i los okaże się łaskawy.

Kobiety stały przy długim stole ustawionym z lewej strony podwórza, krytycznym okiem badając wszystko, co na nim wyłożono. W słońcu błyszcząły dwie srebrne łyżki, poza tym dużo było tu cyny i drewna. Kilka kawałków żółtego materiału, trochę znoszone spódnice, halki i nieduża skrzyneczka pełna szklanych koralików przykuły ich uwagę.

Mężczyźni obmacywali wychudzone krowy, a ich krytyczny wzrok dostrzegł od razu, że plamy na zębach konia były bardzo starte.

Ale świnię wyglądały na dość silne i nieźle odżywione. To zapewne cała ta gwiazdnica i tłusta koniczyna, której nażarły się wiosną, ocaliły je od sprzedaży za bezcen.

Bendik wręczył Helenie sakiewkę, a Ingalill dostała w garść całego talara. Od tygodni już marudziła, dopominając się czegoś ładnego na wesele, na które wybierała się za dwa tygodnie. I tak pozbawili ją już radości uczestniczenia w przyjęciu zaręczynowym, ale nic nie zdołałoby jej powstrzymać teraz, gdy przyjaciółka szła do ołtarza z tym pięknym porucznikiem.

Dostała więc to, czego chciała, i już zrywała sznurki, obwiązujące te kilka kuponów materiału.

Na twarzy pojawił jej się wyraz niezadowolenia.

- Ach, nie, oczywiście nie ma tu nic ładnego! Tylko gruby samodział i niestarannie utkane płótno. Ach, mam, co mam zrobić? Zostały jeszcze tylko dwa tygodnie, a ja muszę mieć coś nowego! Mam, czy nie mogłybyśmy iść do krawcowej? Czy Bendik nie mógłby zawieźć nas łodzią do Kaupanger albo wynająć konia w Eidet?

Helena wahała się. Ingalill miała przecież niejedną strój, w którym mogła wystąpić. Ale córka mocno uścisnęła ją za rękę.

- Bo jeśli nie, to widzę tylko jedną radę, mam... ta jedwabna bluzka. Czy będę mogła

dostać tę bluzkę na wesele?

Helena ciężko westchnęła. Przeciągnęła dłonią po wyłożonych materiałach. Cóż, rzeczywiście to nic ciekawego, Ingalill miała rację.

- No dobrze - rzekła zrezygnowana. - Dostaniesz, ale tylko jeśli mi obiecasz, że będziesz na nią bardzo uważała, przecież tak naprawdę zostawiałam ją na twój własny ślub, dziewczyno!

Ingalill już śmiała się uradowana.

- Ach, zanim to nastąpi, na pewno znajdziemy coś jeszcze ładniejszego. Może jakieś hafty albo całkiem czarną suknię z bielusieńkimi koronkami, jakie noszą panny młode w mieście? Marianna o tym opowiadała!

Helena w roztargnieniu kiwnęła głową. Dziewczyna była niepoprawną strojnisią. Helena nie mogła pojąć, skąd się to u Ingalill wzięło, przecież te krótkie letnie tygodnie, jakie spędziła u Marji, nie mogły chyba wyryć w niej aż tak głębokich śladów.

Ale chyba jednak tak, bo przecież ona, której nie chciało się poświęcić nawet jednego popołudnia na zbieranie owoców, potrafiła biegać po wzgórzach i skałach, żeby tylko znaleźć konwalie i inne pachnące kwiaty, z których sporządzała wyciągi, tak jak nauczyła ją Johanna. Potem cała się nimi smarowała. Raz mocny brązowy barwnik do tego stopnia wżarł jej się w skórę, że Helena z ogromnym trudem ledwie zdołała ją wyszorować.

Teraz na widok dwóch znajomych dziewcząt poleciała jak ptak. Powitały ją radosnymi okrzykami i uściskały się mocno, z przesadą. Helena poznała je: to siostra i kuzynka przyszłej panny młodej. Ingalill miała uczestniczyć w ubieraniu panny młodej rano, przed wyjazdem do kościoła, i teraz zapewne dziewczęta zajęły się układaniem planów. Ze smutkiem patrzyła, jak bardzo wszystkie błyszczą. Takie młode, takie wesołe i beztroskie.

Bendik dotknął jej ręki.

- Chodź - powiedział. - Zapraszają na piwo i kielicha do chaty. A ja trochę już zgłodniałem.

Poszła za nim, rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie Ingalill, która, gwałtownie gestykułując, opowiadała coś, od czego twarze innych dziewcząt się zasznurowały.

Prawdopodobnie przechwalała się jakimś kolejnym wymyślonym kawalerem. Martwiło to bardzo Helene, bo plotki już do niej dotarły. O ile dobrze wiedziała, Ingalill nigdy nie miała żadnego kawalera, lecz przed przyjaciółkami chętnie udawała, że „tam w Lyster, gdzie leży gospodarstwo mojego ojca”, starał się o nią już niejedyn zamożny pan.

Cóż, dziewczyna ma zbyt wybujałą fantazję i na pewno nie najlepiej się czuje wśród swoich bogatych przyjaciółek. Były to córki wielkich gospodarzy i urzędników, a nawet

najmłodszą siostrę asesora Ingalill zaliczała do kręgu najbliższych jej dziewcząt. Sama zaś była jedynie prostą dziewczyną z Meisterplassen. Cóż, może nie ubogą, lecz i nie bogatą, a w każdym razie nie na tyle bogatą, by mogli jej zapewnić jedwabne suknie, statywy pod spódnice, pióra i lśniące kamienie, o których tak marzyła.

Raz kiedyś próbowała się przymówić o któryś ze strojów, które wciąż zapewne wiszą w Zamku Marji.

Helena powstrzymała ją wtedy, widząc zirytowane spojrzenie Johanny.

Oczywiście wszystko miała dostać Reina.

Ingalill nie była spadkobierczynią Marji. Ponadto była też na to wszystko za duża, wysoka, prosta, z wydatną piersią, która już zapowiadała się przewyższyć sprężyste krągłości Marji.

Helena westchnęła ciężko i weszła za Bendikiem do chaty. Nie powinna była tak robić.

Gdy stamtąd wyszli, Ingalill zniknęła.

Rozpytywali o nią, lecz nikt nie widział, dokąd poszła. Przeszukali całe obejście, zeszli także w dół do łodzi.

Ingalill nigdzie nie było.

Zbliżał się już wieczór i jeśli nie chcieli wiosłować po ciemku, powinni wkrótce wyruszyć.

Licytacja także dobiegła końca, stały jeszcze tylko kieliszki, z których przepijano na dobiecie targu, a atmosfera w izbie, w której nalewano piwo, z każdą chwilą stawała się coraz bardziej gorąca. Przestało to już być miejsce odpowiednie dla młodej samotnej dziewczyny.

- Mogła wrócić z dziewczętami do domu - powiedziała Helena.

- Nie zrobiłaby tego bez uprzedzenia - odparł Bendik. Helena mimo wszystko miała nadzieję, że tak właśnie postąpiła. Teraz, późnym popołudniem, nadciągali bowiem mężczyźni, którzy wcale nie mieli zamiaru nic kupić, lecz więcej niż chętnie korzystali z takiej okazji, by wlać w siebie ukradkiem kufel darmowego piwa albo wywołać dla zabawy bijatykę. I jeśli się nie myliła, to o zmierzchu również dziewczęta będą bardziej chętne.

Kobiece chichoty za ścianą stodoły.

Podnieceni wiosną mężczyźni z kieszeniami pełnymi grosza, który właśnie dostali od gospodarzy.

Niepokoila się coraz bardziej.

Gdzie też mogła podziać się Ingalill?

Jedno słowo pociągało za sobą drugie, a kiedy dziewczęta stojące wokół niej zaczęły

chichotać z powątpiewaniem, Ingalill prawie się rozzłościła.

- Ale to przecież prawda! Mamy się pobrać! On tak powiedział, na Wielkanoc w przyszłym roku zbije fortunę, a wtedy postawimy sobie wielki, wspaniały dom na gruntach jego dziadka!

- Ha! Tore - Rybak miałby się zenić? Niemądry z ciebie dzieciak, Ingalill. To największy uwodziciel pod słońcem! Nie ty pierwsza dałaś się nabrać na jego obietnice.

- Ile razy zresztą się z nim widziałas? Raz czy dwa? Obiecał ci też pół szylinga za to, że ściągniesz przed nim majtki?

Roześmiały się głośno, a Ingalill poczuła, że policzki jej płoną. Zaczęła krzyczeć.

- Jesteście po prostu zazdrosne! Dobrze wiecie, że prawdą jest, co ludzie gadają! Ze on ma mnóstwo pieniędzy! I wicie też, że będę jedną z najbogatszych pań w wiosce, kiedy on zbuduje dom i...

Poszturchiwały ją z drwiącym śmiechem.

- Głupia Ingalill, nie wiesz, dlaczego nazywamy go Tore - Rybak? Wcale nie dlatego, że ma łódź, tyle chyba jesteś w stanie pojąć! To dlatego, że tak potrafi zarzucić przynętę, że baby aż się wiją z chęci, żeby dać się złapać na ten haczyk, który ma między nogami!

Ingalill zaklęła brzydko, na szyi wystąpiły jej czerwone plamy. Dziewczęta śmiały się jeszcze głośniej.

- Szkoda, że twoja elegancka przyjaciółka o tym nie wie! Na pewno nie zaprosiłaby cię wtedy do alkowy panny młodej!

Pomimo wściekłości Ingalill uświadomiła sobie, że mają rację. Ubierać pannę młodą powinny jej przyjaciółki, dziewice, młodsze siostry albo inne bliskie sercu dziewczęta, cieszące się także zaufaniem ojca dziewczyny.

Udział w takiej uroczystości zagwarantowałby jej także pewną pozycję, która mogłaby jej się przydać, gdyby zechciała oczarować swymi wdziękami któregoś z oficerów obecnych na weselu.

Nigdy nie myślała poważnie o Torem - Rybaku. Wspomniała o nim ot, tak sobie, w przelocie, ponieważ one wszystkie obracały na palcach zaręczynowe pierścionki i całe w pasach zwierzały się sobie z tajemnic, które przydarzyły im się tej wiosny.

Ona nie chciała być gorsza. W dodatku uważała, że zebrała takie doświadczenia, które tym głupiutkim paniąkom w cnotliwych gorsetach na pewno były obce.

Odeszły teraz od niej.

W uszach jej szumiało, z trudem łapała powietrze. Czowała, jak gniew w niej narasta. O, jeszcze im pokaże. Kiedy ruszyła z powrotem na dziedziniec, zdecydowanie kierując się do

izby, w której nalewano piwa, gdzie, jak wiedziała, siedzi Bendik, drogę przeciął jej inny człowiek. Poznała go od razu.

Tore - Rybak.

Odwróciła się gwałtownie, wypatrując koleżanek. Tak, tak, nie spuszczały z niej oka, cały czas przy tym chichocząc.

Ingalill zatrzymała się przed nim, ukloniła, potem rzuciła mu się na szyję, całując w same usta, a wszystko to na oczach zdumionych dziewcząt.

On zaś wcale jej nie odepchnął. Czuć od niego było ostro alkoholem i tytoniem, ale dotyk jego ust sprawił, że w Ingalill wszystko się rozpałiło. Tore, bezczelnie obejmując ją jedną ręką przez plecy, dotknął jej piersi i uszczypnął.

- Cóż to za słodki kociak, który tak serdecznie wita nieszczęśnika, wychodzącego na brzeg?

- Och, chyba mnie pamiętasz, Tore - szepnęła Ingalill, kokieteryjnie przekrzywiając głowę.

A on miał dość rozumu, by nie zaprzeczać.

Z wolna też wracała mu pamięć. O, tak, tych piersi już kiedyś dotykał, zawarł też już znajomość z tymi szerokimi soczystymi wargami. Kiedy to mogło być? Zeszłego roku, mniej więcej o tej samej porze? Na jarmarku w Kaupanger? Kim ona jest? No cóż, nie pamiętał, bez względu jednak jak się nazywa, to widać, że jest zaskakująco chętna. Pociągnął ją za rękę i zaproponował solidny łyk ze srebrnej piersiówki.

A Ingalill nie była dziewczyną, która odmawia.

Znaleźli ją dopiero o świcie. Wszyscy zgromadzeni tyralierą przeszukiwali okolicę już od pięciu godzin. Helena ze strachu odchodziła od zmysłów, a Bendikowi twarz pobielała z przerażenia i gniewu.

Czyżby utopiła się w morzu? A może padła ofiarą jakiejś zbrodni? Tak wielkie licytacje przyciągały zwykle różnych ludzi. Byli tu kupcy z odległych wiosek, handlarze, których nikt nigdy dotychczas tu nie widział.

Mężczyźni, którzy zajrzeli do niewielkiej szopy na skraju pola, z początku myśleli już, że stało się najgorsze. Dziewczyna leżała nieruchomo, z twarzą ukrytą w resztkach słomy, ale kiedy odwrócili ją na wznak, okazało się, że oddycha równo i przewraca oczami. Jęknęła, gdy uderzyli ją w twarz, żeby wrócić jej przytomność, ale zmarszczyli czoło, gdy dotarł do nich kwaśny odór jej oddechu.

Dziewczyna wcale nie była ranna, tylko najwyraźniej pijana do nieprzytomności.

A spódnica kłębiła jej się na udach, pokryta zakrzepłymi plamami nasienia, wyraźnie

rysującymi się na grubej wełnianej tkaninie.

- Ktoś cię zgwałcił, dziewczyno? Jesteś ranna? Ingalill podniosła rękę do czoła, próbowała otworzyć oczy. Wreszcie zdała sobie sprawę, w jak strasznej sytuacji się znalazła.

- Tak - zaszlochała. - Tak, właśnie tak, on to zrobił! Wziął mnie gwałtem, zabiję go!

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Kto? - spytał jeden z nich twardo. - Kogo oskarżasz o tak nieczny czyn, dziewczyno?

- Torego - załkała Ingalill. - Torego - Rybaka! On mnie uderzył... Mężczyźni wsunęli ręce w kieszenie.

- Zabierzemy ją do lensmana - uznał jeden i splunął brunatną od tytoniu śliną na sam środek klepiska.

Ingalill podniosła się na chwiejnych nogach, ale żaden nie wyciągnął ręki, by jej pomóc.

Dopiero gdy prawie wywróciła się na progu, mocno ujęli ją pod ręce. Pociągnęli ją za sobą i dali znać innym, którzy na próżno przeszukiwali las i okolice nad brzegiem.

Helena, dostrzegłszy córkę, którą ciągnęli dwaj mężczyźni, natychmiast do nich podbiegła.

- Ingalill, co się stało? Ach, moje dziecko, czy ktoś cię skrzywdził? Przewróciłaś się? Och, na Boga, jak ty cuchniesz!

Zrozpaczona szarpała córkę. Straszna prawda już do niej dotarła, potwierdziły ją spojrzenia mężczyzn, świdrujące niczym lance.

- Ściągnęła na siebie wstyd, proszę pani. Znaleźliśmy ją w szopie. Wciąż jest nieprzytomna z pijaństwa i zdaje mi się, że jeszcze nie potrafi dokładnie powiedzieć, co się stało. Musimy się więc trochę wstrzymać z pójściem do lensmana.

- Do lensmana? Mężczyźni .pokiwali głowami, jeden z nich znów splunął i oświadczył:

- Tak, ona uważa, że została zgwałcona. Twierdzi, że to Tore - Rybak wziął ją gwałtem, ale ja na pani miejscu dobrze bym się zastanowił. To, jak ją znaleźliśmy... No cóż, na ciele nie ma żadnego znaku i jak pani sama widzi, jest pijana jak bela. Taką sprawę trudno będzie wygrać, chyba pani sama rozumie...

Helena ujęła twarz Ingalill w obie dłonie i mocno nią potrząsnęła. Dziewczyna wciąż miała jeszcze zamglony wzrok, jak gdyby nic do niej nie dotarło.

- Chcę wracać do domu, mamó - pisnęła.

- Jeśli on naprawdę coś ci zrobił, to najpierw pójdziemy do lensmana - oświadczył twardo Bendik.

Helena mocno przytuliła córkę.

- Nie - oświadczyła z niezwykłą mocą. - To już wystarczy. Tyle wstydu już wystarczy.

Skierowali się ku przystani, z Ingalill ledwie trzymającą się na nogach. Mężczyźni, którzy zostali z tyłu, burczeli coś pod nosem. Helena aż za dobrze wiedziała, co mówią.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po dwóch tygodniach nadeszła odpowiedź od pisarza. Sprawę, którą chcieli wnieść przeciwko Toremu - Rybakowi, odroczone ze względu na niejasność faktycznych wydarzeń i nieposzlakowaną opinię Torego. W dodatku pisarz usłyszał gdzieś, że dziewczyna wcześniej tego wieczoru sama wybiegła mu na spotkanie i na oczach wszystkich obecnych pocałowała go. Poza tym już przy kilku okazjach zachowywała się na tyle nieprzyzwoicie, że należałoby chyba raczej zadać pytanie, czy to jej nie trzeba oskarżyć o rozwiązłość.

Pisarz radził im zastanowić się, czy nie mogą zwrócić się do kogoś o pomoc w wychowaniu tej panny, która, stojąc już niemal u progu dorosłości, wykazała się zachowaniem, którego nie można tolerować.

Innymi słowy, prosił, aby wysłali ją gdzieś w dalsze okolice na dłuższy czas, inaczej bowiem nie będzie się można dłużej opierać żądaniom wysuwanych przez najmożliwszych mieszkańców parafii.

Bendik i Helena, wsłuchani w równiutkie pochrapywanie bliźniaków, dobiegające zza zasłony, wymienili pełne rozpaczony spojrzenia. Benjamin pewnie też już spał, nie ze względu więc na nasłuchujące ciekawskie uszy wciąż nie rzekli jeszcze ani słowa o całej tej sprawie.

Wreszcie Bendik powiedział to, co należało powiedzieć:

- Mamy dwie możliwości: wysłać ją na służbę do obcych albo poprosić Johannę, by przez jakiś czas się nią zajęła. Na Vildegard znajdzie się dla niej miejsce, no i Benjamin mieszka przecież tutaj, niekiedy całymi tygodniami... Będzie musiał zawieźć ją tam łodzią. Helena stęknęła ciężko.

- Tak, innej rady chyba nie ma. Johanna na pewno ją przyjmie. Być może nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybym pozwoliła jej już wcześniej zabrać Ingalill.

Bendik udał, że nie słyszy goryczy w jej głosie, leciutko pogłaskał żonę po włosach.

- To nie twoja wina. Obowiązkiem ojca jest wyznaczać granice. Widziałem, że to nadchodzi, ale byłem za słaby. Ingalill zawsze lubiła spróbować owsianki, zanim wystygła... No i się sparzyła.

Helena wtuliła się w niego. Zacisnęła oczy.

Wszystko to znów powróciło. Znów wszystko się powtórzyło, choć być może nie w pełni. Ona przecież aż za dobrze wiedziała, co przeszła córka, co sprawiło, że przygasł blask zielonych oczu.

Została zdradzona, wykorzystana, zhańbiona. Mimo wszystko wciąż jeszcze była

bezbronny dzieckiem, choć tak bardzo chciała już być dorosłą.

Nie dość ją ostrzegali. Patrzyli przez palce na grę, jaką prowadziła z każdym mężczyzną, który tylko się przy niej pojawił, odkąd skończyła czternaście lat.

A teraz stało się to, czego możliwości Helena nigdy w głębi ducha do siebie nie dopuszczała.

Ingalill została skrzywdzona, zbrukana na zawsze. Nie można już dłużej marzyć o tym, że życie jej się ułoży i znajdzie uczciwego człowieka na męża, który w pewnym sensie zdejmie z ich barków odpowiedzialność.

- Może aż tak daleko się to nie posunie - stwierdził Bendik. - Tore - Rybak może rzeczywiście jakoś się z tego wywinął, lecz przypuszczam, że i on chciałby, by jak najmniej gadano o tej sprawie. Porozmawiam z nim, z pisarzem także. Jeśli nic się nie będzie działo, ludzie prędko zapomną. Może będzie mogła tu wrócić już za rok albo dwa.

- Jeśli plotki nie pobiegną jeszcze szybciej. Są lekkonogie jak zając, wiesz przecież.

Bendik zamyślony pogładził ją po plecach.

- Johanna nam pomoże - rzekł cicho.

Boże, spraw, by rzeczywiście nam pomogła, pomodlił się w duchu. Reina nie mogła uwierzyć w to, co mówi matka.

- Ona ma tu mieszkać? Ta dziwka? Mamo, nie mówisz chyba poważnie? Nie teraz, kiedy się to stało! Przecież ona ściągnie na nas tylko wstyd!

Johanna łagodnie popchnęła córkę na krzesło.

- Zastanów się dobrze, Reino, wydaje ci się, że wiesz, co zaszło...

- Tak! Bendik dokładnie mówił, co było! Ingalill się upiła i poszła gzić się na sianie z jakimś obdartym rybakim! Znaleźli ją pijaną i półnągą, ledwie zdołała uniknąć więzienia za te swoje bezeceństwa!

Johanna westchnęła.

- A czy potrafisz wyobrazić sobie inną historię, Reino? Historię o zrotpaczonej młodej dziewczynie, która skuszona wódką nie bardzo wiedziała, co robi? I czy nie potrafimy wyobrazić sobie, że bardzo pijana nie była w stanie bronić się ani choćby krzyknąć, kiedy on... kiedy on...

Reina wpatrywała się w matkę.

Czyżby Johanna naprawdę broniła córki Heleny, o której tyle już razy wygadywała najgorsze słowa? Którą własnymi rękami wyciągała z czeladnej, kiedy mężczyźni rechotali zachwyceni jej bezwstydnym tańcem?

- Dostała to, o co się napraszała! - mruknęła Reina gniewnie. - A teraz ja będę musiała

za to cierpieć! To głupia leniwa krowa! Nie mam zamiaru dzielić z nią mojej sypialni.

Johanna pozwoliła dziewczynie się wyłożyć. Czuła się taka zmęczona.

- O tym nie ma mowy. Ingalill będzie spała razem z najstarszą służącą, a w ciągu dnia niewiele będziesz ją widywać. Ona będzie pracować, ciężko. I trzeba baczenie jej strzec, bez względu bowiem na to, jaka jest prawda o tym, co się tam stało, to ona wiele jeszcze musi się nauczyć o zachowaniu przyzwoitej kobiety wśród ludzi.

Reina burknęła coś z kwaśną miną.

- A tak w ogóle - mówiła dalej Johanna - to rozmawiałam dzisiaj ze starą babcią ze Svingen, wspomniała o świątecznej zabawie i bardzo cię chwaliła. Twierdziła, że zachowywałaś się wręcz wspaniale. Ale, Reino, nie musisz odmawiać sobie tańca, rozumiem przecież, że możesz mieć na to ochotę i wcale nie jestem aż tak surowa. Cóż, sama chętnie wywijałam, kiedy...

Reina nie odpowiedziała. Te pochwały nie były nic a nic warte. Nie tańczyła, ponieważ nie lubiła tańczyć, nie była to więc z jej strony żadna ofiara. Oznajmiła o tym matce z naburmuszoną miną.

Johanna wstała.

- Spodziewam się, że teraz już się pogodzisz z przyjazdem Ingalill. I zrobisz, co w twojej mocy, po to, by zrozumieć i przypilnować ją trochę. Ona nas potrzebuje. Potrzebuje ciebie. Takiej odpowiedzialności możesz się chyba podjąć, Reino.

Czy doprawdy mogła?

Reina odetchnęła głęboko zrezygnowana.

- Dobrze, postaram się. Pewnie nie jest jej lekko i może zrobiła się miłsza. A w każdym razie na pewno już się tak nie przechwala swoimi kawalerami.

- Reino, spróbuj przynajmniej. Córka lekko skinęła głową i zaraz wróciła do mozolnej pracy, którą wyznaczyła jej matka: odważanie składników do tłustej maści, którą Johanna zaczęła sprzedawać w małych pudełeczkach, dobrej zarówno na bóle w piersiach, jak i na reumatyzm.

Kamfora, rumianek, proch strzelniczy, kilka kropli eukaliptusa. Sól, pieprz i proszek z suszonej łądygi rozmarynu. Wszystko to miało naciągać w oliwie, a potem zostać wymieszane z tłuszczem i pszczelim woskiem.

Johanna odstawiła pojemniczki i zamknęła na klucz szafkę w kącie sali dla chorych.

Potem zamieniła kilka słów z mężczyzną, leżącym z opatrunkami na ławie w rogu, i naląła mu kubek naparu ze skrzypu.

Był u kogoś, kto wyciął mu kamienie, i od tej pory ciało nie mogło się odwodnić tak

jak powinno.

Reina siedziała zamyślona nad maleńką wagą. Jednym z odważników kręciła po blacie stołu, ale jej wzrok powędrował za okno, gdzie piękny wiosenny dzień tak ku sobie wabił.

Bała się, że będzie dokładnie tak jak przedtem. Nie kończące się letnie tygodnie z Ingalill, trzymającą się jej spódnicy, nieustające marudzenie i przechwałki. I te jej złośliwości! Reina westchnęła.

Były już teraz niby dorosłe, chyba potrafią jakoś zaniechać kłótni. Żałowała, że nie ma tu jak kiedyś Benjamina, on jednak powiedział, że raczej nie będzie miał czasu, by ich odwiedzić, przynajmniej do następnej wiosny. Dostał właśnie jakąś ważną pracę, a w dodatku do Starego stale zwracali się ludzie prosząc o jego usługi. Benjamin pracował teraz nad rzeźbioną kołyską dla bogatego właściciela ziemskiego, później zaś miał wyrzeźbić dla tego samego człowieka tablicę z zasadami porządnego życia.

Bardzo za nim tęskniła; odkąd zmarł Vetlebror, w domu trudno było mówić o wesołości, lecz kiedy Benjamin wyjechał, zapowiadając, że przez pierwszy rok raczej nie zjawi się w domu, zarówno Johanna, jak i inni domownicy stali się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej ponurzy. Nad całym gospodarstwem zawisł jakiś niepokój. Taki niepokój, który na pewno przyczynił się do tego, że zarówno Diana, jak i Emmi towarzyszyły Astrid w tym roku w jej tradycyjnej już wyprawie do Bergen. Zamek Marji pograżył się w ciszy, Aurora mieszkała tam teraz całkiem sama, co, zdaniem Reiny, nie było dla niej ani trochę dobre. Zaledwie po dwóch tygodniach zaczęła się zmieniać w dziwaczkę. Rzadko przychodziła już posiedzieć w słońcu pod ścianą domu, gdzie gromadziły się dziewczęta, zajmując ręce haftowaniem. Nie przyjmowała też zaproszeń Johanny do stołu, żywiła się widocznie samymi tylko podpłomykami i tym, co zdołała w nią wmusić najstarsza ze służących.

Nie, to nie może być zdrowe. Może czuje się urażona, dlatego że matka ją zostawiła, a ona chciała wybrać się razem z nią? Ale Johanna tak prosto, jak się to tylko dało, wytłumaczyła Reinie, że Astrid w sprawy, jakie załatwiała w mieście, na pewno nie chciałaby włączać córki. Być może miała tam zalotnika albo też, mówiąc wprost, kochanka.

Reina, słysząc to, nawet nie mrugnęła.

Johanna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Łatwiej było jakby pogodzić się z małymi wyskokami Astrid aniżeli z tym wstydem, jaki ściągnęła na nich Ingalill. Wyglądało jednak na to, że Reina jakoś już to zaakceptowała.

- Kiedy ona przyjedzie? - spytała krótko.

- Przypuszczam, że w ciągu przyszłego tygodnia. Reina westchnęła.

- Na pewno więc przyłączy się do zabawy świętojańskiej i znów narobi nam wstydu.

- O, nie, nie - oświadczyła Johanna surowo. - Będzie wtedy pracować. W ten wieczór, tak jak i we wszystkie pozostałe, dopóki nie skończą się żniwa, całe zboże nie znajdzie się pod dachem i nie zbierzemy kapusty z pola. A jeśli to nie wystarczy, umieszczę ją na służbie w przytułku dla umysłowo chorych, potrzeba tam rąk do pomocy, a muszę przyznać, że w tym roku obowiązkowe prace zabierają najmłodszej służącej znacznie więcej czasu, niż mi się to podoba.

Reina kiwnęła głową. To była naprawdę straszna robota. Johanna jednak osobiście stawiała się na zebraniu tych, którzy zarządzali kasą ubogich, przedłożyła swoje plany i zdołała wszystkich na nie namówić. Krewni mieli po kolei, co roku, oddawać do dyspozycji jedną służącą na miesiąc tak, aby najędźniejszymi mieszkańcami wioski opiekowano się w zadowalający sposób. Ci, którzy nie mieli służby, musieli pracować sami. W ten sposób pomimo wszystko aż przez jedenaście miesięcy mogli zapomnieć o ciężącej na nich odpowiedzialności. Dla większości była to wielka ulga.

Dom wariatów był stale pełen, ponieważ poza nieszczęsnymi pozbawionymi rozumu w domu wysoko na zboczu umieszczano także najbardziej niedołączonych starców na dożywocie. Dostawali tam dość żywności, by przeżyć, trochę się też nimi zajmowano. Wielu jednak wolało raczej położyć się i umrzeć, gdy wyczuwali, że sił zaczyna już brakować, a surowa gospodyni nie zamierza zapewnić im schronienia ani przez minutę dłużej, niż nakazywało prawo. Reina pokiwała głową.

Towarzyszyła niekiedy matce, gdy posyłano po nią z tego straszego miejsca. Młoda wariatka z rozdziawioną gębą urodziła tam zeszłego roku dziecko. Nie była w stanie powiedzieć, ani kto jest jego ojcem, ani nic innego. Sama, prosta dusza, przysłała na świat w oborze i chociaż ciało jej dorastało i rozwijało się jak należy, to z głową coś było nie tak i nigdy nie dało się tego naprawić. Dziewczyna w niewyjaśniony sposób zmarła dwa dni później, dziecko zaś, leżące w szczerzym gnieździe z resztek słomy i zniszczonych sienników, które nieszczęśnicy dzielili jak łoże, niechcący przydusił inny z mieszkańców przytułku.

- Może Ingalill dobrze to zrobi, kiedy zobaczy, że inni mają jeszcze gorzej. Johanna kiwnęła głową.

- Ja też tak sobie pomyślałam. A jeśli będzie się dobrze sprawować, ludzie na pewno to docenią. Może mogłybyśmy pozwolić nawet, żeby pomagała przy chorych...

Reina wzruszyła ramionami.

Nienawidziła jednak nawet myśli o tym, że Ingalill miałaby jej skraść tę odrobinę szczęśliwych chwil, które jeszcze dzieliła z matką. Johanna podeszła do córki i pogłaskała ją

po policzku.

- Nie bój się. Dobrze wiesz, że jesteś warta dziesięciu takich jak ona. Mnie wcale się to nie podoba bardziej niż tobie, ale kiedy ojciec mnie prosi, nie mogę mu odmówić. Zwłaszcza po tym wszystkim, co oni zrobili dla nas. Dla Benjamina.

Reina pokiwała głową.

Ale w brzuchu ją zapiekło. Jakby ostrzegawczo. Obecność Ingalill oznaczała jedno: Kłopoty.

Zaczęło się już od razu, gdy tylko ciężka podróżna torba Ingalill stuknęła o deskę w podłodze w najmniejszym pokoju.

- Znalazłam pracę! Nie musicie się mimo wszystko więcej o mnie martwić. Umówiłam się już w Dosen, będę podawać jedzenie w karczmie. Obiecał mi rocznie dwadzieścia talarów, chyba całkiem nieźle, prawda?

Johanna, słysząc to, aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Ingalill, tak być nie może! Przecież dobrze wiesz, że młoda samotna dziewczyna nie może się podjąć takiej pracy!

- Ha! To przecież uczciwa robota, prawda? A z pijakami na pewno sobie poradzę. Wcale się ich nie boję! W dodatku przecież człowieka nie da się jednocześnie zastrzelić i powiesić, Johanno. - Zaśmiała się głośno. - Nie jestem już dziewicą, jak dobrze wy i cały świat bez wątpienia wiecie!

Johanna delikatnie ujęła ją pod rękę, pomogła zdjąć kaftan.

- Ingalill, posłuchaj mnie teraz. Bendik, twoja matka i ja już zawarliśmy umowę. Dopóki nie skończysz dwudziestu lat, masz być nam posłuszna. A jeśli chcesz zachować najmniejszą chociaż szansę na przyzwoite życie, na własną rodzinę, to jesteś uzależniona od nas. I od swego własnego rozumu!

Bieganie w podkasanej spódnicy w karczmie! Słyszałaś kiedy o jakiejś dziewczynie, która wyszłaby za mąż po takiej służbie?

O dziwo, Ingalill spuściła wzrok i już nie protestowała.

- Będziesz mieszkać tu, u nas, i my na pewno znajdziemy dla ciebie zajęcie, a jeśli chodzi o zapłatę, to jak się dobrze postarasz, na pewno nie będziemy chytryć. Jesteś przecież mimo wszystko członkiem naszej rodziny.

Ingalill przełknęła ślinę, ale oczu nie odrywała od desek w podłodze.

Praca, praca!

Oni tutaj tak marudzili o pracy, że wprost trudno było uwierzyć w to srebro i złoto, w talary Marji kiszące się na dnie kufra. Ingalill nie mogła pojąć, że Johanna w ogóle zwraca

sobie głowę tymi cuchnącymi staruchami, tymi tłustymi babami o zapadniętych twarzach, i to we dnie i w nocy.

Gdyby o nią chodziło, o, ona już umiałaby skorzystać z tego bogactwa w zupełnie inny sposób, aniżeli chodząc w samodziałowym fartuchu i grzebiąc w zaropiałych ranach!

Uśmiechnęła się jednak lekko do Johanny.

Tak mimo wszystko będzie najsprytniej, skoro sprawy przyjęły taki obrót.

Pewnego dnia na pewno i tak uda jej się zetrzeć ten upokarzający uśmiezek z warg tej kobiety. Pewnego dnia to ona będzie bogatą gospodynią z kluczami do komory i spichrza przy pasku.

Okropne zdarzenie z Torem - Rybakiem pójdzie w zapomnienie. Ba, matka uważała, że tu w Lyster nikt pewnie nigdy nawet się o nim nie dowie.

Ważne więc, by zagrać we właściwe karty.

W okolicy sporo jest zamożnych pierworodnych synów, w tej kwestii zdążyła już się zorientować na świątecznej zabawie. I wielu z nich nie miało absolutnie nic przeciwko jej zainteresowaniu.

Być może to, co się stało, wcale się tak źle nie skończy.

Przecież już ryle razy zadrezczała matkę błaganiami, ale Helena nie chciała się zgodzić, by zabrać ją ze sobą tutaj, gdzie mimo wszystko więcej było życia i zabawy niż w położonym na uboczu Meisterplassen.

Teraz przepadnie jej ślub i okazja poznania wszystkich tych ewentualnych kawalerów, oficerów należących do kręgu przyjaciół pana młodego.

Ale i tutaj znajdą się tacy, na których warto rzucić okiem. W myślach już miała jednego, konkretnego.

Ale jego nazwisko najlepiej będzie zachować dla siebie. Już ona zatroszczy się o to, żeby nikt, a już zwłaszcza Johanna, nie dowiedziała się o jej planach do czasu, aż będzie za późno.

Johanna nie wiedziała, co ją obudziło, lecz kiedy zadudniono do drzwi, była już całkiem przytomna. Od dawna leżała, nasłuchując.

Podobna sytuacja powtarzała się często, regularne wezwania nocą niemal wyrobiły w niej być może jakiś dodatkowy zmysł, jakby zegar, który miękko dzwonił jej w głowie, zanim posłaniec zdążył otrząsnąć ją ze snu swoją rozpaczą bądź strachem.

Wszyscy we wsi wiedzieli, że Johanna woli, by chorych przewożono na Vildegard. Ogromnie nie lubiła tych podróży łodzią czy też saniami o tak późnej porze. Równie istotne jednak było to, że nie mogła ciągnąć ze sobą wszystkich swoich medykamentów i narzędzi,

niekiedy więc zdarzało się, że niewiele mogła pomóc, ponieważ czegoś akurat jej brakowało. Nie zawsze opis sytuacji przyniesiony przez posłańca zgadzał się z rzeczywistością.

Tym razem w drzwiach stanęli dwaj bracia, mogący liczyć sobie około dwudziestu lat, może ciut więcej. Jeśli prosić ją w imię miłości bożej, by zgodziła się pójść z nimi do domu siostry. Kobieta leżała w połogu i gorączkowała. Dziecko? No owszem, urodziło się, było jednak malusieńkie i nie wyglądało na szczególnie silne.

Johanna wahała się. Rzadko dawało się poradzić coś na gorączkę połogową. Można było podawać zioła, zwalczające temperaturę, a jeśli kobieta cierpiała na jakieś bóle, to można było jej w nich trochę ulżyć. Ale gwałtowne zapalenie macicy i brzucha niełatwo wyleczyć. Często kończyło się ono brutalnie, przeważnie śmiercią, zarówno matki, jak i bezbronного noworodka.

Spytała, kto pomagał przy porodzie, a wtedy chłopcy zawstydzeni popatrzyli na siebie. Johanna czekała. Wreszcie padły wypowiedziane ściszym głosem słowa:

- To my, pani. Nie było... nikogo innego. Jenny nie pozwoliła nam sprowadzić żadnej kobiety do pomocy.

Johanna uniosła brwi. Coś musiało się za tym kryć, to oczywiste. Prędko odnalazła swój nieduży worek, upchnęła w nim kilka dodatkowych kawałków miękkiego spranego płótna i wiedziona jakimś niejasnym przeczuciem dołożyła jeszcze ciasto na słodzie i nieduży woreczek cukru.

Chłopcy przyjechali każdy na swoim koniu, co ją zaskoczyło. Ubrania, jakie mieli na sobie, nie świadczyły wcale o tym, że stać ich na taki zbytek. Wsadzili ją na grzbiet wierzchowca, młodszy chłopak usiadł za nią, a potem strzeliły cugle i ruszyli. Spod kopyt sypały się iskry, gdy koń ślizgał się i uderzał o żwir i kamienie. Gdy dotarli do zakrętu, Johanna wstrzymała oddech, lecz chłopak za jej plecami był dobrym jeźdźcem, a koń zwierzęciem raczej uważnym. Wszystko poszło jak należy. Miała wrażenie, że unoszą się w powietrzu przez letnią noc.

Mimo to księżyc zdążył zblednąć, zanim dotarli do niewielkiej chaty. Połowę drogi przejechali wzdłuż fiordu, dopiero w okolicy Nes mężczyźni skręcili na wąską ścieżynkę. Jechali wśród zarośli, w górę, można właściwie powiedzieć, urwiska. Zarówno konie jednak, jak i jeźdźcy doskonale znali drogę. Johanna zauważyła zresztą ślady ich podróży w dół, rozoraną ziemię i zdarte kępki mchu. Potem na małej polanie ukazała się chata. Z dachu sączył się dym. Była to stara chałupa bez komina, z dachem krytym torfem.

Chłopcy pomogli jej zsiąść. Johanna była sztywna i obolała, najbardziej dolegały jej ręce, które przez całą podróż zaciskała wokół worka. Teraz nie mogła rozprostować palców.

Dziewczyna nie miała więcej niż szesnaście, może siedemnaście lat. Młodszy z chłopców pochylił się nad nią i szepnął, że teraz na pewno będzie już zdrowa.

Johanna poczuła ostry zapach choroby, jeszcze zanim zbliżyła się do łóżka. Parę krótkich pytań zadanych chłopcom powiedziało jej zaraz, że podejrzenia były słuszne.

Owszem, to oni przyjęli dziecko, odcięli mu też pępowinę, nożem, jak przystało, kiedy rodził się chłopak. Obwiązali też tę dziwną strunę, bo Jenny powiedziała im, że tak należy zrobić. Małego sama przyłożyła do piersi, chociaż była taka zmęczona. Sądziła, że wszystko już będzie dobrze, ale dwa dni później przyszli do niej i zastali ją w gorączce i w majakach, całą zabrudzoną czarnymi odchodami noworodka. Umyli ją tak jak umieli, tak jak mogli sobie na to pozwolić mężczyźni z honorem...

Johanna kazała im wyjść i nanosić więcej drzewa, a sama jednocześnie otworzyła drzwi na oścież. Letnia noc była rześka i chłodna po deszczu, który spadł poprzedniego wieczoru. Chłopcy, zanim się po nią wyprawili, dobrze napalili w chacie, powietrze wprost drżało teraz od gorąca, a drewno pod dachem aż trzeszczało. Z niewielkiego paleniska na środku izby dym równiutką smugą unosił się ku otworowi w dachu, jeśli tylko nikt w chacie się nie poruszał. Teraz jednak zaczął się snuć po izbie i wycisnął z oczu Johanny łzy.

Kobieta leżała nieruchomo.

Johanna delikatnie dotknęła jej czoła, poczuła, jak bardzo jest spocone. Zauważyła też, że paznokcie dziewczyny posiniały u nasady. W lewym oku pękło naczynie krwionośne, widać nieźle się namęczyła, zanim wydała malca na świat. Noworodek leżał teraz w zagłębieniu jej łokcia, życie ledwie się w nim tliło, świadczyły o nim jedynie leciuteńkie drgnięcia powiek. Johanna ostrożnie wyjęła dziecko z uścisku matki, chłopczyk był w jej rękach bezwładny, jakby pusty w środku.

- Zagotujcie wodę w czystym garnku i wsypcie do niej szczyptę tego - nakazała bez zwłoki.

Cóż, najpierw matka.

Jednym ruchem odrzuciła poplamione okrycie, w nozdrza buchnął jej odór. Kobieta jęknęła cicho, czując nagły powiew powietrza na skórze. Leżała w cienkiej koszuli, ale chłopcy owinęli ją w szeroki, robiony na drutach wełniany sweter. Johanna odsunęła koszulę i zobaczyła, że brzuch dziewczyny wciąż jest bardzo duży i napięty. Kiedy zdecydowanym ruchem nacisnęła, natychmiast poczuła opór i wiedziała już, co się stało.

Pępowina leżała między nogami dziewczyny niczym skóra zrzucona przez węża, zaschnięta, krwistobrunatna.

- Podnieście ją! Pomóżcie mi, trzeba ją podnieść! Chłopcom zapłonęły policzki.

- Pani, czy ona umrze, czy już za późno? Co złego się stało? Johanna zacisnęła zęby, poprosiła, by stanęli za kobietą w łóżku i podciągnęli ją, tak, by górną połową ciała opierała się o ścianę.

- Poród jeszcze się nie skończył. Ona nie jest oczyszczona. Gdybyście sprowadzili mnie wcześniej... No cóż, spróbujemy, może jakoś da sobie radę, wygląda na silną.

- Ona jest silna, najsilniejsza, najtwardsza siostrzyczka... Głos mu zamarł, gdy strumień cieczy, skrzepniętej krwi i ropy wylał się z kobiety na podłogę. Później z głuchym plaśnięciem wysunęła się duża brunatnosina gruda. Łóżysko.

Johanna zadowolona pokiwała głową. Dziewczyna, nie całkiem przytomna, jęknęła.

- Trzymajcie ją tak z nogami poza krawędzią łóżka. Muszę sprawdzić, czy nic więcej nie zostało...

Stwierdziła, że łożysko utkwilo w szyjce macicy i dlatego jeszcze się nie zamknęła, choć od porodu minęły dwa dni. Nie wyczuwała żadnego świeżego krwawienia i bardzo uważała na swoje paznokcie. Infekcja macicy mogła łatwo doprowadzić do zakażenia całej krwi. Właściwie to prawdziwy cud, że jeszcze się tak nie stało.

Poprosiła chłopców, by ułożyli siostrę z powrotem w łóżku. Woda już się zagotowała. Chcieli zamknąć drzwi i lękliwie zerkali na Johannę, gdy znów kazała je otworzyć. Dobrze wiedziała, o czym myślą: stare przesady nakazywały, by położnica leżała przy pozamykanych oknach i drzwiach, najlepiej mocno palić też w piecu, bez względu na to, czy do wnętrza leje się upalny skwar czy też nie. Miało to związek z duchami i stworami z podziemnego świata.

- Trzeba spędzić gorączkę, a to znaczy, że dziewczynę należy schłodzić. Lepiej już powieście jakąś zasłonę przy łóżku, żeby przypadkiem nie pogorszyło jej się od przeciągu. I przynieście więcej wody, jeśli jeszcze jest. Musimy też schłodzić wrzątek.

Wsypała trochę cukru, kopru włoskiego i rumianku do butelki, którą ze sobą przywiozła. Miała pewność, że butelka jest przynajmniej czysta. Nalała do niej wody i położyła dziecko na kolanach jednego z chłopców.

- Spróbuj mu to dać, to go oczyści i doda siły.

- Ale jak?

- Zanurzaj w tym szmatkę, niech ssie. A jeśli nie będzie chciał, to niech mu splywa do buzi.

Niecierpliwość w jej głosie sprawiła, że młody mężczyzna cały aż się skulił. Ale Johanna już znów odwróciła się do dziewczyny. Zanurzyła dłonie w roztworze spirytusu, który specjalnie po to ze sobą przywiozła. Potem natarła je świeżo przygotowaną maścią.

Jenny oddychała teraz głębiej. Brzuch wyraźnie się spłaszczył. Johanna odnalazła jej

puls, odwróciła klepsydrę i zaczęła liczyć. Owszem, puls zbliżał się do normalnego, ale dziewczyna wciąż była jeszcze gorąca, bardzo gorąca. I chociaż oczy miała otwarte, to nie reagowała na słowa.

Wtedy Johanna wsunęła rękę pod gruby wełniany sweter i zerwała go z dziewczyny. Piersi położnicy były twarde jak jabłka i rozpalone.

Johanna aż zakrzuszyła się powietrzem, ale zaraz na zaciśniętych wargach pojawił się uśmiech.

- Ona ma zapalenie piersi! Dobry Boże, dzięki ci, to zapalenie piersi! Chłopcy popatrzyli na siebie zdezorientowani.

- To nie macica jest zakażona, pomimo iż łożysko tkwiło w niej tak długo! To zapalenie piersi!

Lekko masowała piersi kobiety, zaczynając od pach, ugniatała i delikatnie poszcypywała. Gdyby dziewczyna była przytomna, takie zabiegi sprawiłyby jej niewypowiedziany ból. Teraz jednak pojękiwała tylko trochę, a przez młodą twarz przemykał lekki grymas. Johanna dalej ścisnęła, aż z piersi wypłynęła żółtozielona ropa, a wreszcie pojawiły się pierwsze krople zabarwionego nią mleka. Johanna kontynuowała rytmiczny masaż i nie poddała się, dopóki mleko płynące z piersi dziewczyny nie wydawało jej się czyste.

- Dajcie się jej napić tego, co zostało w butelce. Jej także dobrze to zrobi. Mężczyźni chodzili po izbie jak lunatycy. Jeden nie wypuszczał dziecka, które nosił pod pachą jak paczkę. Z małego ciała wydobył się nagle dość głośny odgłos.

- On ma czkawkę! - uśmiechnęła się Johanna. - To dobry znak... Ale chyba dobrze zrobicie, chrzcząc go, chyba że już się o to zatroszczyliście...

Zaczęli się jąkać, znów jeden oglądał się na drugiego. Dopiero teraz Johanna zauważyła, jak bardzo są do siebie podobni. Bliźniacy? Nie знаła ich, ale zaraz pamięć zaczęła pracować. Czyż nie było tak, że pewna kobieta tutaj, w Hoyheimsyika, urodziła bliźnięta w tym samym roku, gdy Benjamin przyszedł na świat? Czy wówczas, kiedy wróciła z nim do domu, matka przypadkiem nie wspominała, że pomagała przy ciężkim porodzie bliźniąt gdzieś w tych okolicach?

Matka bliźniaków zmarła, przypomniała sobie nagle.

Chłopcy mruknęli, że nie wiedzą, jakie imię siostra chciała nadać dziecku, a poza tym nie przystąpili do konfirmacji...

Rumieniec wstydu pogłębił jeszcze czerwień ich policzków.

Johanna skrzyżowała ręce na piersi i ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Ja się tym zajmę - oświadczyła ze spokojem. - Wy będziecie świadkami, bez względu na to, czy zostaliście confirmowani czy nie.

Nabrała jeszcze trochę wody z wiadra, wymieszała ją z wrzątkiem i wlała do zniszczonej miski stojącej pod ścianą. Tyle musi wystarczyć. Potem odmówiła należne modlitwy i poświęciła wodę. Trzymając dziecko w zagłębieniu łokcia polewała mu główkę garściami wody, jeszcze raz powtarzając modlitwy:

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Zawahała się, lecz wreszcie nadała noworodkowi imię Johannes.

Nic innego nie umiała wymyślić, bo przez sekundę przed oczami stanęła jej twarzyczka Vetlego.

Ten malec tutaj wyglądał na obdarzonego większą wolą walki, woda z cukrem i ziołami najwyraźniej dobrze mu zrobiła. Po raz pierwszy, odkąd Johanna przestąpiła progi tej chaty, zaniósł się głośnym gniewnym krzykiem, jak gdyby to imię ani trochę mu się nie spodobało.

A wtedy kobieta w łóżku się poruszyła.

Chłopcy nie mogli zapanować nad swoją radością. W jednej chwili byli już przy niej i zachwyceni zaczęli nią potrząsać.

- Jenny, Jenny będziesz zdrowa! Nie pozwolimy, żeby coś złego ci się stało! Jesteś przecież naszą młodszą siostrą, jedyną, jaką mamy!

Johannę nieco to zdziwiło, ale cóż, może pamięć ją zawodziła.

Jenny pękły wargi, gdy próbowała się do nich uśmiechnąć. Johanna po wyrazie jej twarzy poznała także, iż ból piersi dotarł do świadomości dziewczyny z pełną mocą. Prawdopodobnie bolał ją także brzuch i podbrzusze.

Wciąż jeszcze mogło wywiązać się zakażenie, a wówczas nadzieje na przeżycie dziewczyny byłyby o wiele mniejsze, aniżeli w przypadku zwykłego zapalenia piersi. Położnica zebrała siły i wydusiła z siebie kilka słów.

- Nic... nie mówcie. Zakopcie w lesie, zróbcie to dla mnie. Nagle dostrzegła Johannę z dzieckiem na ręku. Zaciśnęła oczy, podniosła bezsilną dłoń. Usta jej drżały, ale znów bez sił opadła na łóżko.

- On żyje - oświadczyła z mocą Johanna. - I czuje się już teraz znacznie lepiej, ten twój mały synek. Musiałam go ochrzcić, nadałam mu imię Johannes, czy tak będzie dobrze?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Miała teraz zamknięte oczy. W końcu głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Nie mogę go zatrzymać - szepnęła słabym głosem. - Wtedy oboje umrzemy.

Johanna już dawno zrozumiała, że za takim porodem jak ten musi się coś kryć. Chata, w której siedzieli, sprawiała wrażenie nie zamieszkanego. Wszędzie widać było pajęczyny i kurz, prycza zaś, na której leżała dziewczyna, wyglądała na przypadkowo zbitą z drzwi, ułożonych na dwóch skrzynkach.

Chora znów zadrżała. Johanna przechyliła się ponad nią i umieściła dziecko w najcieplejszym miejscu zadymionej izby: na półce na talerze, za połówką ściany dzielącej izbę na dwie części.

Potem zabrała obu chłopców na dwór. Na wschodzie słońce już się przebijało przez szarą zasłonę chmur na horyzoncie.

Zrobiło się zupełnie widno.

Popatrzyła w oczy temu, który miał obcięte włosy.

- Muszę się o tym dowiedzieć czegoś więcej. Czy ona powiła to dziecko w ukryciu? Czy nikt poza wami nie wiedział o jej stanie?

Chłopcy zatopili dłonie w kieszeniach i pokiwali głowami. Johanna wciągnęła powietrze przez nos.

- Wiecie, jak źle mogło się to skończyć.

- Ona mogła umrzeć - szepnął jeden.

- Mogła umrzeć - potwierdziła Johanna cierpliwie. - Ale mogło zdarzyć się jeszcze coś gorszego. Z wami także.

Patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc. Cóż, rzeczywiście ci dwaj nie zaliczali się chyba do tych najbystrzejszych, lecz że nie wiedzieli, jaka może grozić im kara?

- Kobieta, która ukrywa swój stan i rodzi potajemnie, może zostać ukarana śmiercią. A jeśli w trakcie porodu umrze ona sama albo dziecko, taka sama kara czeka tych, którzy jej pomagają. A to wciąż jeszcze może się stać.

Chłopcy patrzyli na nią przerażeni. Ich półotwarte usta wzruszyły Johannę. Sądząc po wzroście, byli już mężczyznami, lecz teraz bił od nich dziecinny lęk.

- Ale, ale... My tylko obiecaliśmy, że pomożemy Jenny. Ona jest naszą siostrą...

Johanna cierpliwie kiwała głową.

- Wiem o tym, zrobiliście zapewne to, co uważaliście za najszuszniesze. No i sprowadziliście mnie. Postąpiliście bardzo mądrze, chłopcy. Jak na to wpadliście?

Jeden wystąpił o krok w przód.

- Ja rok temu już po paniąjechałem. Do gospodyni, kiedy rodził się najmłodszy chłopiec.

Johannie zaczęło się przejaśniać w głowie. Wiedziała, że już wcześniej widziała

gdzieś tego chłopaka, ale był wtedy o wiele mniejszy i nosił długie włosy. Przypuszczała, że rozmawia z najmłodszym z parobków w Njos.

- Musicie mi teraz opowiedzieć wszystko. Kto jest ojcem tego dziecka? I dlaczego ona nie chciała zdradzić swego stanu? Co zamierzaliście zrobić z dzieckiem?

Młodzieńcy otworzyli szeroko oczy, kręcąc głowami.

- My... my nie wiemy, pani. Ona... ona nic o tym nie mówiła. Johanna się poddała.

- No cóż, sama z nią porozmawiam, gdy nabierze trochę sił. Musimy spróbować wsadzić ją na konia i zabrać na Vildegard. Dla dzieciaka przygotuję powijaki, tak będzie najlepiej na czas podróży.

Chłopcom wciąż jakby odebrało mowę, Johanna zorientowała się jednak, że takie rozwiązanie nie bardzo jest im w smak.

- Jenny mówiła... że nikt nie może się o niczym dowiedzieć. Czy nie może pani poczekać, dopóki nie będzie można znów z nią porozmawiać?

Johanna poczuła gniew czający się w brzuchu. Nie było przecież wcale pewne, że kobieta przeżyje. A jeśli tak się stanie, to czekają ją przesłuchania i kara, jeśli tylko okaże się, że dziecko ma bodaj odrobinę kalectwa takiego jak to, na które wyraźnie cierpieli ci dwaj.

Ale oni sami byli jak dzieci.

Musi o tym pamiętać.

Boże dopomóż, może i ta kobieta jest niedorozwinięta. To dopiero kłopot. Trudno jej będzie znaleźć dom dla nieślubnego dziecka, w dodatku tak złej krwi.

Johanna westchnęła i usiadła na porośniętej mchem polanie przed chatą. Plecy ją bolały, dopiero teraz właściwe to poczuła. To zapewne ta konna jazda, do jakiej nie nawykła. Dawno już, bardzo dawno nie jechała na koniu w takim pędzie.

- No to zobaczymy - westchnęła cicho. - Niech ona się trochę prześpi, a potem zobaczymy.

- Ty, pani, możesz wracać do domu, a my się nią zajmiemy. Ona przecież jest naszą siostrą.

Johanna kiwnęła głową.

- To już zrozumiałam - powiedziała łagodnie. - I może rzeczywiście tak będzie najlepiej. Ale dziecko muszę zabrać, a wy przyjedziecie później, razem z Jenny. Tylko bądźcie z nią ostrożni i podawajcie jej tę miksturę tak często jak tylko się da. Powinna wypić całą filiżankę. No i trzeba jej też podawać dużo wody. Zostawię również trochę jedzenia, spróbujcie ją nakarmić, zanim przewieziecie ją na Vildegard.

Chłopcy tylko kiwali głowami.

Johanna jeszcze raz westchnęła i ostrożnie przeciągnęła ręce. Łupnęło ją w krzyżu. Ani trochę nie cieszyła się na powrotną jazdę do domu.

Dziecko zostało ciasno owinięte płótnem, które ze sobą przywiozła, a potem jeszcze otulone kurtką. Johanna przywiązała sobie ten tobolek na piersi, pilnując, by dziecko miało czym oddychać. Owinęła się szeroką peleryną i nikt teraz nie mógł już zobaczyć, co też takiego wiezie. Niezgrabnie dosiadła jednego z pięknych koni, chłopak z długimi włosami czym prędzej wskoczył na drugiego.

Teraz, w ostrym świetle letniego poranka, przebudziła się jakby dawna radość, jaką daje świadomość, że oto ma się pod sobą poruszające się zwierzę. Johanna przyłapała się na tym, że się uśmiechnęła. Pęd i napięcie, bliski kontakt z koniem, wszystko było tak jak kiedyś. Może powinna jeździć częściej, nie nalegać, by wyprowadzano powóz, gdy tylko miała do załatwienia jakąś sprawę gdzieś dalej?

Chłopiec zorientował się, że Johanna doskonale radzi sobie z koniem, i posłał jej szczerzy, pełen uznania uśmiech.

Johanna prawie zapomniała o przywiązanym do niej dziecku. Gdy jednak zaczęli zbliżać się do Vildegard, mały zaczął krzyczeć i wystawił pomarszczoną twarzyczkę w poszukiwaniu jedzenia.

- Już dobrze, dobrze - szepnęła do niego zdyszana Johanna. - Zaraz dostaniesz, mały Johannesie, już niedługo, niedługo.

Wpadli na podwórze, akurat gdy najstarsza ze służ przyszła wylać brudną wodę z wiadra po porannym myciu. W obejściu panował spokój, bo inne służące były teraz z dobytkiem w letniej zagrodzie. Tylko z ogrodu dla świń za oborą dobiegał jakiś gniewny kwik.

- O, jest pani, i to nie sama! Tak, tak, owsianka stoi na piecu, panienska już zjadła. I ta nowa panienska też. Ale dla pani zostało najlepsze, z masłem.

Johanna kiwnęła głową w podzięcie. Nie widziała żadnego powodu, by zdradzać, co ze sobą przywiozła. W tej sprawie wciąż było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

Zycie nauczyło ją, że pewne sprawy powinna zatrzymywać dla siebie, a szczególnie nie krzyczeć głośno, gdy młoda dziewczyna urodziła dziecko w położonej na odludziu starej chacie, licząc jedynie na pomoc swych dwóch niespełna rozumu braci.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przyśnił jej się taki dziwny sen. Najpierw jakaś stara kobieta kiwała na nią zgiętym palcem. Poszła za nią, nagle znalazła się w lesie. Ale ten las nie był wcale z drzew, pnie okazały się żywymi ludźmi, wyciągającymi ręce w powietrze do góry i nie mogącymi się uwolnić.

Staruszka przeobraziła się, zmieniła w małego zajączka i zaraz potem zniknęła w jakiejś jamie w ziemi.

Reina przebudziła się z uczuciem zdumienia, które nie opuszczało jej we śnie: Dlaczego ludzie wrastali w ziemię, zapuszczali w niej korzenie i chwyтали się jeden drugiego?

Przemyśla oczy zimną wodą, wyjrzała przez okienko. Wstał już poranek, ale słońca nie było widać. Musi więc być wczesnie, bardzo wczesnie.

Przez chwilę nasłuchiwała, wszędzie panowała cisza. A więc wszyscy jeszcze śpią. Widać jeszcze noc.

Poczłapała z powrotem do łóżka, lecz przewracała się z boku na bok, nie mogąc pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, jakie pozostawił w niej ten sen. Nie był to właściwie żaden koszmar, lecz mimo wszystko wstrząsnął nią dreszcz, a ramiona pokryły się gęsią skórką.

Znów nasłuchiwała.

W niektóre noce zza ściany dochodziło ciche pochrapywanie matki, teraz jednak nie słyszała. W jednej chwili wiedziała, że matki nie ma. Gdy się skupiła, potrafiła wyczuć jej obecność pod postacią lekkiego klucia na skórze. Teraz nic takiego nie czuła. Trochę tylko było jej zimno po tym gwałtownym myciu. Równie dobrze może już wstać.

Podniosła się i wciągając koszulę, potrafiła piękny stojak z przyborami do mycia. Otarł się o ścianę, ale zaraz z donośnym brzękiem runął na podłogę. Pięknie dekorowana miednica z niemieckiej porcelany rozprysnęła się wokół jej nagich stóp na tysiąc kawałków. Dzbanek się wyszczerbił, a rączka utraciła.

Reina zacisnęła zęby, przeklinając w duchu samą siebie.

Do oczu napłynęły jej łzy, naczynie było częścią spadku po Marji. Teraz zniszczyło się już na zawsze.

Ingalill zeszła na dół ubrana w niedzielną sukienkę. Reina patrzyła, jak dziewczyna siada i czeka, aż ktoś ją obsłuży. Demonstracyjnie sama podeszła do kotła i nałożyła gęstej owsianki, ale tylko sobie. Talerze wisiały na ścianie, tak samo jak łyżki. Na co dzień tak było

najpraktyczniej, choć elegantsze panie, które czasami odwiedzały Johannę, uważały, że powinna sprawić sobie kredens na talerze i sztuce.

Raczej nie wiedziały, że w kufrach na strychu leżą srebra dla całego chyba batalionu i talerze z najdelikatniejszej porcelany.

Kiedy Reina podniosła do ust pierwszą łyżkę, nie mówiąc do Ingalill nic poza krótkim „dzień dobry”, dziewczyna zrozumiała aluzję i pogiębiona skierowała się do garnka.

Dziewczęta posilały się, nie zamieniając ani spojrzenia. Ale gdy Reina opróżniła już miskę, podniosła wzrok i przyglądała się Ingalill. Przyrodnia siostra jadła łapczywie, ale ręka trochę jej się trzęsła. Bilo od niej coś w rodzaju strachu. Bez względu na to, jak mocno Ingalill zadzierała nosa, Reina wychwytywała jej strach.

- Może będzie nam tu razem miło - rzuciła cicho. Niełatwo było nadać tym słowom prawdziwą treść, ale Ingalill odpowiedziała bladym uśmiechem. Potem wzruszyła ramionami.

- No tak, mama uznała, że może przyda wam się para rąk do pomocy. Na lato.

Reina dobrze знаła prawdę, lecz nie widziała powodu, by się teraz w tym grzebać. Mimo wszystko żal jej było Ingalill, przecież ona doświadczyła tego, czego wszystkie kobiety obawiają się najbardziej. Na szczęście nie wyglądało na to, by ciężko to przeżyła. Jej oczy wciąż były żywe, no i jadła z apetytem.

Reina naląła więcej wody do swego kubka i zaproponowała ją córce Heleny.

- Słyszałam, że masz pracować razem z nami w szpitaliku. Ingalill kiwnęła głową.

- Tak, i w domu wariatów, w przytułku dla ubogich też. A może i w polu, jak zabraknie dziewczyny do grabi. To umiem najlepiej. - Wychyliła się przez stół. - Wiem, że to niemądre, Reino, ale muszę się do tego przyznać. Ja nie umiem pielęgnować chorych, robi mi się od tego niedobrze, od tego smrodu i... i...

Reina beztrąsko kiwnęła głową.

- Rozumiem, ale i tak możesz nam wiele pomóc przy innych rzeczach. I bez tego wyznania miała wątpliwości, by matka zamierzała wyznaczyć Ingalill do opiekowania się kimkolwiek. Dość jest innych zajęć, pocieszyła Ingalill. Gotowanie płótna, pościeli, bandaży, czyszczenie ziół, noszenie wody teraz, kiedy parobcy zajęci byli przy sianokosach. No i te nie mające końca stosy kubków, garnków i innych narzędzi, które należało zanieść do łaźni i oczyścić, godzinami stojąc w żarze, od którego pot zalewał oczy.

Niekiedy Johanna przypominała sobie, że należy wymienić sienniki, a to zabierało cały dzień. Świeżą słomę, siano albo strzępki wełny należało wytrzepać i upchnąć w środku. Nie kończące się szycie, wieńczące całą tę robotę, często należało do obowiązków Reiny. Palce miała po tym zawsze pokłute i nienawidziła tej pracy bardziej niż czegokolwiek innego.

Tępe igły niekiedy się łamały, a palce krwawiły, gdy zbyt długo musiały przepychać igłę przez trzy warstwy grubego materiału.

Akurat tę robotę mogła przejąć córka Heleny. Tak, tak, są więc powody, by cieszyć się z jej obecności, gdy tylko człowiek lepiej się rozejrzy.

Uradowana widokami na wykręcenie się od szycia Reina uśmiechnęła się do Ingalill.

- Przekonasz się, dobrze nam będzie razem. Jesteśmy już przecież o wiele starsze, powinniśmy umieć zachować się jak dorosłe.

Ingalill przytaknęła z chytrym uśmieszkiem.

- Masz rację, Reino. Zawsze traktowałam cię jak głupiutkie dziecko, ale rozumiem teraz, że i ty dorosłaś. I przestałaś nareszcie nosić te idiotyczne warkocze.

Reina zarumieniła się. Lubiła splatać włosy w dwa warkocze. Ale nawet matka wspomniała, że nie do twarzy jej w tej dziecinniej fryzurze. Teraz zwykle plotła tylko jeden, który potem zwijała i szpilkami mocowała na karku.

Podobnie jak zwykle robiła to Johanna. Reina wiedziała, że wygrywa na tym dwa albo i trzy lata. Ingalill z własnej woli zaniósła swój talerz do balii przy drzwiach i tam go oplukała. Grzecznie wsunęła też łyżkę na miejsce. Potem przeczesła włosy wilgotnymi dłońmi i wytarła je w fartuch.

- Pomyślałam sobie, że przejdę się do Dosen i dam im znać, że nie mogę przyjąć tej pracy, którą mi zaproponowali - oświadczyła pogodnie. - Właściwie muszę to zrobić, przecież mimo wszystko była to bardzo dobra propozycja.

Reina zmarszczyła czoło. Dobrze pamiętała słowa matki o tym, że Ingalill należy trzymać w krótkich cuglach, żeby znów nie zrobiła nic głupiego.

- Wydaje mi się, że powinnaś zaczekać, aż mama wróci. Może ona ma jakieś inne zajęcia, znacznie pilniejsze.

Ingalill wysunęła w przód dolną wargę, zaraz jednak opuściła ręce.

- A więc dobrze, niech tak będzie. Ale dlaczego mamy tu siedzieć z założonymi rękami? Kto wie, kiedy ona wróci do domu?

- Na pewno już niedługo - oświadczyła Reina. - Może mogłybyśmy zamieść tu podłogę i przynieść bukiet lawendy, żeby odświeżyć powietrze w sali dla chorych? Ty się rym zajmij, tylko nie wstawiaj kwiatów do wody, bo trzeba je zasuszyć.

Ingalill zniknęła na dworze.

Reina z westchnieniem chwyciła za szczotkę do zamiatania.

Dręczący ją niepokój nie miał nic wspólnego z potłuczoną miską. Czy możliwe, że to ten sen, o którym wciąż nie mogła zapomnieć? Ale przecież nie był wcale taki straszny, nic

jej w nim nie groziło, nie ukazywały się żadne potworne mary.

Przełknęła ślinę, decydując, że będzie teraz myślała o czym innym.

Wkrótce nadejdzie dzień letniego przesilenia, a na ten wieczór tak samo jak na świąteczne zabawy i liczne jesienne wesela cieszyli się wszyscy młodzi.

Diany i Emmi w tym roku nie będzie, lecz biedną Aurorę ktoś przecież musi zaprowadzić do ludzi. Na pewno tęskniła za matką. Tak strasznie ostatnio oklapła. Reina poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, nie powinna mieć aż tylu zajęć, by choćby raz dziennie nie zajrzeć do tego nieszczęśliwego małego ptaszka. Mimo że Aurora nie przywykła do pracy w domu i obejściu, to przecież musiało istnieć coś, co zdołałoby ją zwabić na Vildegard i sprawić, że poczułaby się choć trochę pożyteczna?

Przypomniat jej się ogród, kwitnący i rozsyłający wokół ciężkie aromaty. Aurora troszczyła się o niego przez całą wiosnę. Teraz zewsząd wyglądały chwasty, czyżby całkiem przestała się już nim interesować?

Serce Reiny zmroził lód.

Ach, nie, coś tu było nie tak!

Ze też nie pomyślała o tym wcześniej! Skoro Aurora straciła zainteresowanie dla swoich kwiatów, to znaczy, że coś musi być bardzo, bardzo źle.

Zanim jeszcze pomyślała o tym do końca, już maszerowała. Zamek Marji świeżo pomalowany cały aż lśnił, ale pozbawione blasku okna przydawały domowi ponurości. W ciągu kilku zaledwie tygodni dom znów się odmienił, sprawiał wrażenie nie zamieszkanego!

Pobiegła od tyłu, przeszła przez nieduże drzwiczki prowadzące do krętych metalowych schodów, stąd było wejście na oba piętra i na strych. Pokój Aurory znajdował się na pierwszym piętrze, ale był wysoki i pięknie oświetlony przez dwa nieduże okienka w wykuszu. Aurora miała do dyspozycji dwa pokoje, a w korytarzu mieściły się jeszcze niewielkie łazienki, którymi Mar ja tak imponowała gościom, przybywającym z bliska i z daleka. Nie były równie wspaniałe i wielkie jak jej niebieski pokój kąpielowy z olbrzymimi miedzianymi naczyniami na cokołach i pompami, dzięki którym po kilku pociągnięciach dźwigni woda płynęła prosto do umywalki z grubej kamionki.

Reina zawołała Aurorę po imieniu, mocno waląc jednocześnie pięścią w drzwi. Nic nie słychać.

Uf, prawda, przecież ledwie co świtało.

Akurat w momencie, gdy postanowiła, że nie będzie jej budzić, drzwi się uchyliły i wyjrzała przez nie zasmucona twarzyczka.

- Co się stało? Pali się?

- Nie, nie, ja tylko... Reina doznała prawdziwego wstrząsu. Twarz Aurory była nie tylko płaska i pozbawiona wyrazu, zapuchnięte oczy świadczyły o przeplakanych całych godzinach, a policzki jakby się zapadły.

- Auroro, jesteś chora? Wyglądasz naprawdę strasznie. Wargi Aurory rozciągnęły się w próbie uśmiechu.

- Nie, nie jestem chora - odpowiedziała zachrypniętym głosem. Reina zrobiła krok do przodu, ujęła dziewczynę za rękę. Aurora puściła drzwi i pozwoliła Reinie je otworzyć. W pokoju panowała zatechła duchota, a od ciała Aurory bił kwaśny odór starego potu.

- Co się stało? - spytała Reina wstrząśnięta i nie czekając na odpowiedź, zaczęła nalewać wody do miednicy stojącej za drzwiami. Rury doprowadzające wodę do łazienki na pewno nie zostały zreperowane.

Woda też była ciepława, nieprzyjemnie pachniała. Na pewno stała tak, odkąd w sobotę przyniósł ją parobek. A dzisiaj był czwartek. Aurora popatrzyła na Reinę z obojętnością w oczach.

- Wydaje mi się, że umieram - mruknęła, próbując się uśmiechnąć. Reina pokręciła głową.

- Zaraz się tobą zajmę i od razu wszystko będzie lepiej. Biedaczko, zapomnieliśmy, że po raz pierwszy zostałeś sama bez matki, odkąd...

Ugryzła się w język. Aurora nie wiedziała, że ona wie o tych strasznych przeżyciach z ojcem, który odesłał ją od siebie, gdy matka po wielu latach zdecydowała się wreszcie, że córka ma prawo go poznać i zamieszkać razem z nim.

To wydarzyło się dawno temu, Aurora była wtedy jeszcze dzieckiem. Od tamtego czasu dorosła, to niemożliwe, by wyjazd Astrid wywarł na niej takie wielkie wrażenie.

Aurora bezsilnie potwierdziła domysły Reiny.

- Rzeczywiście coś się stało - szepnęła cicho. Reina czekała. Aurora przymknęła oczy i zadrżała, gdy przyjaciółka połała jej czoło chłodną wodą.

- Chodź, znajdziemy dla ciebie jakąś nową sukienkę. Tę trzeba będzie raczej wyrzucić albo podrzeć na szmaty. Wygląda, jakbyś w niej spała od kilku tygodni.

Umilkła gwałtownie, bo smutny śmiech Aurory powiedział, że może mieć rację.

Kiedy już doprowadziła ją jako tako do porządku i wmusiła w nią kilka suchych ciastek i szklanek wody, Reina zasiadła w głębokim szezlongu i zdecydowanie zażądała opowiedzenia sobie całej historii.

Aurora się wahała.

Wreszcie jednak widać miarka się przebrała i Reina usłyszała o rozmowie matki z

Benjaminem i o tym strasznym wyborze, jakiego dokonał jej brat.

- To okrutne - szepnęła Reina. - Naprawdę straszne! Jak ona mogła? Jak mama mogła? Pomówię z nią. Nie powinna zmuszać go, by tak wybierał! Przecież ona zawsze mówi, że powinniśmy ufać Bogu! Aurora odwróciła oczy.

- On chyba postąpił słusznie - mruknęła. - Nie miał wyboru. Potrafię mu to wybaczyć, Reino, lecz nigdy tego nie zrozumie. I jedyne, co powstrzymuje mnie przed rzuceniem się przez okno wprost na kamienie, to jego obietnica, że tu wróci...

Reina nie wiedziała, co robić.

Szukała na twarzy Aurory śladów, świadczących o czymś więcej niż o rozpacz. Czyżby dziewczyna nie wiedziała, co mówi? W jednej chwili twierdzi, że Benjamin ją zdradził, ponieważ dowiedział się, że choroba, którą oni wszyscy w sobie noszą, nie pozwala mu się żenić, a zaraz potem mówi, że obiecał wrócić.

Reina ujęła ją za rękę.

- Przydałoby ci się wyjść trochę na powietrze. Dzień jest dzisiaj taki piękny! A twój ogród wygląda strasznie, wszędzie tylko same chwasty.

Chyba zaduszą te małe czerwone kwiatki, które siałaś. Jak one się nazywają...?

Przemawiała tak, ciągnąc Aurorę łagodnie za sobą w dół po schodach. Dziewczyna aż jęknęła, kiedy słoneczne światło dotknęło jej poszarzałej skóry. Reina pokiwała głową.

- Tak, pooddychaj głęboko. Poproszę Ingalill, żeby u ciebie posprzątała. Naprawdę straszna tam duchota, Auroro! O, tak, teraz już wszystko będzie lepiej. Spójrz, wiśnie zaczynają czerwienieć. Pamiętasz, ile nazbierałyśmy w zeszłym roku? Pełne kosze, i tylko z tego jednego drzewa!

Serce nerwowo waliło jej w piersi.

Byle tylko matka już wróciła do domu. Muszą lepiej przypilnować Aurory, a poza tym poważnie rozmówić się przy pierwszej okazji z Benjaminem. Ta jego historia wygląda na szytą grubymi nićmi, łagodnie mówiąc. Trudno uwierzyć, że dotyczy jej rodzonego brata, lecz brzmiało to doprawdy tak, jak gdyby bawił się przez chwilę, a potem wykorzystał swoją chorobę jako wymówkę od odpowiedzialności. Czy oni...?

Nie, o to nie mogła pytać. Lecz Aurora wyglądała na młodą kobietę, która została oszukana.

Reina zacisnęła zęby. Nigdy nie przypuszczała, by jej drogi brat był w stanie tak postąpić. Przypomniła sobie jednak te spojrzenia, jakie Benjamin wymieniał z Aurorą, jak obejmował ją w tańcu podczas świątecznej zabawy i późniejsze tygodnie, dopóki był w domu. Czyż nie widziała, jak pogwizdując skakał ścieżką w stronę rzeki, kierując się ku Zamkowi

Marji?

Matka na pewno się rozgniewa.

Będzie musiała ostrożnie jej to przedstawić. Ale nie przemilczy własnego zdania o takim zachowaniu młodego mężczyzny.

W dodatku w stosunku do Aurory!

Aurora to zraniony mały ptaszek, który jednak w ostatnich latach wyrósł na zrównoważoną mądrą młodą kobietę. Owszem, Aurora była nieśmiała i płochliwa i pewnie na zawsze już taka pozostanie. Reina wątpiła, by Benjamin do końca zrozumiał, jaką krzywdę jej wyrządził swoją beztroską zabawą.

Mocno chwyciła Aurorę za ramiona. Przez cienki materiał sukni kości łatwo dawały się wyczuć. Reinie serce mało nie pękło z bólu.

- Nie wolno ci myśleć, że to z tobą coś jest nie tak. Przekonasz się, Benjamin jeszcze dostanie za swoje!

Aurora utkwiała w niej pełne rozpaczycy spojrzenie, oczy błyszczały jej od łez.

- Ach, nie, nie, nic nie mów! Cóż on może poradzić, został do tego zmuszony...

Reina odsunęła się kawałek.

- Auroro, posłuchaj mnie. Jestem jego siostrą, znam go. Ta choroba towarzyszy naszej rodzinie od wielu pokoleń. Nie możemy przecież z tego powodu zrezygnować z potomstwa! A kobiety są silne, Auroro. Gdyby Benjamin miał z tobą córkę, to jestem pewna, że byłoby to najwspanialsze dziecko na świecie. A jeśli będą synowie... No cóż, czy jego życie jest takie złe?

Aurorze drżały wargi.

A potem wybuchnęła płaczem, głośnym przeraźliwym płaczem na środku podwórza. W tej samej chwili rozległ się z sali dla chorych głos Johanny. Warknęła coś do Ingalill.

Reina pociągnęła Aurorę za sobą i usiadła na ławie przy stole.

Johanna patrzyła na rozszołchaną młodą dziewczynę z prawdziwym przerażeniem.

- Na miłość boską, co się stało? A Reina opowiedziała wszystko drżącym głosem, nie kryjąc gniewu, jaki czuła wobec brata. Johanna wstała z cichym westchnieniem.

- Reino, czekałam za długo. Ja... tak się tego bałam. Ale jest coś, o czym ty nie wiesz. O czym musisz się dowiedzieć.

Wyszła z pokoju i wróciła ze zrolowanym listem. Tym samym, który wcześniej musiał przeczytać Benjamin.

Raz po raz zadawała sobie pytanie: Co ja zrobię? Co bym zrobiła na miejscu Benjamina?

Zrozumiała teraz, że Aurora może mieć rację. On naprawdę mógł ją kochać, głęboko i szczerze. Informacje zawarte w liście Remmermanna, jednoznaczne rady, które dawał, usprawiedliwiałyby taki wybór, jakiego dokonał Benjamin.

Nawet bez tych kryjących się między wierszami gróźb o tym, że prawo będzie starało się zapobiec, by także choroba nie rozprzestrzeniała się poprzez małżeństwo.

Rzadko rozmawiali o swych dolegliwościach, ale w głębi ducha Reina zawsze wiedziała, jakie czeka ją ryzyko. Teraz, gdy mały Vetle zmarł, stało się ono po stokroć bardziej rzeczywiste.

Ona także była skazana na to, że urodzi synów, którzy mogą wcześniej umrzeć.

Ale teraz obraz rozwinął się jeszcze bardziej. Ukazał się jej w całej swej potworności.

„Nie wszystkie kobiety są nosicielkami tej choroby, świadczą o tym nasze badania, ale nic nie wiemy na pewno. Może to złe dziedzictwo pozostaje tylko w uspieniu, może pobudzi się do życia za dwa lub za kilka pokoleń. Jako profesor i przyjaciel muszę udzielić Ci jasnej i wyraźnej rady: wytłumacz swoim dzieciom powagę sytuacji i próbuj przekonać je, że to one muszą udźwignąć tę odpowiedzialność”.

Słowa Remmermanna nie pozostawiały wątpliwości. Reina nie miała siły, żeby dłużej się nad nimi zastanawiać, ale już utkwily na dobre w jej głowie, i to w takim miejscu, w którym nie mogła nimi kierować swą własną wolą.

Wcale nie jej własna sytuacja martwiła ją najbardziej, chociaż Aurora wreszcie się uspokoiła, dziękując za to, że nie gniewają się już więcej na Benjamina.

Johanna była bardzo blada. Nie pozwoliła Ingalill uczestniczyć w tej rozmowie, wysłała ją, by pomogła najstarszej służącej nazbierać świeżej trawy dla świń.

- Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć - oznajmiła teraz Johanna. - Lepiej chyba rozprawić się ze wszystkimi problemami naraz. Może dzięki temu każdy z nich będzie się wydawał mniej straszny.

Ruszyła przodem przed córką do swego prywatnego pokoju. Gestem skierowała spojrzenie Reiny na wyściełany fotel w kącie. Spało na nim maleńkie niemowlę.

Reina wpatrzyła się w matkę, czekała na wyjaśnienie.

- Spróbujemy zająć się tym maleństwem przez kilka dni. Jego matka nie jest zdrowa. Dzisiaj ty się nim zajmiesz, a ja poproszę chłopca sąsiadów, żeby pobiegł po Hildę z Rime. Ona miesiąc temu urodziła dziecko i miała dużo mleka, a poza tym potrafi w razie kłopotów trzymać język za zębami. Sowiec jej wynagrodzę, jeśli znajdzie czas i okazję przysłać nam raz dziennie trochę pożywienia dla małego.

Reina zrozumiała.

Pod tym dachem już wcześniej się zdarzało, że mleko obcych kobiet ratowało noworodki. Z reguły jednak dawała je kobieta z rodziny albo przynajmniej sąsiadka, którą można było powiadomić.

- Kto...?

Johanna pokręciła głową.

- Nie pytaj, Reino, tak będzie lepiej. Reina zadrżała. Wiedziała, co to może oznaczać. W ręce matki jako akuszerki niekiedy trafiały naprawdę niebezpieczne sprawy. Dla tego malca planowano raczej nie kołyskę, a potajemny grób, jeszcze zanim jego życie na dobre się zaczęło. A wiedza, kim jest jego matka, mogła być wiedzą, która przyniesie następstwa każdemu, kto ją posiada. Johanna postanowiła wziąć na siebie całe ryzyko, Reina zdawała sobie sprawę, że matka może zapłacić za nie znacznie drożej niż tylko utratą swego dyplomu akuszerki, ale to mogło się stać jedynie wtedy, gdyby o całej tej sprawie dowiedziały się władze.

A przecież nie było żadnego powodu, by miało się tak stać. Dziecko udęczone zaczęło cicho popłakiwać.

- On musi dostać jakieś pożywienie, daj mu wody. Dołóż trochę miodu, ale zaledwie odrobinę, tak na czubku noża. I spróbuj nakłonić go do ssania szmatki, musi się tego nauczyć.

Reina skinęła głową. Podniosła dziecko, chłopczyk wydawał się bardzo kruchy, jakby nic nie ważył. Johanna odwróciła się w drzwiach.

- Postaraj się nie mówić o niczym Ingalill, jeśli zdołasz tylko tego uniknąć. Służącej też lepiej o dziecku nie wspominaj, ani nikomu innemu. Trzymaj je w swojej alkowie, chodzi zaledwie o kilka dni.

Reina z namysłem pokiwała głową.

- Zapowiedz więc im wszystkim, że się przeziębiłam, to będę wtedy mogła zagłuszyć go kaszlem, gdyby płakał w nocy.

Johanna uśmiechnęła się leciutko.

- Bardzo mądrze - pochwaliła córkę. - Ufam ci. Reina szepnęła za nią półgłosem:

- Mamo, czy on ma jakieś imię? Johanna zawahała się i zaraz odszepnęła:

- Johannes. Reina uśmiechnęła się do małej zagniewanej twarzyczki. Jeśli zaraz nie przygotuje szmatki do ssania, chłopczyk na pewno znów zanieśie się krzykiem.

- Mały Johannes - powiedziała wzruszona. - Maleńki biedaku, już my się tobą dobrze zajmujemy!

Ingalill odesłano do pokoju, żeby się przebrała. Niedzielna sukienka nie pasowała do szorowania ługiem i pielenia. Potem wysłano ją do ogrodu, do Aurory, która już przystąpiła

do wielkiego zadania: oczyszczania rabat z chwastów i przerywania roślinek, rosnących bez żadnej kontroli od czasu wyjazdu Benjamina.

Ingalill lubiła Aurorę. Ta dziewczyna niewiele się odzywała, ale miała takie dobre oczy. Cierpliwie też wysłuchiwała skarg i narzekań córki Heleny.

Wkrótce opowiedziała jej całą gorzką historię. Ingalill z początku powstrzymywała się przed najbardziej wstrząsającymi wyznaniem, bo młoda dziewczyna wyglądała na niezwykle wrażliwą i niewinną. Nie mrugnęła jednak nawet okiem, słysząc z ust Ingalill brutalny opis gwałtu.

Kiwała tylko głową ze współczuciem w oczach.

Nie przerywała przy tym pielenia.

Słońce prażyło je w plecy i gdy tylko rozległ się dzwon wzywający na posiłek, Ingalill otrzepała kolana z westchnieniem ulgi.

- Dzięki Bogu! Pójdziemy potem wykapać się w głębinie, prawda? Możemy chyba sobie na to pozwolić po takiej ciężkiej i okropnej pracy?

Aurora nie odpowiedziała. Uniosła tylko lekko górną wargę. Na inny uśmiech nie potrafiła się zdobyć.

I znów ruszono do tańca. Tym razem przy wtórze gry muzykanta w łagodnym powietrzu letniej nocy. Koło Dosen zgromadzili się zarówno mieszkańcy wsi, jak i obcy. Przy brzegu kotwiczyły łodzie, a wielkie ognisko ściągało do Lyster ludzi z licznych miejscowości. Wieść o zabawie rozniosła się szeroko, przekazywano sobie również, że nowy handlarz poważnie potraktował konkurencję i zapraszał teraz na posmakowanie swoich towarów, a także wódki, na której sprzedaż wreszcie otrzymał koncesję.

Podawał nie więcej, niż wystarczyło, by zwilżyć język, lecz to i tak rozbudzało ochotę i nakłaniało szylingi do wędrówki z ręki do ręki.

Przenikliwy dźwięk skrzypiec niósł się daleko. Wiatr od morza porywał iskry wysoko w górę i rysował jaśniejącą kolumnę ognia ponad głowami tańczących.

Na trawie ustawiono krzesła i ławy, w dole zaś rzeka pluskała wesoło, zapraszając spoconych tancerzy, by ugasili pragnienie zaczerpniętą z niej wodą.

Reina żałowała, że mimo wszystko zmusiła Aurorę, by się z nimi wybrała. Widziała, jak bardzo dziewczyna się wstydzi, gdy nader rozweselony Nils Flenwig nie odstępował jej, bezustannie prawiąc komplementy i nakłaniając do tańca.

- Zostaw ją w spokoju! - burknęła wreszcie gniewnie Reina. - Ona nie jest dla ciebie!

Mężczyzna, chwając się na nogach, wypił łyk z dzbanka, który trzymał w ręku, potem zmrużył oczy.

- Co ty mówisz, dzika kotko? Nie dla mnie? Może za elegancka w tej swojej jedwabnej sukni? I pewnie ty też, szalona kocico!

Był pijany.

Inaczej nigdy by się nie poważył na takie słowa. Reina zazgrzytała zębami i splunęła mu pod nogi.

- Odejdź stąd, pijana świni, chcemy spokoju, słyszysz? Znów się zachwiał, potem z wielkim wysiłkiem odstawił dzban.

Zanim Reina zorientowała się, co się dzieje, już przyskoczył do Aurory i mocno ścisnął ją rękami w pasie. Potrząsał jej delikatnym ciałem, a ona była w stanie wydać z siebie jedynie kruchy krzyk.

Piosenka skrzypiec stawała się coraz dziksza. Reina zaczęła wzywać pomocy, ale miejsce nad rzeką, gdzie przysiadły, od równiny, na której tańczono i gdzie zgromadziła się większość ludzi, dzielił spory kawałek.

Rzuciła się na mężczyznę z zaciśniętymi pięściami, lecz on nie zwracał na nią uwagi. Aurora w jego objęciach była niczym lalka z gałganków, a teraz zaczął obracać nią w koło, jakby parodiując taniec. Stopy dziewczyny nie dotykały ziemi. Reina wybuchnęła.

Skoczyła w przód, uczepliła się jego pleców i z całej siły przejechała paznokciami po policzku mężczyzny. Flenwig wrzasnął, puścił Aurorę i gwałtownie się obrócił. Ale Reina zadrapała go jeszcze raz, pod palcami czuła spływającą z ran krew.

Aurora zaniósła się przeraźliwym, przeciągłym krzykiem. Reina kątem oka dostrzegła że już nadbiegają ludzie. Dopiero teraz odstąpiła od przeciwnika, ledwie udało jej się przy tym uniknąć ciosu, który mężczyzna wymierzył na oślep.

W nadciągającej gromadzie dostrzegła jedną twarz i na jej widok odniosła wrażenie, że w pierś wbija jej się miecz.

Odwróciła się czym prędzej, na czworakach przeszła po trawie do Aurory, która jeszcze leżała, szlochając. Jej piękna suknia rozdarła się z boku na szwie. Spódnicę miała pobrudzoną na zielono od trawy, a warga lekko jej krwawiła.

- To zwierzę, pijany czort! Nie chciał słuchać, że nie chcemy tańczyć.

Otoczający je mężczyźni powarkiwali na tego, który wił się teraz na trawie z przekleństwem na ustach, ocierając z twarzy krew i szukając swego dzbanka z wódką.

Reina pomogła Aurorze wstać i zaraz z gromady wystąpił ktoś, kto zaoferował się, że odwiezie ją do domu. Był to syn dzwonnika, lecz Reina i tak odmówiła.

- Ja ją odprowadzę. Myślę, że możemy iść piechotą. Auroro, dasz radę? Dziewczyna w milczeniu kiwnęła głową. Reina ujęła ją pod ramię i zaczęły iść. Zaraz podeszły do nich

inne kobiety. Słyszając, co się stało, prychały gniewnie, ale Aurora na szczęście już się uspokoiła.

- Nie pozwólcie, żebym popsowała wam zabawę, tańce ledwie się rozpoczęły. Chętnie bym przysiadła i wypłukała usta piwem, zaraz dojdę do siebie.

Nie protestowały, zwłaszcza Ingalill była zadowolona z takiego rozwiązania, przypuszczała bowiem, że bez Reiny i Aurory również i dla niej ten wieczór by się zakończył. Johanna niemalże nie puszczała jej samej nawet do wygodki.

Czego one tak się bały?

Lekkim krokiem pobiegła przynieść coś do picia dla Aurory i potem też troskliwie się nią zajmowała. Niebawem jednak zjawił się jeden z synów z Leikvold i zaprosił ją do tańca, Reina skinęła jej głową.

Ingalill uczyła się prędko, bardzo prędko. Teraz, gdy obracała się w tańcu, w jej krokach nie było ani śladu niezdarności, a mężczyźni już sobie zapamiętali, że ta dziewczyna odmawia rzadko, wręcz nigdy. Umieeli to docenić i młodzi, i starzy.

Reina okryła plecy Aurory kocem.

- Odpocznij teraz, już niedługo zaczną się zabawy. Pamiętasz, jakie wesołe są zapasy na drağu? A w tym roku będą też zawody z pistoletami. Sam lensman będzie nadzorował strzelanie! Dosen dało na nagrodę cały dzban mocnego piwa!

Aurora uśmiechała się teraz swobodniej.

- Ciekawe, kto wygra zapasy, a kto będzie musiał się wykąpać - roześmiała się.

Reina zadowolona pogładziła ją po plecach. Aurora w ostatnich dniach doszła do siebie, Johanna bardzo chwaliła za to Reinę. Córka z taką samą spokojną troską zajmowała się zarówno młodziutką kobietą, jak i dzieckiem.

I Aurora, i Johannes powoli odzyskiwali siły. Bracia Jenny po tygodniu zabrali dzieciaka, twierdzili, że siostra czuje się już dobrze i może wrócić na służbę. Dziecko umieściła u przyjaciółki, która sama niedawno urodziła.

Johannę trochę to dziwiło, lecz szczerze spojrzenia chłopaków nie zdradzały żadnych pokretnych planów. Doszła do wniosku, że na pewno nie potrafią nawet kłamać, wszystko więc skończyło się dobrze. Prawdopodobnie dziewczyna spotkała się ze znacznie większym zrozumieniem wśród najbliższych, aniżeli się tego spodziewała, pomimo całego tego wstydu, że urodziła dziecko, nie będąc mężatką.

Mały Johannes jakoś da sobie radę, jeśli tylko Bóg tak zechce. Nauczył się już ładnie ssać, zarówno ze szmatki zmoczonej w wodzie, a czasami też wprost z piersi obcej mu kobiety.

Reina wbiła pięty w porośniętą trawą zbocze i odchyliła się w tył. Mężczyźni ciągnęli teraz do wody długi i gruby pień drzewa. Jeden koniec został na nabrzeżu, drugi zaczepiono na łańcuchu i podniesiono; zawisł jakieś dwa łokcie ponad powierzchnią wody.

Zabawa mogła się rozpocząć.

Mężczyźni już ustawili się w kolejce. Dla młodych chłopców była to okazja, by stoczyć prestiżową walkę, a także schłodzić się w sposób, który nie odbierał im honoru. Przecież dorośli mężczyźni nie mogą się kąpać ot, tak sobie, dla zabawy! Skoro jednak przeciwnik zwali człowieka z pnia, to trzeba wskoczyć do wody....

Reina przyglądała się zmaganiom dwóch pierwszych par, pokrzykując i klaszcząc w ręce. Ale potem zabawa nie była już tak ciekawa. Większość albo okazała się zbyt pijana, albo też bała się wody. Na brzegu stali już inni, z długimi bosakami używanymi przy spławianiu drewna i długimi kijami, mało który bowiem z uczestników zawodów umiał pływać. Trzeba więc było ich wyłowić, chociaż woda pod pniem nie była głęboka na tyle, by stojąc na dnie nie mogli wystawić nosa ponad powierzchnię.

Im więcej wody wchłonęła kora, tym bardziej śliski stawał się pień.

Reina zobaczyła, że podchodzi tam teraz Arill Storlendet.

Pokonał siedmiu mężczyzn, lecz to Reinie nie zaimponowało. Ogarnęło ją raczej nieprzyjemne wrażenie, bo między kolejnymi zmaganiem czuła na sobie jego spojrzenie. Wokół niej inne dziewczyny krzyczały podniecone. Dziedzic Storlendet naprawdę stał się już mężczyzną. Szkoda tylko, że ma tak szpetną twarz. Ale srebro spoczywające na dnie kufra i sprężyste zwinne ciało mogło chyba mimo to sprawić, by najmądrzejsze z nich słały ku niemu ciepłe myśli.

Na brzegu się przerzedziło, coraz mniej było zainteresowanych zapasami. Wreszcie lensman na próżno wzywał nowych śmiałków, chociaż Arill parskał teraz ciężko i był już wyraźnie zmęczony.

W końcu naprzód wystąpił jakiś potężny mężczyzna.

Poznali w nim drwala, który ostatniej zimy karczował rozległe tereny na zboczu w okolicach Flahamar.

Walka była krótka i dramatyczna. Mężczyzna złapał Arilla za ramię i mocno wykręcił je w lewo. Arill zachwiał się, lecz jego stopy na nowo znalazły podparcie na kołyszącym się pniu. A potem zrobił rzecz przeciwną do tej, jakiej spodziewał się rywal: podskoczył w górę i sprawił, że pień usunął się spod stóp drwala, lądując zaś doskonale obliczonym ruchem, mocno uchwycił się pnia rękami i nogami. Potężny mężczyzna wpadł do wody z olbrzymim pluskiem, a wśród widzów poniósł się okrzyk podziwu.

Dziewczęta ściągały chustki z włosów i rzucały je do wody, część z nich uplotła wcześniej z kwiatów wianki, które teraz szybowwały w powietrzu i unosiły się na wodzie pod stopami Arilla.

Wiedział, czego od niego oczekują.

Zwycięzca mógł liczyć nie tylko na dzban piwa, lecz także na pocałunek dziewczyny, której wianek albo chustkę podniesie.

Reina nie mogła odwrócić oczu. On na nią patrzył. Wiedziała, na co czeka w milczeniu.

Ale ona nie miała kwiatów, a jedwabnej przepaski, którą przytrzymywała włosy, nie zamierzała poświęcać. Czy on tego nie rozumie?

Nie mogła się już dłużej bawić.

Zbyt wiele ryzykowała. Zresztą sam spokój duszy matki był dla niej na tyle istotny, że odwróciła się i zacisnęła pięści.

Kiedy znów spojrzała na Arilla, wychodził już z wody, a w garści triumfująco ścisnął zieloną chustkę.

Ingalill rzuciła się ku niemu, jeszcze zanim znalazł się na brzegu, on zaś, zdumiony jej zapalem, całował ją długo, z zaangażowaniem.

Gdy inni uczestniczący w zapasach przyszli poklepać go po plecach i pogratulować, musieli niemalże odrywać Ingalill od jego ręki.

Zwyczajem było, że wybrana przez zwycięzcę dziewczyna biegnie do piwnicy po jego piwo, potem zaś powinni odtańczyć jeden taniec. Nic więcej nie była mu winna.

Reina jednak zobaczyła, że Arill kładzie się na trawie, Ingalill zaś, rozćwierkana, ułożyła się przy nim i użyła swej odświętnej halki do wytarcia mu włosów i zmoczonej twarzy.

Bardzo ją to zapiekło. Serce chciało wyrwać się z piersi. Aurora, która obserwowała wszystko w milczeniu, lecz uważnie, spokojnie szepnęła jej do ucha:

- Jesteś zazdrosna, Reino? Ty go kochasz. Teraz, kiedy sama znam to uczucie, już o tym wiem.

Reina odwróciła się do niej wolnym ruchem, popatrzyła w piwne oczy. Aurora spokojnie skinęła głową.

- Kocham twego brata i dlatego poznaję to, co masz teraz wypisane na twarzy.

- Nie! - syknęła Reina. - On nie chce być nawet moim przyjacielem! Zresztą nawet gdyby zechciał, matka obdarłaby nas oboje ze skóry. On jest przecież ze Storlendet, czyś ty całkiem już o tym zapomniała?

Aurora patrzyła na nią ze smutkiem, lecz nie odwracała oczu.

- Posłuchaj mnie, Reino. Jeśli jest tak, jak mówię, to nie pozwól, by cokolwiek ci przeszkodziło. To wstyd i hańba przed czymkolwiek cię powstrzymywać.

Reina wreszcie oderwała od niej oczy. Przeszedł ją dreszcz. Nie śmiała spojrzeć w stronę Arilla, ale opryskliwie zawołała do Ingalill, że muszą już wracać do domu.

W odpowiedzi usłyszała tylko jej cichy śmiech.

Dopiero wtedy podeszła do nich, by jasno i wyraźnie dać Ingalill do zrozumienia, że to ona tutaj decyduje. Przecież nazajutrz muszą wcześniej wstać, a poza tym Johanna czeka na nie w domu.

Ingalill ściągnęła wargi niezadowolona.

- Ale przecież jest tak wesoło! No i jeszcze nie tańczyliśmy, prawda, Arillu Storlendet?

Jego twarz była sztywną maską.

Ingalill po przyjacielsku pchnęła go w pierś.

- Chodź, przecież należy ci się taniec. A ty, Reino, przynajmniej tyle możesz poczekać.

Teraz jednak Reina rozzłościła się już na dobre. Złapała Ingalill za włosy i postawiła na nogi.

- Znów ściągasz na siebie wstyd! - wypluła. - Jesteś dziwką i gzisz się z mężczyzną, którego, jak wiesz, my z Vildegard brzydzimy się nawet dotknąć. Z synem mordercy!

Krąg ludzi wokół nich się rozstał.

Roziskrzona spojrzenia trafiły Arilla, a on cały się pod nimi skulił. Poderwał się jednak na nogi, chwycił Ingalill za drugą rękę i patrząc Reinie prosto w oczy, oświadczył władcym głosem:

- Twoja przyjaciółka jest już dorosła. Wydaje mi się, że nie masz nad nią żadnej władzy, panienko. A jeśli chodzi o potomstwo morderców, to jest nas tu więcej, których się o to podejrzewa!

Ludzie wstrzymali oddech.

Czy teraz, gdy wspomniał o wstydzie ciąży na jej zmarłym ojcu, ta nieobliczalna panna wywoła skandal? Czy ośmieli się podrapać twarz również chłopakowi ze Storlendet?

Ona jednak ich rozczarowała. Ze szlochem puściła Ingalill i uciekła. Aurora lekkim krokiem pobiegła za nią, a ludzie wybuchnęli śmiechem.

Ale w oczach Arilla nie było oznak wesołości. Tańczył przygnębiony i poruszał się tak gwałtownie, że Ingalill pojękiwała w jego objęciach.

- Nie tak mocno, dech mi zapiera! Przeprosił ją z warknięciem i całkiem puścił.

A potem rzucił się biegiem w stronę kościoła i zniknął w cieniu ciężkich dębów. Zapewne postanowił wrócić do domu.

Jakiś starszy mężczyzna wystąpił z gromady i ujął zmieszaną Ingalill pod ramię.

- Musisz mu wybaczyć, on nie jest zupełnie sobą. Pozwól, że zaproszę cię na kropelkę na pocieszenie. Nieładnie cię potraktował, piękna panienko.

Podziękowała oszołomiona i popatrzyła w górę w bladoniebieskie oczy. Wiedziała, że to stryj Arilla, brat jego ojca, wyznaczony na opiekuna chłopaka.

- Dziękuję - szepnęła żałośnie. - Naprawdę nie wiem, co mu się stało. Stryj śmiał się ze zrozumieniem.

- Cóż, ten chłopak znany jest z tego, że nie umie postępować z damami. Prawdziwy z niego odludek, taki milczący i dziwny. Ale to pracowity chłop, bardzo pracowity i silny jak wół.

Ingalill pokiwała głową. To prawda, Arill pokazał, co potrafi.

- Niech panienka pójdzie teraz ze mną i napije się razem ze starym dziadem. No i jeśli panienka pozwoli, to z przyjemnością dokończę ten taniec, którego on odmówił.

Ingalill uśmiechnęła się słodko i przyjęła propozycję.

Srebrne guziki przy kamizeli tego mężczyzny były grube i solidne, a zapach bijący z jego ust świadczył o tym, że nie da jej do picia marnego, pędzonego gdzieś cichaczem w domu bimbru.

- A więc sądząc z tego, co się u nas słyszy, panienka przeniosła się na Vildegard i pracuje u Johanny? No cóż, to będzie twarda szkoła, ale panienka może sama już zdobyła wykształcenie?

Ingalill ze śmiechem pokręciła głową tak, że czerwona grzywa włosów rozsypała jej się na ramionach. Wstążka rozwiązała się w tańcu.

- Och, a gdzieżby tam! I wcale też nie mam takich planów! Jestem przyzwoitą młodą kobietą, która z największą przyjemnością wyjdzie za mąż i zajmie się domem i rodziną!

Mężczyzna uśmiechnął się i ze zrozumieniem pokiwał głową.

- No, w każdym razie piękna jesteś dostatecznie. Aż za piękna, ośmielę się twierdzić, by mieć do czynienia z najprzeróżniejszymi ludzkimi słabościami i chorobami.

Jakże wytwornie on się wyraża, niemal jak jakiś oficer! Ingalill potarła ręką policzek i zamyślona oblizwała wargi. Mężczyzna śledził każdy jej ruch.

- No tak, tak się sprawy mają, że przeprowadziłam się do mojej... ciotki. Ale tylko tymczasowo. Przypuszczam, że najpóźniej jesienią ogłoszone zostaną moje zaręczyny. To

właściwie już postanowione...

- Ale dzisiejszego wieczoru szczęśliwego wybranka chyba tu nie było? Bo inaczej może panienka mieć kłopoty...

Ingalill roześmiała się, przekrzywiając głowę.

- Wie pan, panie Storlendet, wydaje mi się, że był. Ale on nie jest z tych, co to nie umieją odróżnić powagi od zabawy.

Mężczyzna wychylił się w przód, oczarowany tą dwuznaczną wypowiedzią. A potem ochryple szepnął do niej znad brzegu kieliszka z wódką:

- Za to ty, piękna panienko, jak sądzę, raczej to potrafisz? Córka Heleny odrzuciła włosy w tył, wypięła piersi w jego stronę i roześmiała się dźwięcznie.

- Wypijmy jeszcze raz! Doprawdy, wspaniała jest ta wódka, na którą pan zaprasza, panie Storlendet.

- O, najlepsza. A co panienka powie na maleńki pocałunek w podzięcie? Ingalill również te słowa obróciła w żart i już niedługo wywijiała w tańcu z młodym panem o bardzo długich nogach i włosach równie czerwonych jak jej własne.

Gjert, brat Magnusa Storlendet, siedział wpatrzony w nią i nie był ani trochę przygotowany na historię, którą uraczył go ściskający w garści dzbanek mężczyzna, który przysiadł się do niego.

- Ta Reina jest szalona! A Ingalill to jej przyrodnia siostra. Jest coś w tej rodzinie, nie przypuszczałem, że o tym zapomnisz! Trzymaj się z dala od dzikich kotek, Gjert! Inaczej zapłacisz za to taką samą cenę jak twój brat!

Gjert nie odpowiedział.

Jakkolwiek by patrzeć, to, co spotkało Magnusa, obróciło się na szczęście i życiowy sukces jego brata. Gdyby ten stary wariat, jego starszy brat, tak nie poplątał sobie życia, to Gjert wciąż tkwiłby jako wdowiec w swej maleńkiej zagrodzie.

Tu było mu o niebo lepiej.

Srebro przy kamizelce, masło na stole, a w piwnicy nie kończące się szeregi dzbanów i butelek.

Gospodarstwo jakoś ciągnęło się samo, parobcy i dziewczki służące dobrze wiedzieli, że nie powinni się lenić pod jego nadzorem, a jeszcze ta dobra Ida tak troskliwie się nim zajmowała, w dodatku na wiele sposobów.

Doprawdy, mógł trafić gorzej.

Tak, tak, znacznie gorzej.

A Arillem zajął się tak serdecznie, że chłopakowi raczej nie przyjdzie do głowy

wyrzucić go stąd, gdy już osiągnie wiek, by samodzielnie dbać o swoje sprawy.

Przyszłość miał zapewnioną.

Brakowało mu jedynie kobiety, z którą mógłby się tym dzielić. Dziewczęta jednak go unikały, widać dobrze wiedziały, że wszystko, co posiadał i w co się stroił, mogło zniknąć jak śnieg w promieniach słońca tego dnia, kiedy pierworodny syn właściciela ukończy dwadzieścia jeden lat.

Ale do tego jeszcze daleko, całe cztery lata.

Do tego czasu wiele może się zmienić... No i przecież Magnus nie jest jeszcze martwy.

Machnął ręką na pijanego, który bełkotał coś dalej o kobietach z Vildegard. Twierdził, że wszystkie jak jeden mąż to wariatki. Czarownice, złośliwe i podłe, jednym słowem, umiejące sprawić, by pod człowiekiem rozstąpiła się ziemia.

- Po co więc się z nimi drażnisz? - zauważył Gjert bez zainteresowania. Wtedy mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyciągnął zza koszuli coś, co nosił na rzemyku na szyi.

- Ja jestem chroniony, widzisz? Mam to! To od wisielca, najpotężniejszy środek, jaki istnieje!

Gjert z obrzydzeniem zobaczył, że mężczyzna nosi jako ozdobę zasuszony i skurczony męski członek. Przerażony odepchnął pijaka. Z takich rzeczy nie wolno sobie żartować.

Dreszcze wciąż nie chciały ustąpić, nawet kiedy już późnym rankiem leżał u siebie w łóżku. Z pokoju Arilla dobiegały jakieś dziwne odgłosy. Czyżby ta rudowłosa wiedźma już go zaczarowała?

A może to Reina o sypiących iskry oczach rzuciła na niego urok?

Miał wrażenie, że Arill krzyczy, że wydaje z siebie głośne przeciągłe dźwięki. Ręce pokryły mu się gęsią skórką, musi dopilnować, żeby chłopak poszedł jutro do kościoła. Niech ksiądz odczyta błogosławieństwo nad jego głową. Gjert był człowiekiem oświeconym, lecz gdy w grę wchodziły czary, to nigdy dość ostrożności. Długo już przecież żył w strachu, że w tym, co mówią ludzie, kryje się ziarenko prawdy, i rodzina, z którą zadarł Magnus, jest jakiejś szczególnej krwi.

Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy nazajutrz, w dzień świętego Jana, Nilsa z Ljosnes znaleziono nieżywego pod krzakiem. Zapił się na śmierć, twierdzili ludzie, opuchnięte palce mocno zaciskał na pustym dzbanie po wódce.

Ale Gjert wiedział lepiej, co się tak naprawdę stało.

Widział przecież ogień w oczach Reiny.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co się z tobą dzieje, mamó? Czyżbyś już całkiem postradała zmysły? Przecież nie możesz jej bić!

Reina, usłyszawszy krzyki dobiegające z domu ognia, kopniakiem otworzyła drzwi. Zjawiała się akurat w porę, by zobaczyć, jak Johanna unosi w górę rękę z maglownicą. Ingalill przerażona kulila się za wielką kadzią z praniem.

Johanna obróciła się na pięcie i upuściła ciężki wałek. Na czoło wystąpił jej pot. Pod miedzianym kotłem w rogu płonął mocny ogień.

Johanna wyglądała jak dzika, oczy błyszczały jej od gniewu, ale na widok wstrząśniętej twarzy córki jakby zapadła się w siebie. Osunęła się na podłogę i wyjąkała kilka słów do Ingalill:

- Wybacz mi, posunęłam się za daleko. Po prostu ogarnął mnie straszny gniew. Powinnaś zrozumieć, dlaczego tak się stało, Ingalill. Mądrze zrobisz, nie zmuszając mnie więcej do wysłuchiwania podobnych rzeczy. Inaczej trafisz prosto do więzienia, ty mała...

- Mamó - ostro przerwała jej Reina. - Co się stało? Gniew Johanny zawadził także o Reinę. Zacisnęła dłonie w pięści i wypluła nieprzemyślane zdania:

- I ty o to pytasz? Przecież tam byłaś, mogłaś temu zapobiec! A w każdym razie mogłaś mi opowiedzieć, co zaszło, żebym nie musiała się ośmieszać swoją niewiedzą!

Reina domyśliła się, co tak zbulwersowało matkę. Być może spodziewała się podobnej reakcji z jej strony, choć raczej nie aż tak gwałtownej, nie tak nienawistnej. Czy tylko takie uczucia pozostały teraz w Johannie? Czy Ravi zabrał ze sobą wszystkie te dobre burze, a Vetlebror umarł wraz z całą czułością?

Reina podeszła do bladej Ingalill. Rude włosy zwisały w strąkach. Kilka pasm wiło się po ramionach. Czyżby Johanna powyrywała jej włosy z głowy?

Ale dziewczyna się nie skarżyła, bez trudu się podniosła i stanęła twarzą w twarz z Johanną.

- Umizgiwałaś się do syna mordercy! - syknęła Johanna. Twarz miała sztywną jak maska. - Wynoś się z mojego domu!

Znów wtrąciła się Reina:

- Nie, mamó! Posuwasz się za daleko. Ona... To była tylko zabawa!

Johanna gwałtownie się obróciła. Reinie pod ostrym spojrzeniem matki zaparło dech w piersiach.

- Milcz, Reino, tobie nic do tego! A jeśli uważasz, że jestem zbyt surowa, to pamiętaj, że jest tak właśnie przez to, co zrobiła nam jego rodzina!

- Mamo... Głos Reiny brzmiał cienko i słabo. W obliczu gniewu matki niewiele odwagi potrafiła z siebie wykrzesać. Musiała się zadowolić trzymaniem Ingalill za rękę, dziewczyna nie zasłużyła sobie na taki wybuch. Owszem, na burę, na parę tygodni w czterech ścianach domu, na ciężką pracę.

Ale nie na coś takiego. Nie na kary cielesne i na wyzywanie za swe pochodzenie.

Reina ciężko przełknęła ślinę.

- Czy możemy już teraz odejść? - spytała cicho, gdy Johannes wrócił normalny oddech.

- Idźcie! A ty pakuj swoje rzeczy, ładaczniczko! Ingalill wybuchnęła płaczem. Palcami uchwyciła się kraju fartucha Johanna i zaczęła prosić:

- Nie wypędzaj mnie stąd! Ja myślałam... Nie wiedziałam... że tak strasznie nienawidzicie Storlendet. Sądziłam, że masz w sobie miłosierdzie, Johanno. Nigdy nie przypuszczałam, że nie masz serca na to, by wysłuchać próśb!

Reina patrzyła teraz na matkę zwięzonymi oczyma.

Poczuła lekkie ukłucie na skórze głowy. Czaszkę miała jakby zlodowaciałą, ale krew w żyłach pulsowała gorąca, niemal wrząca. Matka nie może tego zrobić, nie odmówi takiej prośbie! Przecież Ingalill nie wolno wrócić do domu, gdzieżby więc się podziała?

- Ona ma tylko nas - oświadczyła Reina z mocą, przykuwając Johannę spojrzeniem.

Johanna długo milczała. Nie chciała popatrzeć w zapłakane oczy. Słyszała jednak szloch. Był szczerzy, pełen urazy. Westchnęła przeciągle, poruszyła ręką, przetarła oczy.

- W imię Boga! - załkała Ingalill. Johanna zasłoniła twarz.

- Dobrze - mruknęła wreszcie. - Ale niech Bóg ma nad tobą litość, jeśli znów pozwolisz sobie na takie zabawy, Ingalill. Trzymaj się z dala od takich igraszek, i to nie tylko z chłopakiem ze Storlendet. Przypomnij sobie, przed czym uciekasz, i pamiętaj, że takie zachowanie może sprawić, że tamten pożar się rozprzestrzenił Ingalill z powagą skinęła głową.

Ale Johanna jeszcze nie skończyła. W jej oczach pojawiły się teraz najgłębsze otchłanie, które wessały cały jej gniew, a głos zabrzmiał twardo i zimno:

- Jeśli rzeczywiście krew Storlendet tak cię pociąga, Ingalill, to będziesz miała okazję bliżej się z nią poznać. Jutro pójdziesz na służbę do domu wariatów. Przyjrzyj się uważnie temu cuchnącemu zwierzęciu, które trzymają na uwięzi pod schodami. Popatrz mu w oczy, jeśli starczy ci śmiałości, dopiero potem mi powiesz, czy rzeczywiście źle postępuję, starając

się utrzymać swoją rodzinę z dala od tego zła.

Johanna nie spuszczała oczu z Ingalill, być może spodziewała się ze strony dziewczyny jakichś protestów, ale córce Heleny opadły ramiona.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Zielone oczy wciąż były wilgotne, ciemne. Spuściła wzrok, gdy Johanna gniewnym krokiem wyminęła obie dziewczyny. Ingalill wyzwoliła rękę z uścisku Reiny.

- Dziękuję - powtórzyła. - Miło, że się za mną wstawiłaś. Wydaje mi się, że inaczej by mnie zabiła... A na służbę do domu wariatów przecież i tak by mnie wysłała. Przecież groziła mi tym już wcześniej, jeszcze przed tym, co się stało.

Reina nie mogła zapanować nad drżeniem. Gwałtowne uczucia jakby wciąż unosiły się tu w powietrzu, niczym zbyt mocne perfumy albo nieprzyjemny smród, ciągnący się za Johanna.

Ingalill przysiadła na stołeczku. Warzelnię spowiła para, unosząca się nie tylko ze stojącej na ogniu wody. Rozczesała włosy palcami, wyciągnęła całą ich kępkę, zwinęła ją i cisnęła w płomienie.

Reinie ciarki przeszły po plecach.

Starzy mówili, że tak nie powinno się robić. W dodatku od rudej kępki, która wolno topiła się raczej niż spalała, rozniósł się obrzydliwy zapach.

- Zastanawiam się nad jednym, Reino - odezwała się Ingalill poufałym tonem. - Gdybyś na moim miejscu była ty, czy ciebie także by wypędziła?

Reina postarała się, by wzruszenie ramion wypadło jak najbardziej obojętnie.

- Na pewno musiałabym przynajmniej przez jakiś czas pomagać w domu wariatów.

Owszem, właśnie to ją męczyło. Właśnie to. Ta groźna rozpacz matki budowała wokół niej lodowaty mur, a zarazem chroniła przed dziecinnymi pragnieniami.

Kiedyś lubiła Arilla. Był jej przyjacielem. Tak, to dziwak, stroniący od ludzi, jak wiedziała już teraz Reina. Oboje też nie mieli ojców, każde na swój sposób. To jeszcze jeden dobry powód, żeby trzymali się blisko.

On uratował jej życie, ona jemu. Czy ta więź także budziła w niej lęk?

Nie, zawsze najpierw pojawiała się twarz matki.

Johanna nigdy nic o tym nie mówiła, nigdy nie prosiła Reiny, by dziewczyna nie odzywała się do Idy, Arilla czy też Gjerta ze Storlandet. Lecz to stało się i tak, w sposób naturalny. Nawet kiedy Arill przystąpił do konfirmacji, nie otrzymał gratulacji z Vildegard.

Nie odczuła żadnego bólu, kiedy odeszła od niego tamtego wieczora podczas świątecznej zabawy, nie ujmując jego wyciągniętej ręki. Wszystko w niej jakby umarło, a on

był jedynie bezradnym obcym, mającym zaledwie połowę twarzy.

Ale teraz, podczas tańców...

Teraz oświadczył jej gniew. Gorzki, pełen żółci gniew. Dlatego, że Arill ośmielił się mieć nadzieję, że ona mu rzuci chustkę! Wiedziała, że o tym myślał. Wiedziała, że jego myśli spotkały się z jej myślami gdzieś w jakimś miejscu ponad wodą. Jak gdyby od ziemi, na której stała, do kołyszącego się obala prowadziła ognista ścieżka. Stała na niej Ingalill.

Reina mocno zacisnęła zęby. Po raz pierwszy ośmieliła się wspomnieć pocałunek, który Arill wycisnął na ustach Ingalill. I ten taniec, jego mocne ręce, ściskające piękne ciało dziewczyny.

W sercu ją zakłuło.

Reina jeszcze przez chwilę stała w domu ognia, pozwalając, by targał nią ból.

Potem poszła do matki. Znalazła ją schyloną nad książkami w małej alkwie.

- Matko - spytała uroczyście. - Czy gdybym ja była na jej miejscu, też byś mnie wypędziła?

Johanna, słysząc te słowa, drgnęła przestraszona, jak gdyby ktoś ją uderzył. Podniosła oczy na Reinę i uśmiechnęła się lekko.

- Chodź, usiądź tu przy mnie, moja kochana - powiedziała spokojnie. W jej niezwykłych oczach zapłonęło teraz światło. - Dlaczego o to pytasz?

Reina pokręciła głową.

- Nie wiem, wystraszyłaś mnie, mamó. Byłaś taka nieprzejednana. Johanna pokiwała głową.

- Tak. Tego, co zaszło między naszymi rodzinami, nigdy nie da się wybaczyć. Nie tylko moje życie się przez to odmieniło, Reino. Twoje również zostało zbrukane przez tych podłych ludzi. Wierzę, że twój ojciec byłby teraz z nami, gdyby nie...

- Jak możesz tak mówić! Przecież oni nie mieli z rym nic wspólnego! Johanna oparła głowę na rękach.

- A ja myślę, że tak. Od samego początku, od tego nieszczęsnego dnia, kiedy poślubiłam Erlenda Storlendet, zawisły nade mną cienie. On... on mnie zaraził! Mnie i wszystkich moich najbliższych...

Reina czekała na dalsze słowa, lecz Johanna milczała. Sama więc spytała:

- Jak długo trwać będzie ta nienawiść, mamó? Co się stanie, jeśli mnie zabraknie sił, by dalej ją w sobie nosić?

Johanna popatrzyła na córkę. Wzrok miała teraz daleki, wyraz oczu niemożliwy do odczytania.

- Poprzysięgliśmy sobie kiedyś, twój ojciec i ja, że nie będziemy sterować życiem naszych dzieci. Że nie będziemy ich zmuszać ani kierować na drogi, które sami uznamy za najlepsze. Od dawna Wiedziałam, że to był błąd. Młodzieńcza zuchwałość i pragnienie wolności... Popelniliśmy błąd - powtórzyła.

Reina nakryła dłonią rękę matki. Johanna podjęła:

- Wiesz, Reino, zawsze bardzo kochałam moją matkę, ale jednej rzeczy nie mogę jej wybaczyć. A mianowicie tego, że nie widziała, jak to wszystko się potoczyło, że tak prędko wyjechała, by spełnić własne marzenia. Że żadne z nich tak naprawdę nie widziało, do jakiego zła to prowadziło. Dla dorosłej kobiety, dla matki, jasne musiało być...

- Kiedy wyszłaś za mąż za Erlenda? Johanna przytaknęła. Zamknęła oczy.

- Tak, i później. Kiedy zjawił się Ravi, kiedy wszystko ułożyło się tak strasznie źle...

Reina siedziała w milczeniu i bezradna patrzyła tylko, jak ciałem matki wstrząsa suchy szloch. Czowała, jak całe rozgoryczenie i żal Johanny przenika do jej własnego serca. Do całego jej wnętrza.

- Mamo - powiedziała niepewnie. - Siedzisz tu i mówisz, że wołałabyś, by to się nigdy nie stało? Chciałabyś to wszystko odwrócić?

Johanna odkaszlnęła i przycisnęła rękę do twarzy. Reinie wydawało się, że wśród wszystkich tych szlochów słyszy zaprzeczenie, lecz pewności nie miała. Podniosła się, błada i chłodna.

- To nie może być prawdą, mammo. Wciąż jesteś przybita utratą Vetlebrora, nie jesteś w pełni zdrowa. Nie możesz przecież tak myśleć, to niemożliwe, byś chciała ofiarować wszystko, co masz, by cofnąć czas i żeby to się nigdy nie stało! Mamo, przecież ty mówisz, że wołałabyś, żeby nie było mnie, Vetlego i Benjamina!

Johanna drgnęła. Oczy wciąż miała suche, ale zaczerwienione i prawie skleione od gwałtownego ich przecierania.

- Ach, nie, Reino, to nie tak, nie tak!

- Ale przecież tak mówisz! Twierdzisz, że przysporzyliśmy ci tyle zmartwień, że wołałabyś, by nas nie było. I że wszystko, co przeżyłaś z tatusiem, i tak nie zrównoważy ci smutków!

Johanna z trudem łapała powietrze.

- Być może i na to wychodzi, Reino, ale nigdy nie powiedziałam tego, co ty na początku. Moje dzieci - czyż mało razy udowodniłam, że jesteście dla mnie ważniejsze od wszystkiego innego? Cóż na świecie mogłoby mnie bardziej zranić niż utrata któregoś z was?

Reina wpatrywała się w kobietę na krześle i w tym momencie nie potrafiła zobaczyć w

niej matki, a jedynie bezradne, załamane stworzenie, nie dostrzegające wokół siebie niczego poza swym własnym żalem.

- Jak mam ci pomóc, mamó? Przecież ty toniesz na moich oczach, a dobrze wiesz, że boję się rzeki...

Wśród szlochów Johanny dał się słyszeć rozgoryczony śmiech.

- Moja mała Reino, to nie ty masz ratować mnie! To ja powinnam ciebie przenosić przez rzeki, wiem wszak, z czym się zmagasz. Wybacz mi, Reino, wybacz za wszystko...

Reina sztywno kiwnęła głową w objęciach matki, lecz to było zbyt wiele do zniesienia. Słowa wypowiedziane przez Johannę padły być może w przypiływie rozpacz, wciąż jednak dźwięczały w jej sercu i wiedziała, że trudno będzie jej się z nimi pogodzić.

- Mamó, wiem. Ale... nie chce mi się wierzyć, że ty tak myślisz naprawdę. Nie mogę uwierzyć, że stałaś się taka twarda, tak rozgoryczona. Nie ty!

Johanna nie miała na to odpowiedzi. Po raz pierwszy ukazała córce oblicze, które od dawna skrywała przed wszystkimi dookoła. Oblicze, którego sama się bała, gdy odbijało się w oczach innych ludzi.

- Wybacz mi, Reino - szepnęła jeszcze raz. Reinie cała krew odpłynęła z głowy do stóp. Stała teraz jak przylepiona do podłogi, z odrętwiałymi rękami i sercem ledwie tylko uderzającym.

Gdzieś skrzypnęły drzwi, rozległy się czyjeś ciężkie kroki.

Johanna wyrwała się z głębi rozpacz i otarła twarz fartuchem. Zmusiła wargi do uśmiechu. Reina wciąż była jak oszołomiona.

- Zaprowadzisz ją tam, bo znasz drogę. Pierwszego dnia będzie potrzebowała twojej pomocy. I weźcie coś ze spiżarni, w tym gorącu jedzenie długo się nie utrzyma.

Reina sztywno skinęła głową.

- Mamy iść już dzisiaj? Johanna wzruszyła ramionami.

- A dlaczego nie? Ingalill podśpiewywała radośnie pomimo sporego ciężaru. Parobcy mieli teraz więcej niż dość roboty w polu, a dziewczyny służące chodziły z grabiami i troszczyły się też o jedzenie dla wszystkich najemnych robotników.

Droga prowadząca do niskiego domu w lesie była bardziej ścieżką, chociaż równa wiała się wzdłuż wilgotnych polan i przesiek, na których ludzie zajęci byli wypełnianiem brogów i szop sianem.

Pozdrowiały wszystkich, ale spuściły oczy, mijając granice pól należących do Storlendet. Obie dostrzegły samotną postać na zboczu koszącą trawę tak zamasyście, jak gdyby za każdym ruchem kosy zadawała śmierć.

Reina poczuła pulsowanie w uszach.

- To Arill - szepnęła Ingalill zupełnie niepotrzebnie. - Boże, on musi myśleć, że ja kompletnie oszalałam. Strasznie się wygłupiłam, prawda? Może powinnam... - Zasłoniła usta ręką. - Ach, nie, twojej matce nie chodziło na pewno jedynie o tańce i pocałunki, nie zniosłaby nawet tego, że się przed nim usprawiedliwiam, prawda?

W Reine nagle wstąpił diabeł.

- Owszem, gdyby się o tym dowiedziała. Ale nie jestem pewna, czy to słuszne z jej strony zmuszać cię do tak nieuprzejmego zachowania. Uważam, że jeśli czegoś żałujesz, to powinnaś mu o tym powiedzieć właśnie teraz. Ja tu zaczekam. Tylko się pospiesz.

Nie spuszczała oczu z Ingalill, która w pierwszej chwili z wahaniem, lecz zaraz z rosnącym zapalem pobiegła przez pole. Dlaczego to powiedziała?

Co też w nią wstąpiło?

Czyżby zupełnie straciła szacunek dla własnej matki?

Reina wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

Przed oczami stanęły jej wargi Johanny, wypowiadające tamte okrutne słowa. Nic nie mogło już być takie jak przedtem. Johanna toczyła walkę ponad siły. Każdego dnia działała w imię dobroci i miłości bliźniego, każdego dnia w szpitaliku robiła dokładnie to, co księża nakazywali wszystkim ludziom: Kochać bliźniego i pomagać mu dla niego samego.

I nagle tu, w tej jednej sprawie, łapała diabła za ogon i stawiała się orędowniczką ewangelii nienawiści.

Reina nie potrafiła już tego zrozumieć. Nie mogła się też pogodzić z tym, że jej przyrodną siostrę wciąga się w to, co bez względu na wszystko dotyczyło tylko Johanny i jej rodziny.

Zobaczyła, że Arill tam na górze prostuje plecy, ale nie widziała, czy się uśmiechnął.

- On się nie gniewa! Zrozumiał, że wypłam o kropelkę za dużo i że porwały mnie te tańce i muzyka. Wie, że jestem porządną dziewczyną, tak powiedział. Bardzo sobie ceni, że zaofiarowałam się serdeczniej dojrzeć jego nieszczęsnego ojca, nawet jeśli w głowie nie zostało mu tyle rozumu, ile ma niemowlak. Zrobię co w mojej mocy dla tych biedaków, Reino. Możesz powiedzieć o tym swojej matce, a ona na pewno nie pożałuje, że pozwoliła mi zostać.

Ingalill sprawiała wrażenie wesołej i beztrudnej.

Reina uśmiechnęła się do niej przelotnie.

Szum krwi nie chciał ustąpić.

A w twarzy Ingalill wyczytała, że coś tu nie jest prawdą.

Arill dostrzegł Reinę przy niedużym kamieniu wyznaczającym granice pola. Dziewczyna dźwigała duży ciężki kosz. Dobrze znał miękką linię pleców, gdy odstawiała ciężar. Rozpoznał łuk, jaki zatoczyła ręka, żeby odgarnąć włosy z oczu. Niemal usłyszał też, jak sapie z gorąca, gdy rozluźniła lekko sznurowanie bluzki, żeby powietrze owionęło spoconą skórę.

Ale po zżętym polu nadbiegła Ingalill. Mocno trzymając w garści spódnicę, pokonała dwie niewysokie półki skalne i przeszła dalej na piękne płaskie poletko, rozpościerające się wśród stromizny.

Przestał kosić. Zapach słodkiej koniczyny zakręcił mu w nosie, mieszając się ze słonym zapachem potu.

Dziewczyna nie zatrzymała się, dopóki nie stanęła tuż przed nim. Powitała go jasnym spojrzeniem i miękkimi lśniącymi wargami.

- Gorąco dzisiaj temu, kto robi w polu, Arillu Storlandet! Wygląda jednak na to, że robota sprawia ci przyjemność. Pewnie wieczorem się schłodzisz?

Zaśmiała się perliście. On także nie mógł się nie uśmiechnąć. Dziewczyna była naprawdę śliczna i przecież nie tak wiele znów młodych dziewcząt zaglądało do niego. W każdym razie odchodziły prędko, jeśli niedostatecznie szybko im odpowiedział albo odwrócił się do nich szpetną stroną twarzy.

Teraz też tak zrobił. Splunął na kosę i wyciągnął oselkę z pochwy wiszącej mu u paska. Dźwięk stali zgrzytającej o kamień wdarł się do uszu Ingalill.

- Uważasz może, że przychodząc tu, okazuję zbytnią śmiałość? Zrozum jednak, Arillu, nie mogę zapomnieć, że podniosłeś moją chustkę. I chcę ci tylko powiedzieć jedno: mieszkam na Vildegard, a tamtejsza gospodyni będzie bardzo niełaskawa, gdy się dowie, że z tobą rozmawiam. Ona mnie karze za tańce, wiedz o tym. Dlatego właśnie muszę dzisiaj iść do domu wariatów i służyć tam przez całe lato. Ingalill ciężko dyszała. Droga pod górę była stroma.

- Ale nie jestem jej domowniczką, zrobię tak jak zechcę. Jeśli mnie wyrzuci, niech się dzieje wola nieba. Może znajdzie się ktoś, kto się mną zajmie.

Arill ostrzył kosę, bacznie się jej przyglądając. Oselka wydobyla z ostrza piękny niebieskawy połysk. Przy samym kosisku stał trochę zardzewiała. Kosa wyglądała na starą, była wąska i cienka. Ingalill zadrzała, gdy ujął w palce jeden jej włos i dotknął nim ostrza. Przecięło go na pół, ucięty kawałek lekko jak piórko zawirował w powietrzu.

Chłopak popatrzył na Ingalill, oparł się teraz na narzędziu.

- A więc sprzeciwiasz się swej gospodyni? Ingalill patrzyła mu w oczy bez odrobiny

strachu.

- Jej ojciec to mąż mojej matki, cóż więc może mi zrobić? Pokiwał głową ze zrozumieniem. Oczy błysnęły mu rozbawione.

- Cóż, może najwyższy czas, by ktoś wreszcie sprzeciwił się kobietom z Karlsgard. Niejeden już tego próbował, chciałbym wiedzieć, jak to się skończy.

Córka Heleny z powagą skinęła głową.

- Twój ojciec oszalał z powodu Marji, prawda? Arill z wahaniem potaknął.

- Musi odpokutować za to, co zrobił. Wszyscy musimy. Zdumiał ją ten ton sądu ostatecznego w samym środku słonecznej spiekoty. Chociaż dzień był taki jasny i piękny, trudno było wywołać uśmiech na twarzy tego chłopaka.

Przysunęła się jeszcze bliżej. Nie pokazała po sobie, że przeniknął ją dreszcz na widok nierównej skóry nad jego okiem, białych blizn i miejsc, w których mięsień policzka leżał niemal odsłonięty, naciągnięty i czerwony.

- Posłuchaj, Arillu. Długo myślałam o tym naszym krótkim tańcu. Twoje ręce... masz takie silne ręce.

Chłopak przyjrzał się swoim dłoniom, jak gdyby Ingalill wskazała mu zupełnie nową, nieznaną mu dotąd część ciała. Spokojnie obejmowały drewniane kosisko.

- Ja... chętnie sprzeciwiłabym się jej jeszcze raz, gdybym wiedziała, że naprawdę warto...

Spojrzał jej przez ramię, śledząc wzrokiem wystraszonego ptaka, który zerwał się do lotu.

Ta dziewczyna wręcz składa mu propozycję, zrozumiał to, chociaż nigdy wcześniej go to nie spotkało.

- Umiesz śpiewać? - spytał nagle. Ingalill popatrzyła na niego zdziwiona, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Oczywiście, umiem. To także umiem. Ale on już nabrał powietrza w płuca i zaczął kosić bujną trawę tuż koło jej stóp.

- No to zaśpiewaj dziś mojemu ojcu - burknął z goryczą. Ingalill zmusiła się do uśmiechu.

Zupełnie nieźle jak na początek. Przecież poprosił ją o przysługę!

Niski dom stał w pobliżu źródła, dobrej wody więc nie brakowało tu nawet w latach suszy. Poza tym jednak był naprawiany i łatany torfem i słomą. W miejscach, gdzie grube bale zaczęły próchnieć, ktoś przybił nie heblowane deski, żeby ściana całkiem się nie rozpadła. W jednym końcu dach nieco się pochylił, prawdopodobnie dlatego, że zrobiono w

nim dziurę do nowego komina. Zbierano teraz dodatkowe pieniądze na zabicie kolejnych posłań i wstawienie dwóch niedużych okienek w południowej ścianie.

Reina bywała tu już przedtem.

Rosła, starsza kobieta, która przejęła coś w rodzaju nadzoru nad tym miejscem, odkąd jej męża przywiązano do ściany przy palenisku, serdecznie je powitała. Siedziała przy drzwiach z robótką. Była odrobinę przygłucha, dlatego nie zauważyła ich nadejścia, dopóki nie uniosła oczu znad drutów i nie dostrzegła dwóch spódnic na ziemi tuż przed sobą.

- Panienska Reina! I... kogóż to panienska sprowadza do tej siedziby nieszczęścia?

- To moja przyrodnia siostra, Ingalill, córka Heleny. Spędza u nas lato w tym roku i ma ochotę trochę tutaj pomóc - powiedziała Reina głośno i wyraźnie.

- Ach, błogosławiony aniołku, tak długo o to prosiłam! Lato to isticie diabelska pora! Oni stają się wtedy o wiele bardziej niespokojni, są jak dzikie zwierzęta. Ach, moja droga, daj mi rękę, niechże przywitam przyzwoicie takie prawdziwe błogosławieństwo!

Ingalill z wahaniem wyciągnęła dłoń. Ręce kobiety, niezbyt czyste, pokryte były brunatnymi plamami.

Reina zauważyła, że kobieta, wstając, maca rękami wokół siebie. Nie patrzyła też wprost na przybyłe dziewczęta.

A gdy się odwróciła, by odłożyć włóczkę na miejsce, Reina dostrzegła biały welon przesłaniający jej oczy. Kobieta najwidoczniej ślepiea. Mleczna mgła, która tak często pojawiała się w oczach starych ludzi, całkiem zakryła już jej źrenice.

Pewnie jest już za późno, nie pomoże nawet nóż Johanny.

Ingalill wyglądała na przestraszoną.

Słowa powitania stały się jakby sygnałem dla nieszczęśników przebywających w środku, bo zaraz rozległ się przeraźliwy jęk i stukot. Gdy tylko znalazły się za drzwiami, w nos buchnął potworny smród. To było niczym przejście do innego świata. Opuściwszy krainę blasku słońca i świeżego leśnego powietrza, wstąpiły w brudną kałużę półmroku, ludzkiego odoru i przeraźliwych odgłosów, jakich, zdawałoby się, nie jest w stanie wydać z siebie żaden człowiek.

Reina nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że Ingalill oniemiała ze wzburzenia.

Staruszka ostrym głosem zakrzyczała do ludzi pod ścianami, oni jednak najwyraźniej nie zwracali na nią uwagi. Reina poznała drobną kobietę, zajmującą miejsce najbliżej drzwi: miała na imię Hildegjerd i została umieszczona tutaj po tym, jak wypadła z łodzi i mało brakowało, a by utonąła. Kiedy doszła do siebie, okazało się, że straciła mowę i rozum. W dodatku połowę ciała miała sparaliżowaną. Mąż rozwiódł się z nią i czym prędzej wziął sobie

nową żonę, żadnej innej rodziny nie miała.

Był też tutaj ten, którego nazywano Brutusem, ponieważ usiłował zakłuć ojca pogrzebaczem. Nigdy nie był w pełni człowiekiem. Matka cierpliwie go pielęgnowała, trzymała przykutego do ściany koło pieca jak psa na łańcuchu i w milczeniu sprzeciwiała się wszystkim twierdzącym, że to odmieniec, którego ze względu na inne dzieci powinna się pozbyć. Przeżył jakoś, wyrósł na dużego i silnego chłopca, a pewnej nocy, kiedy zerwał się z uwięzi i dopadł ostrego pogrzebacza, straszliwie poranił ojca.

Większość przebywających tu stanowili starcy zebrani z całej parafii, tacy, którzy przeżyli swoje dzieci i po pierwsze, nie posiadali dostatecznych środków do życia, po drugie zaś, dotknięci zostali siwym zapomnieniem starości. Byli spokojni, chętnie siedzieli nieruchomo na swoich pryczach, a jeśli wydawali z siebie jakieś dźwięki, często bywało to po prostu krótkie echo dawnego śmiechu albo płaczu.

No i była też ta, która nigdy się nie odzywała, niema dziewczyna niewiadomego pochodzenia. Pastor znalazł ją w pewną zimową noc z palcami przymarzniętymi do ciężkiej kołatki kościelnych drzwi. Teraz nie miała już palców, wyglądało też na to, że brak jej języka.

Reina witała się ze wszystkimi po kolei, nie przejmując się wcale obmacującymi ją rękami i bezrozumnymi krzykami, jakie wywoływał jej dotyk. Przeszła przez całe pomieszczenie, podzielone na trzy części cienkimi ściankami z desek.

Jedenaście udręczonych dusz.

Cztery z nich uwięzione w ciałach małych dzieci.

Tego akurat zupełnie nie mogła pojąć. Jak ktoś może zdecydować się na to, by wysłać w takie miejsce swoje własne ciało i krew? Widocznie nie było na to innej rady. Ci pomyłeńcy i kaleki, jeden straszniejszy od drugiego, nie powinni żyć nawet jeden dzień. I z większością z nich tak właśnie się działo. Ale ci wyjątkowo silni, nawet jeśli matki w pierwszych dniach ich życia odmawiały im dostępu do swej piersi, i tak przeżywali, pokpiwając z ludzkiej natury samym swym istnieniem. Czołgali się po podłodze jak zwierzęta, jedli, wpychając całą pięść w szarą owsiankę i zlizując ją potem z palców.

W głębi, przy krótszej ze ścian, wbito w klepisko solidny słup, przymocowany do ściany długimi hufnalami. Słup obito stalową taśmą z czterema dziurami, zwieszał się z niej teraz tylko jeden łańcuch, choć było tam miejsce na jeszcze trzy.

To tutaj byli przetrzymywani skazani przestępcy, którzy otrzymali ulaskawienie. Przytułek zaakceptowano jako więzienie i z tej racji podlegał lensmanowi. Jego noga jednak nie powstała tu od czasu, gdy przybył po ciało ostatnio zmarłego skazańca.

Magnus Storlandet był jedynym, który zdołał tu przeżyć więcej niż rok.

Reina poczuła niechęć napływającą mocnym strumieniem do głowy.

To iście piekielne miejsce.

Przecież powinno się przynajmniej porządnie tu posprzątać, by ci ludzie nie musieli się chociaż czołgać we własnych odchodach! Nigdy dotychczas nie zwróciła uwagi, że tak tu strasznie. Ze wspólnej wizyty z matką tuż przed świętami zapamiętała jakieś inne wrażenia.

Kobieta usadowiła się przy mężu. Pogłaskała go po włosach, on nie należał do tych, którzy krzyczą czy wyją. Po prostu sobie siedział, a wzrok miał utkwiony w paznokieć własnego palca stopy. Paznokieć długi niczym szpon, zagięty ku dołowi.

- Tych nieszczęśników może spotkać tylko jedna jedyna radość. Wszyscy wyczekujemy ich śmierci. Niekiedy, panienko Reino, wydaje mi się, że najlepszym uczynkiem, jaki moglibyśmy spełnić, to podłożyć ogień pod całe to gniazdo wszy.

Reina zacisnęła wargi, prędko je jednak otworzyła, zorientowawszy się, że gdy oddycha nosem, smród staje się jeszcze trudniejszy do zniesienia.

- Trzeba tu coś zrobić - mruknęła. - Powinnaś była wcześniej prosić o pomoc, Hansino!

Staruszka jęknęła.

- Jedynym człowiekiem, jakiego widziałam tu od Wielkanocy, jest ta głupawa dziewczyna z Gjerdeplassen. Kupili ją, żeby tu pracowała, ale ona ledwie potrafi oporządzić samą siebie! A moich próśb do zarządu kasy ubogich w ogóle nie umiała zapamiętać... Reina z trudem przełknęła ślinę.

Teraz i Ingalill otrząsnęła się już z pierwszego szoku. Pochyliła się gwałtownie nad wiadrem stojącym przy drzwiach i zwymiotowała.

- Nigdy w życiu! - jęknęła potem. - Nigdy, przenigdy nie zdołam tu zostać, choćby przez godzinę!

Reina przyglądała jej się ze spokojem. Polała twarz przyrodniej siostry wodą z czerpaka i odczuła prawdziwą przyjemność, gdy Ingalill jęknęła wstrząśnięta.

- Przyzwyczaisz się - szepnęła Reina spokojnie. - Popatrz tylko na tych ludzi, przecież oni spędzili tu większość życia!

Ingalill miała sinoblada twarz. Głos nie chciał jej słuchać:

- Tak cię proszę, tak bardzo proszę, nie zmuszaj mnie do tego! Już wolę iść do więzienia!

- Głupia z ciebie gęś, nie pójdziesz do żadnego więzienia. Masz tu spełnić dobry chrześcijański uczynek, za który będą cię chwalić, i zyskasz szacunek wśród ludzi. Potem poszukasz sobie męża i nareszcie będziesz wolna, tak jak mówiłaś.

Ingalill w słonecznej spiekocie szczękała zębami. Reina podała jej puste teraz wiadro i skinieniem głowy wskazała pokrywę studni, widoczną nieco dalej pod lasem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Sierpień*

Gjert uważał, że żądanie, z jakim wystąpiła, było jak najbardziej słuszne. Przez swoje dobre serce naraziła na niebezpieczeństwo własne życie. Sprzeciwiła się surowej gospodyni i zatroszczyła o to, by ci nieszczęśnicy mogli żyć w lepszych warunkach. Tak, nawet pastor chwalił ją na dziedzińcu kościoła poprzedniej niedzieli. To, co Ingalill zrobiła w przytułku dla umysłowo chorych, znacznie poprawiło ich sytuację. Wychwalała ją nawet Hansina, ta stara żmija. A Johanna z Vildegard wyglądała wręcz na dumną, gdy opis warunków panujących w domu na wzgórzu, przedstawiony przez Ingalill z takim uczuciem, sprawił, że do kościelnej puszeki trafiła znaczna suma pieniędzy.

Dopóki żyła Marja, przytułek pozostawał pod nadzorem. Zatrudniano tam na stałe dwie dziewczyny, lecz wraz ze śmiercią Marji wpłacane raz do roku pieniądze przestały wpływać, Johanna zaś nie troszczyła się o to, czym, jej zdaniem, powinna zajmować się nowa komisja do spraw ubogich.

Inaczej po cóż im taka komisja?

Teraz jednak mieszkańcy wioski mimo wszystko wyciągnęli sakiewki, a Ingalill policzki aż się zaczerwieniły, kiedy pastor przeliczył ofiary i poklepał ją po ramieniu.

- Doprawdy, świetnie sobie radzisz ze słowami! I te łzy, które wycisnęłaś z oczu, naprawdę zrobiły na ludziach wrażenie.

- Dziękuję, panie Daae. Uczyniłam, co tylko w mojej mocy - powiedziała Ingalill wdzięcznie, ale w oczach pastora dostrzegła rozbawienie i zrozumiała natychmiast, że są ulepieni z tej samej gliny.

Pastor połowę zebranych pieniędzy wsunął do kieszeni, resztę zaś dał dzwonnikowi Bengowi, który z ponurą miną udawał, że nie zauważył, co się stało. Widać pastor Daae był tak pewien swej pozycji, że na oczach Benga okradał kościelną puszkę.

Ingalill ukloniła się pięknie.

- Gdyby pastor zechciał pobłogosławić naszą dalszą pracę, to bez strachu wyjdziemy na spotkanie zimy.

Johanna usłyszała ostatnie zdanie i zmarszczyła czoło. Co, na miłość boską, mogło się stać? Przez pierwsze dwa tygodnie od czasu rozpoczęcia pracy w domu wariatów dziewczyna wracała do domu, chwiejąc się na nogach, i z krzykiem zaklinała się na Boga, że jej noga nigdy więcej już tam nie postanie. Reina jednak nie przestawała jej tam ciągnąć. Przez

pierwszy tydzień, potem drugi. Trzeciego tygodnia Ingalill chodziła już sama i nigdy więcej nie usłyszeli złego słowa o pracy, jaką tam wykonywała. Nawet tego dnia, kiedy Johanna postanowiła wyprawić się tam zupełnie niespodziewanie z wizytą, Ingalill przyjęła ją uśmiechnięta. Trzepała właśnie pościel.

- Ależ, Johanno, znalazłaś czas na odwiedziny? Kiedy szpital pełen? Bardzo to miłe, pozwól, że naleję ci trochę wody, wyglądasz mi na to, że się zgrzałaś!

Była we wspaniałym humorze.

Stara Hansina zaś siedziała jak ku ozdobie w cieniu i pozwalała rękom odpocząć na robótce.

Z izby dobiegały ciche głosy, lecz nie słychać było żadnego krzyku.

Johanna musiała niechętnie przyznać, że ta młoda rozpustna pannica naprawdę wyszła na ludzi. Zaslugę za to na pewno należy przypisać też Reinie, pomyślała z dumą.

Teraz obie dziewczyny stały razem. Reina w ciepłym prześlicznym stroju z cieniutkiej wełny, jasnozielonym z naszytymi pasami ciemniejszego, również zielonego aksamitu przy brzegu spódnicy i wzdłuż pasa. Ingalill przepięknie wyglądała w brązowej sukni, jednej z nielicznych, które Johanna pozwoliła jej pożyczyć od Reiny. Na córkę ta sukienka i tak była stanowczo za duża, zarówno w piersiach, jak i w biodrach. Na pewno wywodziła się jeszcze z czasów najwcześniejszej młodości Marji, lecz przeleżała tyle lat zawinięta w delikatny papier, że nie zjadły jej mole ani materiał nie zetlał.

Rude i czarne włosy lśniły pod dziewczęcymi przepaskami, obie uśmiechały się do Aurory, która zbliżała się niepewnie, pozdrawiając pastora głębokim dygnięciem.

O, tak, Johanna mogła być dumna. Podczas jesiennego święta dziękczynienia w istocie będzie miała za co dziękować. Lato było dobre, odpowiednio dużo deszczu spadło w porze, gdy zboże zaczęło rozwijać kłosa, a na polach zarówno warzywa korzeniowe, jak i kapusta pięknie dojrzewały. Mało też było robactwa, nawet kapuściane pchełki, których tak się obawiano, w rym roku nie wyrządziły zbyt wielkich szkód, a stodoły pełne były mocno pachnącego siana.

Ujęła Astrid za rękę i uśmiechnęła się zadowolona.

- Wspaniale te nasze dziewczęta! Astrid kiwnęła głową z rozjaśnionymi oczyma.

- O, tak, najwspanialsze, ale... Bóg jeden wie, co się dzieje w tych ślicznych główkach! Wprost nie poznaję mojej Aurory. Ach, Johanno, nie powinnam była jej zostawiać!

Johanna przełknęła ślinę i zrobiła spokojną minę. Tajemnica Aurory miała pozostać tajemnicą, osobiście obiecała to dziewczynie, nim jeszcze jej matka wróciła do domu.

- Pewnie wypłakuje oczy za jakimś chłopcem, tak przypuszczam. Może za kimś, kogo poznała podczas świętojańskiej zabawy? Ale, Johanno, ona nie chce powiedzieć, po prostu odchodzi, gdy tylko zadam jej najprostsze pytanie...

- Takie już one są - odparła Johanna pogodnie. - A ty może mówiłaś o wszystkim swojej matce?

To były złe słowa, Johanna od razu się zorientowała. Piuwe oczy Astrid bowiem natychmiast się zwięzły, a jej wzrok zwrócił się jakby do wnętrza, ku czemuś ciemnemu, mrocznemu, zapomnianemu.

Reina szła już w ich stronę, Astrid w milczeniu odwróciła głowę.

- Mamo, słyszałaś, co pastor powiedział? Czyż ona się dzielnie nie spisała? Tak jak mówiłam, Ingalill wcale nie jest aż taka zła. Tylko po prostu do tej pory nie miała okazji zrobić czegoś pożytecznego!

Johanna skinęła głową.

- Miałaś rację, Reino. Ale to też i twoja zasługa, jestem z ciebie naprawdę bardzo, bardzo dumna.

Reina poczuła, że policzki jej płoną.

Radość dźwięcząca w głosie matki zapadła jej w serce głębiej aniżeli inne pochwały, jakie niekiedy otrzymywała. Dobrze wiedziała, dlaczego tak jest. Pustka powoli się wypełniała. A odkąd Ingalill zaczęła pracę w przytułku dla umysłowo chorych, na Vildegard z wolna znów zaczął panować przyjemny spokój. Spokój, którego nie przerwał nawet powrót Astrid, Emmi i Diany. Przywiozły ze sobą dwie obce kobiety i dziwnego niedużego człowieczka, których, jak obwieściły, mają zamiar przez jakiś czas zatrzymać w Zamku Marji, potrzeba im bowiem nieco rozrywki.

W szpitaliku dni płynęły spokojnie. Pojawił się posłaniec; przyniósł w liście dziesięć talarów wraz z pozdrowieniami od pewnego człowieka, którego w późny letni wieczór przyjęły pod dach, a Johanna pewną ręką pomogła pozbyć się mu dokuczliwej przepukliny. Nacięła mu skórę, wepchnęła wystające jelito do środka, a potem mocno połączyła błony i skórę, aż ściana brzucha została wzmocniona w odpowiedni sposób, by dolegliwość więcej się nie powtarzała. Po ośmiu dniach nieznajomy mógł wyruszyć w drogę. Przyrzekł, że przyśle wynagrodzenie za noclegi, wyżywienie i opiekę. I obietnicy dotrzymał, z listu okazało się, że to syn wójta z More.

Ludzie zgromadzeni na dziedzińcu kościoła zaczęli się rozchodzić.

Johanna wolnym krokiem podążyła wraz z Astrid w stronę powozów.

Dobrze, że już wróciły. A na święto dziękczynienia na pewno przyjedzie do domu

również Benjamin. Bendik i Helena już dawali znać, że chętnie wybiorą się w odwiedzin, będzie więc miała wszystkich najbliższych pod dachem.

Reina uśmiechnęła się do matki.

- Nie zostaniemy jeszcze trochę? Chciałabym posłuchać Nilsa Ellingssonna. Podobno ma później śpiewać, w domu u dzwonnika.

Johanna przypomniała sobie młodego chłopca, od którego pieśni serce mało nie rozpękło się jej na tysiąc kawałków podczas stypy po śmierci Marji.

Teraz był już młodym mężczyzną i kształcił się na nauczyciela.

Przypomniał jej się jeszcze jeden fragment tamtej smutnej uroczystości: Reina także niezwykle silnie zareagowała na jego śpiew. Nieczęsto się zdarzało, by coś pochłonęło ją do tego stopnia, a już na pewno nie był to nigdy młody mężczyzna. Czyżby coś się działo? Czyżby ów Nils Ellingsson Sonnesyn wzbudził tak wielkie zainteresowanie w jej córce?

Uniosła brwi. Nie byłby to wcale zły wybór. Chłopak nie dość, że pięknie śpiewał, to jeszcze sprawiał wrażenie łagodnego i spokojnego. Jednocześnie zaś miał być człowiekiem uczonym, pasowałby dla Reiny. O, tak, tak by być mogło...

Dalej nie zdążyła pomyśleć, bo córka z szelmowskim uśmiechem szturchnęła ją w bok.

- Mamo, ty swoje myśli masz wypisane na twarzy! Wstydź się! Powiedziałam przecież, że chciałabym posłuchać, jak śpiewa!

Johanna roześmiała się.

- Niełatwo jest coś przed tobą ukryć, moja kochana. Zawsze tak było. Reina odęła usta, udając, że się obraziła.

- Wydaje mi się, że wcale nie pójde, jeśli masz tak sobie myśleć, mamu. Przecież on świata nie widzi poza Abelone, a ty doskonale o tym wiesz! A jeśli ona pewnego dnia wyzwoli się od opieki nad starymi rodzicami, to na pewno będzie z nich para!

Johanna dobrodusznie pokiwała głową.

- Idź, idź, i zabierz ze sobą Aurorę! Ona lubi piękny śpiew, biedaczka.

Ingalill też się do nich przyłączyła. Większość młodych ludzi uważała niedzielne popołudnia za prawdziwą katorgę: nie wolno było pracować, ale też i się bawić. A już na pewno nie przystały tańce lub głośny śmiech. Za to śpiewów nie zabraniano, byle tylko pieśni były stosowne. A podczas słuchania zawsze można było posłać komuś ukradkowe spojrzenie albo pod surowym baczeniem dzwonnika wymienić nawet uśmiech czy parę słów z tą jedną szczególną osobą.

Arilla Storlandet nie obchodziło śpiewanie. Ruszył jednak drogą pod górę razem z

całą gromadą, która pociągnęła go do dawnego budynku szkolnego przy Karlsgard, jakby był bezwolną owcą. I tak nie miał nic innego do roboty. Wieczór był jeszcze długi, a w domu na Storlendet siedział jego stryj Gjert i rozpamiętywał myśli, którymi nie chciał podzielić się z nikim.

Jego wzrok przykuł zielony strój Reiny. Wcale tego nie chciał, lecz i tak w sercu go zapiekło, jakby go zdradziła.

Ingalill nie szczędziła mu poufanych uśmiechów, lecz przy każdym z nich Arill miał wrażenie, że w ciało wbijają mu się ostre igły, dręczą i nie pozwalają oddychać.

Nie powinien był tego robić, nie powinien kusić jej zabawą i połową obietnicy, by potem odsunąć od siebie gorzkim kłamstwem: ona i tak nigdy mu nie uwierzy. Nigdy nie pogodzi się z tym, że poprzysiągł sobie z żadną się nie wiązać.

Od tamtego pocałunku z Ingalill ciało nie dawało mu spokoju.

Przed oczami ciągle stawała mu twarz Reiny, tak jak w czasie tamtych majaków wywołanych gorączką, wówczas, gdy wydawało mu się, że ona jest aniołem zesłanym z nieba jego zmarłej matki.

Ona nigdy się o tym nie dowie. Nawet nie ujęła wyciągniętej do niej ręki w tamten bożonarodzeniowy wieczór. Dlaczego więc miałby oddawać jej serce?

Wzbraniali się, lecz ona nalegała: chociaż była niedziela, to przecież ci nieszczęśnicy i tak bardzo za nią tęsknią. Nie, to wcale niedaleko, wszak przez cały tydzień dwa razy dziennie chodziła tą samą drogą. Nie, dobrze znała drogę, choć zapewne zapadnie zmierzch, zanim wróci do domu. A które z przykazań zabrania spełniania dobrych uczynków w niedzielę? Czyż sam Mistrz nie pokazał swoim uczniom, że przeciwnie, przykazanie miłości należy wypełniać przed przykazaniem, by święcić dzień święty?

Johanna prędko ustąpiła. To na pewno w niczym nie zaszkodzi. Skoro Ingalill starczy siły, żeby iść tak daleko, chociaż ma już w nogach całą drogę ze szkoły na Vildegard, to proszę bardzo. Dziewczyna zresztą wyglądała na szczerze zaniepokojoną o Hansinę. Gdy w sobotę w porze obiadu opuszczała dom wariatów, kobieta leżała w łóżku.

Ingalill prędko przebrała się w skromniejszy strój: niebieską koszulę i gruby fartuch, ale pod szyją i tak wpięła sobie małą broszkę z czerwonym kamyczkiem. Przecież i w domu wariatów jest niedziela.

Złapała psalterz, który Reina odłożyła na kredensie.

- Pomyślałam sobie, że mogłabym im coś zaśpiewać. Johanna w milczeniu ustąpiła. Doprawdy, nie ma granic, jak dobra zrobiła się ta dziewczyna. Wprost trudno uwierzyć. Spostrzegła, że na twarzy Reiny również maluje się troska.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

Ale Ingalill już nie było, zanim nawet zdążyli usłyszeć odpowiedź. Lekkim krokiem pobiegła tą samą drogą, którą przyszła. Niewiele czasu zajęło jej dotarcie do kościoła, a potem pozostawało już tylko przeciąć ukosem zbocze i dojść do małych polan na skraju lasu, z których chłopci liczyli, że zbiorą jeszcze jeden pokos trawy, zanim jesień całkiem je pożółci.

Dom w lesie czekał.

Człowiek z rękami i nogami w łańcuchach również.

Jego syn jej nie chciał, ale ten bełkoczący wychudzony cień człowieka znalazł wygodne miejsce, na którym mógł złożyć stroskaną głowę.

Zaśpiewała mu, tak jak przyrzekła to Arillowi. Nazywał ją teraz matką i za każdym razem, gdy przychodziła się z nim zobaczyć, garnął się do niej jak popiskujący szczeniak.

W jego oszalałym umyśle wiele poszło w zapomnienie, wiele też się zniekształciło, lecz wspomnienia o matce nie zatracił. Na początku nie mówił zbyt wiele, lecz Ingalill kawałek po kawałku zmusiła go, by nazwał słowami to, co jeszcze zostało mu w głowie. Wspomnienia i mgliste urywki dzieciństwa.

Wspomnienia, które jej mogły się przydać.

Wspomnienia, za które Gjert z każdym upływającym dniem mógł zapłacić coraz wyższą cenę.

Spotkali się jak zwykle przy wysokim drzewie, jedynym, które wznosiło się ponad inne w młodym brzeziniaku. Pod gęstymi, iglastymi gałęziami Ingalill znalazła duży płaski kamień. Tu, w pobliżu pnia drzewa, zawsze panował półmrok, światło sączyło się między ciemnozielonymi igłami, a nad ich głowami błyszczała o wczesnym poranku pajęczyna, zanim nie wyparowała z niej rosa.

Zapytał ją wprost, czy i ona odznacza się takimi zdolnościami jak siostra.

A Ingalill, uśmiechając się, w duchu zwróciła oczy ku niebu.

- Ona jest jeszcze taka młoda - mruknęła. - Tak bardzo, bardzo młoda, i nie ma tej siły, którą mam ja. Ale jest kochana ta moja młodsza siostrzyczka. Szkoda, że nasz ojciec nie zdążył jej nauczyć tyle co mnie.

Gjert w uniesieniu kiwnął głową, otworzywszy usta szeroko. Pod skórą aż mu pulsowało. W te chwile pod starym świerkiem umiała sprawić, że ciarki przechodziły mu po plecach. Za każdym razem nabierał coraz większej pewności: ta kobieta jest jedną na setki tysięcy. A ten, kto dostanie ją za żonę, nigdy nie będzie musiał się zastanawiać, czy dokonał słusznego wyboru.

Ona widziała.

Przeszłość i przyszłość.

Kawałek po kawałku odsłaniała przed nim całe jego życie. Znała je tak samo dobrze, a może nawet lepiej niż on sam. Opisała tamten straszny czas, kiedy po śmierci córki wójta przestał być panem w swoim własnym domu. I późniejsze ubóstwo w tamtej małej zagrodzie, które odebrało mu siły do życia.

Znała też jego najdawniejsze wspomnienia. Potrafiła zobaczyć łódeczki z kory, które on i Magnus naznaczali kroplami krwi, przysięgając sobie, że wyjadą.

Umiała dokładnie opisać matkę, którą utracili, wiedziała też o zapomnianym niedobrym uczynku sprzed tak wielu lat, o lisie, którego naszli złapanego w potrzask i którego dla zabawy tak drażnili, że zwierzę odgryzło Magnusowi czubek palca. Gjert zmiądzzył wtedy lisowi czaszkę, ale zwierzę trzymało się życia, a tamto jego spojrzenie powracało do niego w wielu koszmarach.

Ona o tym wszystkim wiedziała.

A gdy spoglądał w jej głęboko zielone oczy i słuchał, jak opowiada o wizjach na przyszłość, to wiedział, że dziewczyna musi mieć rację.

Pożądanie, jakie w nim rozpalala, było chłodne i przejrzyste jak lód. Strasznie się jej bał, budziła w nim wręcz śmiertelne przerażenie. Lecz ona znała wszystkie odpowiedzi. Te odpowiedzi, których szukał, nawet na pytania, których nigdy nie miał śmiałości zadać.

- Jesteś teraz potężnym człowiekiem, Gjert. Doszedłeś tam, dokąd miała cię zaprowadzić ścieżka twego losu. Żli ludzie odebrali ci dobre życie, oszukali cię i pohańbili, ale ty się z tego podniesiesz, Gjert. Masz przecież srebrne guziki.

- Nie są moje! Patrzyła na niego długo i z powagą.

- Owszem. Są twoje. Tak właśnie zostało postanowione. Tak się stanie. Drżąc zaczerpnął oddechu.

- Arill... Ingalill pokręciła głową, na ustach ukazał się smutny uśmiech.

- On długo nie pożyje. Widziałam, co się stanie. To już niedaleko. Ale nie rozpaczaj za bardzo, to i tak zatracona dusza. Jego także oszukano, on miał nie przeżyć swej choroby. Jest nieszczęśliwy, rozumiesz to?

Gjert skinął głową.

Arill zawsze był nieszczęśliwy.

Najadał się do syta każdego dnia w swym młodym życiu, był głaskany i rozpieszczany przez Idę aż do czasu, gdy sam pewnego dnia uznał się za dość dorosłego, by unikać jej objęć. Ona nie była jego matką. Gjert zaś nawet nie próbował być ojcem.

Ingalill westchnęła.

- Próbowałam mu pomóc, widziałam pewne wyjście dla niego. Na morzu, o którym kiedyś tak marzył jego ojciec. Ale on odszedł ode mnie i nie chciał mnie słuchać. Oświadczył, że gospodarstwo to wszystko, co ma, całe jego życie.

Gjert wolno kiwnął głową. Ingalill znów podniosła wzrok.

- Ten nieszczęsny, nieszczęsny chłopiec, widzę, jak nadciąga zły los, lecz nijak nie mogę temu zaradzić. Taka już moja ciężka dola, Gjert.

Mężczyzna wyprostował drżącą rękę i położył ją na głowie dziewczyny. W oczach błysnęły mu łzy.

- Rozumiem - rzekł cicho. - Ale masz mnie. Ja nigdy złego słowa nie powiem o zdolnościach, które posiadasz. Ja się na tym znam i wcale się tego nie boję, inaczej niż mój brat. Nie, nie boję się niczego, co pochodzi od tak dobrego człowieka jak ty.

Ingalill nie podnosiła głowy.

Ścisnęła tylko w rękę małej srebrny krzyżyk, który dostała, gdy była jeszcze dzieckiem w kołysce.

- Posłuchaj... Czy mogłabyś spróbować zobaczyć, jak się powiodło temu statkowi, którym wysłaliśmy ładunek? Czy już dotarli do Bergen? I czy dostaną taką cenę, na jaką mieliśmy nadzieję?

Ingalill mruknęła coś, zacisnęła szczęki, zmarszczyła czoło. Mniej więcej tak samo wyglądał ojciec, gdy go to nachodziło.

- Widzę... - wymamrotała. - Widzę szylingi wysypujące się z kieszeni. I talary, które trzeba wymyć do czysta, zanim włożysz je do kościelnej puszeki...

Gjert podniósł rękę do ust.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że ten łajdak handlarz tylko pije, wałęsa się i trwoni mój zysk na baby!

Ingalill westchnęła ciężko.

- Ale za wełnę dostaniesz dobrą cenę. Materiał z niej utkany nosić będzie królowa.

Gjert aż jęknął.

- Naprawdę? Cóż za zaszczyt! Ach, Ingalill, widzisz coś jeszcze?

- Widzę inną łódź, płynącą do Lyster, a w niej jest to, czego pragnę najbardziej na świecie.

- Co takiego? Powiedz mi o tym zaraz! Ale dziewczyna milczała. Wiedziała, że w tym roku tak jak zawsze handlarz srebrem pojawi się tu około święta dziękczynienia. A słyszał z tego, że sprzedawał najpiękniejszą biżuterię zaręczynową, jaką tylko można było dostać. Gjert nawet przez sekundę nie odrywał oczu od jej ust.

- Opowiedz mi coś jeszcze - prosił oczarowany. - Coś więcej o tym, jak wygląda ten świat cieni, którym władasz.

A Ingalill wprawiła swój głos w drżenie, gdy dramatycznie opowiadała o istotach, z którymi zmagać się musiała osoba, której przypadł w udziale taki los jak jej. Jednocześnie nie przestawała ścisnąć w palcach krzyża i zwilżyła go własnymi łzami, aż Gjert oniemiał ze współczucia i szacunku.

A więc dlatego Johanna z Vildegard odnosiła się do tej dziewczyny z taką surowością! Ingalill nie była tylko owocem zdrady jej męża, lecz także osobą, której mocy, w przeciwieństwie do czarnoksiężskich zdolności jej córki, sprzyjał Bóg!

Czy kiedykolwiek widziano, by Reina nosiła krzyż?

Owszem, być może podczas konfirmacji, nie pamiętał. Ale był to ostateczny, najpewniejszy dowód. Ludzie obdarzeni taką mocą mogli otrzymać ją jedynie w dwóch miejscach: w niebie albo w piekle.

A każdy, kto nie odrzucał wszelkiej starej wiedzy, doskonale pojmował, że kobiety, które zaprzedały swą duszę diabłu, nie mogą dotknąć krzyża.

Nie miał śmiałości jej tknąć, lecz nie starczyło mu sił, żeby się powstrzymać, gdy wycieńczona wizjami padła mu w ramiona.

- Pomóż mi! - jęknęła. - Jestem taka młoda i zagubiona. Ach, Gjert, potrzebuję takiego mężczyzny jak ty! Kogoś, kto zebrał dostatecznie dużo doświadczeń, by móc pokazać mi, jak żyć!

On prawie się zarumienił. Odparł jednak zdyszany:

- Tak! Tak, moja miła! Nie ma dla nas innej drogi. Ty to widziałaś, teraz widzę to również i ja.

Kiwnęła głową, wtuloną w jego ramię. Mocno ugryzła się w palec, by nie krzyczeć triumfalnie.

Pozostawała teraz tylko jedna rzecz: zająć się ciążą. Wtedy nikt już nie stanie na przeszkodzie temu małżeństwu, pomimo jej wieku. Zresztą i tak powinno się udać, na prawa dotyczące małżeństwa patrzono przez palce, byle tylko uiszczono grzywnę należną i kościołowi, i królowi.

Gjert przyciągnął ją do siebie mocniej, zachęcony ufnym ciężarem. Już wcześniej całował ją w policzek, lecz przytłoczony tym, co mu pokazała, bał się ją choćby objąć po ojcowsku.

Teraz uczepiła się go, czuł jej słodki oddech na szyi, wargi musnęły pulsującą żyłę, a włosy połaskotały go w ucho.

Miękkie piersi naciskały na jego pierś, nie był od niej wiele wyższy. Świerk, który ktoś przed co najmniej pięćdziesięcioma laty posadził przy zagrodzie, której nazwa wiązała się ze słońcem, jakby objął ich swymi gałęziami. Byłby przepięknym podwórzowym drzewem na niedużym dziedzińcu, zamiast tego jednak strzegł przytułku dla umysłowo chorych.

Teraz skrył ich przed nieprzychylnym spojrzeniem tego świata. To dobrze, pomyślał Gjert, tak będzie dobrze, bo Ingalill z tego świata nie jest i na pewno będzie umiała poprowadzić go tam, gdzie naprawdę jest jego miejsce.

W połowie sierpnia nadciągnął chłodny wiatr od gór, ciepłe suche lato jęknęło przerażone i nigdy nie doszło już do siebie.

Na górskich zboczach w najsuchszych miejscach drzewa już pożółkły, a teraz w bezsilnej rezygnacji zaczynały gubić liście. Ludzie także zadrżeli przestraszeni takimi oznakami. Jednego dnia panował upał i spiekota, od chodzenia po polach zasychało w gardle i pot spływał po plecach, zaraz następnego zaś człowiek trząsł się z zimna i naciągał kamizelkę i kurtkę. To dziwne, bardzo dziwne.

Johanna posłała wiadomość do letniej zagrody, że w tym roku mogą wcześniej wrócić do domu. Trzy służące, które spędziły tam nieco ponad miesiąc, raczej się z tego nie ucieszyły, przecież kochały takie życie. Piękne dni w letniej zagrodzie dawały okazję do zaczerpnięcia oddechu po dusznym życiu w wiosce, do odpoczynku od tego, co stanowiło codzienność i przez to było mniej przyjemne. Tam w górach same sobie były paniami, nie pilnowała ich żadna Johanna ani też nikt inny. Były jedynie zwierzęta wymagające obrządku. Kochały takie życie, chociaż długie dni wypełniała ciężka praca. Nie było parobka, który nanosiłby wody i drewna, nie miał kto wyszorować kotłów i garnków, a z wyjątkiem paru sobotnich wieczorów miały tylko młodego pastuszka jako całe męskie towarzystwo.

Johanna cieszyła się z ich powrotu. Znowu poczuje, jak na Vildegard wraca życie, wszak to niezwykle, że w oborze i w ogrodzie panuje taka cisza. Dziwnie się też czuła, gdy budziła się pierwsza, nie czując zapachu perkoczącej na ogniu owsianki ani nie słysząc pobrękiwania wiader na dziedzińcu.

Nieliczni chorzy, którzy przebywali u niej podczas żniw, nie skarżyli się zbyt wiele i nie zajmowali jej czasu. Znajdowała się wśród nich młoda dziewczyna, którą zmija ukąsiła w szyję i Johanna była przez pewien czas pewna, że dziewczyna udusi się od opuchlizny. Jakoś jednak z tego wyszła, pociła się i nocą krzyczała mającąc, lecz Johanna przytrzymała ją za głowę i udawało się ją uspokoić. Oddech miała świszczący i płytki, lecz widać jakoś zdołała zaczerpnąć powietrza na tyle, że przeżyła. Jednakże blizna powstała od noża Johanny

miała pozostać jej na całe życie, być może też biedaczka nigdy nie będzie w stanie już przełknąć nic poza bardzo rozdrobnionym jedzeniem i zupą.

Była tu też kobieta, która straciła dziecko zaledwie na kilka tygodni przed tym, jak miało przyjść na świat. Przyszła do Johanny pewnego dnia o wczesnym poranku, z oczyma pociemniałymi ze zgryzoty.

- Moje dziecko nie żyje - oświadczyła wtedy.

Spokojnym głosem opowiedziała, jak obudziła się gwałtownie poprzedniego wieczoru zaraz po zaśnięciu. Obudził ją niezwykle spokojny. Żaden dziwny odgłos nie dobiegł z zewnątrz, słychać było tylko równy oddech męża, wszystko było normalne.

Ona jednak poczuła w tej samej sekundzie, gdy odszedł od niej sen. Położyła ręce na brzuchu i modliła się, lecz wiedziała, że już po wszystkim.

Teraz więc potrzebowała pomocy, bo poród się nie zaczął. Obawiała się także, że zmarłe dziecko ją zatruje, jak wiadomo było, że może się zdarzyć.

Johanna pozwoliła jej odpocząć w pomieszczeniu, gdzie zwykle umieszczała rodzące. Przygotowała jej napar do picia, herbatkę zawierającą uspokajający rozmaryn i wywołujący skurcze wyciąg z tasznika. Z uchem przyłożonym do brzucha kobiety potwierdziła tylko to, co tamta wiedziała już wcześniej: Nie dało się wyczuć żadnych leciutkich uderzeń serca, żadnego ruchu. Zdarzało się już wcześniej, że jakieś dziecko nieruchomiało w łonie matki, zwłaszcza tuż przed porodem, lecz wyraz oczu tej kobiety przekonał Johannę. W dodatku jej zabiegi w niczym nie mogły zaszkodzić, nawet gdyby okazało się, że obie się pomyliły. Kobieta pokonała piechotą dostatecznie długą drogę, by poród wkrótce samoistnie się rozpoczął.

Urodziła następnego nocy. Stoczyła krótką intensywną walkę, która po trzech godzinach zakończyła się tym, że małą, kruchą dziewczynkę czym prędzej umyła, owinięto płótnem i odesłano do dzwonnika, by ją pochował.

Kobieta odpoczywała, a mąż dziękował Johannie wzrokiem za to, że przynajmniej ten ciężar zdjęła z jego barków.

Obwiązali kobiecie piersi, lecz po dwóch dniach zdjęli bandaż, bo Johanna dowiedziała się, że pewna kobieta z Dalen właśnie zmarła w połogu i rodzina poszukuje mamki.

Tak się to toczyło.

Tak niekiedy samo układa się życie, pomyślała Johanna ze smutkiem.

Siedziała, zerkając na zielone łąki i na krzątających się po nich kosiarzy. Wyglądali jak małe figurki, które rzeźbił Benjamin. Teraz nieruchomo odpoczywali od południowego

słońca w cieniu wozu z sianem, które własnoręcznie zgrabili.

Czuła zapach wyschniętej koniczyny. Zawsze go lubiła, chociaż mocno kręcił w nosie.

Czy Reina już niedługo wróci? Miała przecież tylko zanieść im jedzenie i picie, zsiadłe mleko zmieszane z wodą i parę grubych żytnich placków, posmarowanych kwaśnym serem.

Tak, dostrzegła córkę. Jakaś postać podniosła się, złapała koszyk. Nie była ubrana w znajomą niebieską spódnicę, Johanna nie miała też sokolego wzroku, by z tak wielkiej odległości odróżnić twarz czy choćby sylwetkę. Podpowiadało jej raczej wycucie. Tak, to Reina wraca. Uśmiechnęła się do siebie. A może teraz, gdy lato dostało już ostrzeżenie, lecz mimo to słońce świeciło jeszcze pięknie wśród kołyszących się w powietrzu chmur, dać córce wolne na całe popołudnie?

Może Reina będzie miała ochotę zobaczyć się z Hanną albo z Britt? Może wyprowadzi konia i wybierze się na przejażdżkę? Kiedyś lubiła jeździć. Ostatnio robiła to coraz rzadziej.

Johanna pospiesznie poderwała się od stołu. Wiedziała już, co zrobi. Wybierze się razem z Reina. W stajni stoją przecież dwa konie, oba w pełni nadające się pod wierzch, a z ich osiodłaniem doskonale poradzą sobie same, bo przecież parobcy pracują w polu. Reine na pewno spodoba się taki pomysł, bardzo dawno już nie jeździły razem, chyba minęły całe lata.

Mając w pamięci przyjemne napięcie towarzyszące tamtej pospiesznej wyprawie do chaty w lesie, Johanna zrzuciła fartuch i spódnicę i przebrała się w grubszą z mocnej wełny.

Emmi jeździła w spodniach, Johanna sama tak robiła w młodości, teraz jednak było inaczej. Stała się dorosłą, stateczną wdową.

Ważne było, by utrzymać ten wizerunek, aby ludzie całkiem puścili w niepamięć dawne wydarzenia.

Reina wmaszerowała na dziedziniec, kosz lekko obijał jej się o biodro. Schyliła się, żeby pogłaskać kota ułożonego na swoim stałym miejscu przy progu.

Johanna spotkała ją w drzwiach.

- Ach, jesteś wreszcie! Reino, potrzebuję trochę życia, jakiegoś ruchu. Co powiesz na to, żebyśmy osiodłały konie i wybrały się na krótką wyprawę? Może do sąsiadów, tamtejsza gospodyni sprzedaje najpiękniejszy czerwony barwnik do wełny. Pewnie ma jakiś tajemniczy przepis, który może udałoby mi się od niej wyciągnąć! Co ty na to?

Reina uśmiechnęła się niepewnie. W duchu złązała się za to, że jest tak zaskoczona nagłym zapalem matki.

- Oczywiście, naprawdę byłoby miło, mamó. Czy przygotować konie? Musimy wziąć

Siwka, skoro Duży ciągnie wóz z sianem.

- Tak, ty na pewno dasz sobie z nim radę. Ja wezmę klaczkę, z obu nas już stare baby!

Reina ze śmiechem odstawiła koszyk. Dziewczyna najęta do pomocy pomachała jej ręką, stając w drzwiach. Na pewno utrzyma wszystko w porządku do chwili, gdy nie wróca.

Wyruszyły, młody wałach nie był całkiem ujeżdżony, lecz cichy głos Reiny i jej zdecydowane ręce na szyi zwierzęcia uspokoiły je na tyle, by lekko pogodził się z ciężarem siodła i smakiem metalu w pysku. Powoli starała się przyzwycząić go do siebie, wydawała jasne, zdecydowane komendy, gdy lekko uderzyła konia piętami w bok i kazała iść naprzód.

Johanna jechała miękko, stara klacz nie była z tych, co to się zaniepokoją, gdy jeździec w pierwszej chwili zachowuje się dość niezgrabnie. Znała też drogę. Nieraz już dźwigała ludzi i inny ładunek w górę, przez kładkę, wzdłuż krętej drogi, przy której gospodarstwa i zagrody robiły się coraz mniejsze, w miarę jak się oddalali od wioski skupionej wokół kościoła.

Pokonały zakręt i straciły już z oczu widok na fiord. Przed nimi jednak otwierała się dolina, a błękitne niebo przeświecało zza szarych chmur, zbierających się ponad płaskowyżami.

Chłodny powiew był tu bardzo wyczuwalny. Ale Johanna głośno się śmiała.

- Dobrze wyjść trochę na powietrze! Mamo, jechałam tędy kiedyś z ojcem zimą!

- Tak, tak, pamiętam, szaleńcy! Dziwne, że nie wróciłaś do domu z zapaleniem płuc i odmrożeniami!

Reina uśmiechnęła się.

Johanna dobrze wiedziała, że kiedy dzieci były z Ravim, nigdy nie musiała się o nie bać.

Chętnie zadałaby córce jakieś pytanie, tak miło było siedzieć wysoko na końskim grzbiecie, a mimo to tak blisko siebie. Łatwo też im się rozmawiało, kiedy czuły pod sobą równy rytm zwierząt, a włosy swobodnie powiewały na wietrze.

- Może pojedziemy aż do letniej zagrody? Dotrzemy na miejsce przed wieczornym obrzędkiem. Mogłybyśmy zawieźć do domu świeże mleko i placki!

Johanna posłała córce przelotny uśmiech.

- Łasuch! Ale skoro masz ochotę... Naprawdę idzie nam całkiem nieźle!

- O, tak! Stęskniłam się już za służącymi, i za krową, za Złotorogą! Mamo, tak bym chciała!

Johanna cmoknęła na starą klacz, która posłusznie przyspieszyła kroku i pomknęła nieco sztywnym galopem. Młody wałach Reiny z początku się zawahał, szarpał i parsknął,

zaraz jednak odczuł radość takiej dzikiej gonitwy i też ruszył z kopyta.

Johanna roześmiała się nerwowo, gdy córka wyminęła ją w pędzie. Gdyby teraz spadła...

Ale Reina ułożyła się płasko na grzbiecie konia, każdy ruch zwinnego zwierzęcia był perfekcyjnie odbierany przez sprężyste ciało. Johanna musiała wreszcie krzyknąć:

- Zaczekajcie! Przecież nam tchu zabraknie, szalone dzieci! Jechały wzdłuż doliny, ścieżka była wąska, gdzieniegdzie kręta, ale szybko zostawała za plecami. Już niedługo dotrą tak wysoko, że otworzą się przed nimi górskie płaskowyże.

Na górze Reina zatrzymała się na krawędzi przepaści. Pod skalnym nawisem, na stromiźnie, widniała mroczna jama. Powiadano, że to dawna kryjówka zbiegłych morderców. Johanna przelknęła ślinę, poczuła, że w ustach jej zaschło, zdyszała się. Nie mogła jednak oderwać wzroku od córki, której sylwetka na tle prędko przesuwających się chmur przypominała boginkę na zaczarowanym rumaku. Jej czarne włosy, wzburzone, swobodnie spływały na ramiona, wszystkie wstążki dawno się już rozwiązały i pewnie wisały gdzieś na gałęziach zarośli, przez które przejeżdżały.

Ona była tak dumna.

Zamknęła oczy przed powiewem wiatru.

Stała nieruchomo jak kamień i miała tę samą zdumiewającą kontrolę nad zwierzęciem.

Na samej krawędzi otchłani.

Czekały. Obie wdychały zapach wiatru i czekały.

Był późny wieczór, gdy w drodze powrotnej zatrzymały się pod stromą skalną ścianą, żeby konie mogły się napić w zakolu rzeki. Johanna podniosła oczy w górę.

- Wiesz, kiedy cię tam zobaczyłam... Nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak pięknie. Przypominałaś boginię, królową na końskim grzbiecie. Jestem z ciebie bardzo, ale to bardzo dumna.

Reina się rozczuliła.

- Dziękuję, mamó... Czasami żałuję, że nie jestem mężczyzną. Mogłabym jeździć konno wszędzie, gdzie tylko przyszłaby mi ochota i kiedy tylko bym zechciała... Johanna parsknęła śmiechem.

- A cóż to za nowy ton! Przecież i tak zawsze robisz, co tylko zechcesz, mała buntowniczo!

Reina powątpiewająco cmoknęła wargami.

- Może naprawdę dorosłam, mamó. Może teraz więcej myślę. Więcej rozumiem. Umiem się dostosować. Staję się taka jak inni.

Johanna kiwnęła głową. Serce zabiło jej niespokojnie. Nakryła ręką dłoń Reiny.

- Byle nie za bardzo, moja kochana, nie za bardzo. Tego nie chcę od ciebie wymagać i też nie jest to raczej możliwe.

Reina uśmiechnęła się trochę gorzko.

- No cóż, jestem dziwaczką. Wiem, że tak mówią we wsi, ludzie bacznie mi się przyglądają, mamó. Ja... nie powinnam była wywoływać takiej awantury w wigilię świętego Jana.

Johanna chciała jej przerwać, grubą kreską oddzielić wszystkie myśli córki od tamtego zdarzenia.

- Zrobiłaś tylko to, co na twoim miejscu zrobiłaby każda porządna młoda dziewczyna. Dobrze wiesz, że Aurora nie za bardzo potrafi sobie poradzić w takich sytuacjach. Ona się po prostu boi. Ty musiałaś...

- Nie o to mi chodzi! Przegnanie pijaczyny to żaden problem, ale, mamó... on zmarł. Ludzie mówią... ludzie mówią...

Johanna nabrała głęboko powietrza w płuca. Konie przestały pić. Stały teraz, obwąchując świeżą trawę tuż nad wodą, skubnęły trochę, przeżuły obojętnie. Najadły się do syta soczystej trawy w górach, trafiło im się też kilka kawałków chleba od uradowanych służących.

Johanna doskonale wiedziała, że głos nie może jej zdrześć.

- Ty nie masz nad tym władzy, Reino. Nie możesz zażyczyć sobie, by ktoś umarł, i to się zaraz stanie. To tylko stare przesady, dobrze o tym wiesz.

Reina odwróciła głowę.

Johanna pogładziła ją po ramionach.

- Nie myśl o tym. On się zapił na śmierć. Takim jak on nikt nie zdoła pomóc. A gdyby jacyś głupi ludzie uważali, że ty... że ty... Nie, przyrzekam ci, że nikt nie myśli tak na poważnie. Mimo wszystko żyjemy w tysiąc siedemset sześćdziesiątym czwartym roku, Reino! To nie jest ciemne średniowiecze!

Córka z namysłem pokiwała głową.

Ojciec znalazłby odpowiedź. On na pewno także pogładziłby ją z czułością, ale by zrozumiał. Odpowiedział na to, o co nie miała śmiałości spytać. Westchnęła, co miało oznaczać ulgę, i uśmiechnęła się do matki.

- Jedźmy dalej. Okropnie mnie boli pewne miejsce, a Ciebie? Jak tylko wrócimy do domu, zaraz wyciągnę się na łóżku. Ale na brzuchu!

Johanna roześmiała się już swobodniej.

- Dobrze nam to zrobi! Gdybyśmy częściej jeździły konno, nie byłybyśmy teraz takie zdrętwiałe i obolałe.

- No to będziemy jeździć - uśmiechnęła się Reina. - Teraz, zanim znów nadejdzie zima. Ach, mamó, na koniu można tak prędko dotrzeć na miejsce, zupełnie jakby się frunęło! To niewiarygodne!

Johanna przytaknęła.

- To właściwie prawie straszne, że ludzie są w stanie przemieszczać się tak prędko. Można by pomyśleć, że człowiek wręcz oszalał, to wbrew naturze! Ale jakże przyjemne!

Reina się z nią zgodziła.

- Wiesz, mamó, pewnej nocy przyśnił mi się koń, który umiał biec dziesięć razy szybciej. Pędził tak, że drzewa tylko migwały przed oczami, jakby były jedynie wąską smugą mgły widoczną kątem oka. Leciał tak prędko, jak żadne zwierzę nie potrafi, jakby miał skrzydła! Ale to było takie rzeczywiste, mamó. I ten koń błyszczał srebrem i złotem.

- Niezwykły sen, ale bardzo piękny. Reino, czy wciąż jeszcze często coś ci się śni?

Córka lekko kiwnęła głową. Stary cień ciężko legł jej na czole. Zaraz jednak się uśmiechnęła.

- Teraz jest już łatwiej, mamó. Więcej rozumiem, nie boję się. Johanna pokiwała głową. Rzadko odważała się poruszać ten temat, ale pytania same cisnęły jej się na usta. Niekiedy w bezsenne noce przewracała się w łóżku z boku na bok, cała w strachu o to, ile zdolności Raviego mogły odziedziczyć dzieci. Na co dzień niewiele na to wskazywało. Reina była młodą dziewczyną, taką jak wiele innych. Trochę oporną, niestałą, czasami milczącą i chowającą się przed światem, lecz umiała także śmiać się i żartować. Miała też naprawdę bystry umysł, jeśli chodzi o wiedzę z książek. Była też cierpliwa i dobra dla chorych. Jedyne, co mniej podobało się w niej Johannie, to niezwykle kategoryczne wyroki, jakie wydawała na tych, którzy jej zdaniem źle postąpili. Ale tak to już chyba bywa z młodymi. Ona sama też dawniej taka była. Kiedy nie wie się dostatecznie dużo o życiu, łatwo dzieli się ludzi na dwie grupy tych, których się lubi, i tych, których się nie lubi.

Dosiadła konia. Stara klacz stała nieruchomo i pozwoliła Johannie wspiąć się na jej grzbiet z kamienia. Reina wsunęła tylko stopę w strzemień i z młodzieńczym zawadiactwem podciągnęła się w górę. Jechała na męskim siodle, w rozkroku, Johanna nie miała zamiaru przywoływać jej za to do porządku. Podczas wycieczek po nierównym terenie ten sposób siedzenia gwarantował znacznie lepszą kontrolę nad zwierzęciem. Co innego, gdy się jechało do kościoła albo drogą przez wieś, gdzie wszyscy mogli obserwować.

Zwolniły. Każdy krok konia sprawiał, że w plecach odzywał się tępy ból. Reina z

uśmiechem odwróciła się do matki.

- Zostało ci trochę tej miętowej maści? Obawiam się, że nie dam rady nawet zsiąść z konia. Mój Boże, ależ wstyd!

Matka unosiła się w strzemionach z tym samym grymasem bólu na twarzy.

- Chyba niemądrze było wybierać się na taką długą wycieczkę bez żadnego przygotowania, ale mam nadzieję, że jakoś to przeżyjemy.

- Cha, cha, jeśli tylko uda nam się nie siadać na stołku przez następne trzy albo cztery dni! - zaśmiała się Reina.

To był naprawdę dobry dzień. Johanna czuła, jak przyjemne zmęczenie miesza się z napięciem mięśni. Tej nocy bez względu na ból na pewno będzie dobrze spała. To zdrowy ból, taki naturalny, i nie martwił jej nawet po części tak bardzo jak ten, który niekiedy wypływał z jej wnętrza.

Ingalill siedziała przy pięknym sekretarzyku i wyglądała na trochę rozłoszczoną. Przed sobą miała papier i atrament. Gryzła stary pojemnik na pióra, należący do Benjamina.

- Gdzie wyście byli? W letniej zagrodzie? Dlaczego nie mogłyście poczekać do soboty, żebym mogła się wybrać z wami? Spotkałyście kogoś? Przywiozłyście słodkie mleko?

Reina wykrzywiła się i roztarła biodra.

- Nie masz nam czego zazdrościć, chyba umrę! Mamo, daj tę maść, tak cię proszę...

Johanna uśmiechnęła się szeroko, ale i ona poruszała się z wysiłkiem, przechodząc przez pokój i kierując się do szafki w rogu. Zajrzała już do chorych i zamieniła kilka słów ze służącą. W domu panował spokój. Nie było żadnych wizyt poza chłopcem z Rodstova, który przyszedł po lekarstwo dla swojej siostry. Dziś przyniósł pieniądze i rozliczył się także za poprzednią porcję.

- Ale dlaczego w ogóle pojechałyście? Przyszłam do pustego domu i służąca powiedziała, że niedługo wrócicie. A przecież teraz jest późny wieczór!

- Powinnaś była położyć się spać - krótko powiedziała Johanna. - Nie jesteś zmęczona? Strasznie chyba się tam trudzicie w oczekiwaniu na wizytę komisji.

Ingalill kiwnęła głową.

- Tak, tak, owszem, ale teraz cały dom już aż łśni. Są nowe materace i nowe okno. I już niedługo wymurują do końca nowy piec. Na zimę nie będzie już tego kwaśnego dymu. I muszę ci powiedzieć, że dzisiaj przyłączył się do nas Lillen! Szorował próg, aż mu krwawiły palce!

Johanna uniosła brwi w górę. Lillen siedział uwiązany w kącie obory dla owiec tak

długo, że gdy po śmierci rodziców zabrano go do przytułku, nie umiał nawet chodzić. Miał mniej więcej czternaście lat i czołgał się po ziemi jak zwierzę. Nikt nigdy nie widział, żeby się uśmiechał albo płakał, a cóż dopiero, by wykonywał jakąś naprawdę ludzką czynność albo pracował.

Reina z powagą kiwnęła głową.

- Naprawdę świetnie się spisujesz, Ingalill, a wygląda na to, że jest ci z tym dobrze! Pamiętasz, jak po pierwszym dniu zaklinałaś się, że twoja noga więcej nie postanie w tym strasznym miejscu? Ingalill łaskawie przytaknęła.

- Rzeczywiście, postawiłam cały ten przytułek na głowie. Nic nie jest już takie jak przedtem. I pastor jest ze mnie bardzo zadowolony.

Johanna nie mogła zaprzeczyć. W istocie, praca Ingalill wzbudziła zainteresowanie w całej parafii. W jakiś tajemniczy sposób przekazano też nowe środki na prowadzenie przytułku. Pieniądze łożyli teraz również ludzie, którzy nie mieli wcale takiego obowiązku. I to w chwili, gdy tak strasznie narzekano na podatki na rzecz najuboższych!

- Pokazałaś, że jesteś mądra. Ludzie wybaczą ci twoje... błędy. Może już o wszystkim zapomnieli, Ingalill? Gdy twoja matka przyjedzie na jesienne święto, już ja jej powiem, jak się spisujesz. Będzie z ciebie naprawdę bardzo dumna!

Ingalill uśmiechnęła się chytrze i odłożyła pióro.

O, tak, matka na pewno pęknie z dumy, chociaż Johannie zapewne nie spodoba się to, co się stanie. Za to Helena będzie bardzo, bardzo dumna, widząc swoją córkę jako gospodynię w jednym z największych gospodarstw w Lyster!

Cała ta sprawa z przytułkiem dla umysłowo chorych była niezwykle męcząca. Ale to się opłaci. Już się opłaciło, po stokroć, chociaż nienawidziła każdej spędzonej tam chwili.

Będzie musiała wytrzymać jeszcze kilka tygodni.

Jeszcze kilka razy zniesie wycieranie gówna po tych ludzkich wrakach i ich obmacywanie jak zmalretowanych psów.

Pokiwała głową do siebie.

O, tak, warto. Nawet te ohydne chwile z głową śliniącego się Magnusa Storlendet na kolanach są tego warte. Tak, tak, to zdoła zrównoważyć wszystko!

Pod świerkiem stał Gjert i prawie nie śmiał oddychać.

Ona przyjdzie. Przemknie się bezszelestnie przez tę krótką drogę od przytułku do tego miejsca. Spotykali się tutaj co drugi dzień, czasami na dłużej, kiedy zostawała sama z szaleńcami i nikt nie pytał, w jakiej to sprawie gdzieś się wybiera.

Ostatnio trudno im się było rozstać. Dziewczyna była taka onieśmielona, a on nie

chciał puścić jej od siebie. W zielonych oczach coś lśniło, czyżby lęk?

Poczuł, że cały mięknie. Musiał nabrać powietrza, chociaż dźwięk jego oddechu mógł mu przeszkodzić w usłyszeniu lekkich kroków, które wkrótce przyprowadzą ją do niego.

Ostatnim razem tak płakała, szlochając opowiadała fragmenty koszmarów, które jej się zwidywały. Wyznała mu też, że jakiś obcy człowiek tam w Sogndal ścigał ją i brutalnie się z nią obszedł. I że z tego właśnie powodu musiała iść na służbę do żony swego ojca tu, w Lyster.

Zrozpaczony kręcił głową, gdy przyznała, że gdyby Johanna dowiedziała się o tych spotkaniach, to drzwi do Vildegard pozostałyby przed nią zamknięte już na zawsze. Nie bardzo to rozumiał, wiedział jednak, że dziewczyna ma rację. Johanna była nieprzejednana. Jego brat zabił jej babkę, lecz to jeszcze nie wszystko. Zaczęło się od Erlenda, tego chłopaka, którego Gjert ledwie pamiętał jako ciemnowłosego porywczego łobuziaka. Odkąd Erlend dorósł, nigdy nie spotkał się ze stryjem, nawet Magnus trzymał się odeń z daleka, kiedy wójt postawił zięcia przed sądem i rozpoczęły się tamte upokorzenia.

- Ktoś się o ciebie zatroszczy, moja droga Ingalill. Naprawdę możesz w to wierzyć teraz, kiedy jesteśmy przyjaciółmi.

Popatrzyła na niego przez łzy i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Taką białą miała skórę. Jakże śliczne były te drobne piegi u nasady nosa. Była młoda, zwinna i taka świeża.

Gotów byłby ją zjeść. Miał ochotę objąć ją mocno i obiecać wszystko, co tylko istnieje na świecie. Wciąż jednak nie nadszedł jeszcze na to czas. A ona ciągle była taka nieśmiała.

Jego plan był jasny. Krok po kroku będzie ją przekonywał, że musi zaufać swoim wizjom: sama mu przecież powiedziała, jak bardzo nią wstrząsnęło, gdy po raz pierwszy rozpoznała w nim postać ze swoich snów.

- To dlatego wydaje mi się, że tak dobrze cię znam, Gjert. Dlatego ośmielam się wszystko przed tobą zdradzać. Wszystko, czego nigdy nie ośmieliłam się powiedzieć nikomu poza moim ojcem.

On ciężko skinął głową.

Magnus wciąż miał na tyle rozumu w głowie, by wściekać się na sam dźwięk nazwiska Raviego Reinssonna. Czy wiedział, że ta piękna młodziutka kobieta, dzięki której życie skazanego za morderstwo na przytułek dla umysłowo chorych trochę się polepszyło, to jego rodzona córka?

Przypuszczał, że tego Magnus by nie pojął. W ciągu ostatnich lat powoli zapadał się coraz głębiej w zapomnienie i cofał w czasie. Znów był jak dziecko, niekiedy popłakiwał za

matką, innymi razy złościł się i nie znajdował słów na swój ból.

Gjertowi bardzo go było żal.

Niekiedy odchodził z przytułku, czując, jak ostrze noża płonie w pochwie. Prawdziwy brat nie zawahałby się przed zatopieniem stali w sercu Magnusa i oszczędzeniem mu kolejnych cierpień.

On jednak nie potrafił tego zrobić.

Chociaż Arill nie był pełnoletni, a spadek byłby duży.

Zamiast tego pokładał swą nadzieję w tym, że ostry chłód zimą, otwarte rany i podła strawa położą kres cierpieniom Magnusa.

Tak się jednak nie stało. Jego brat zaczynał dożywać sędziwego wieku. Żył jakby wszystkim na przekór.

A Ingalill, nie zdając sobie z tego sprawy, wszystko pomieszała. Pielęgnowała cuchnących szaleńców, swymi czułymi rękami i dodającymi otuchy próbami rozmowy wydłużała ich życie o całe miesiące i lata.

Cóż, to tylko część jej wielkiego serca, zdolności i troskliwości. To wspaniała kobieta, a stanie się jeszcze wspanialsza. Przypuszczał też, że jako gospodyni na Storlendet dość będzie miała innych zajęć.

Gospodyni na Storlendet...

Zamierzał ją o to spytać, gdy nadejdzie właściwa pora. Kiedy otrzyma jeszcze kilka dowodów na to, że ta młoda kobieta, z którą spotykał się pod świerkiem, naprawdę jest w stanie ochronić go przed złym losem, który jego zdaniem go prześladował.

Ach, jest nareszcie.

Uśmiechnęła się do niego blado i nachyliła pod ciężkimi gałęziami.

- Godzina wybiła, Gjert. Potrzebna mi teraz pomoc wszystkich przyjaciół, jakich tylko mam na świecie. Bestia zerwała się z uwięzi i już niedługo się na nas rzuci.

- O czym ty mówisz? - jęknął.

- Johanna przysłała. Ja... musiałam wyznać jej całą prawdę. O nas...

- O... nas?

Trochę zakręciło mu się w głowie. O co jej chodzi? A jednocześnie w piersi ścisnęło się ze strachu i radości. Ingalill popatrzyła mu prosto w oczy.

- Ty znasz moje sny, wiesz, że są czymś więcej. Ze znam dzień, zanim on jeszcze nadejdzie, a ten dzień oglądałam już nieraz, Gjert. Dzień, w którym mężczyzna z moich wizji zmieni się w człowieka z krwi... - Położyła mu rękę na piersi. - ...i kości.

Palcem lekko musnęła mu wnętrze nadgarstka.

Wypowiedziane ściszym głosem wyznanie, lekki dotyk, przyjazny, a zarazem tak intymny, wszystko to sprawiło, że nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

Ingalill uśmiechnęła się zadowolona.

- Wiedziałam, że tobie mogę zaufać. Gjert cały zadrżał, próbował przemóc uścisk w gardle. Ale serce tłoczyło w jego żyły ogień. Z wahaniem postąpił o krok do przodu, a Ingalill padła mu wprost w objęcia. Poszukał jej warg, chciał wszystko przypieczętować bez jednego słowa. Ona jednak odwróciła twarz i szepnęła w powietrze:

- Wydaje mi się... wydaje mi się, że najlepiej zrobimy, jeśli się teraz rozstaniemy i następnym razem spotkamy się już w innym miejscu. W zupełnie innym miejscu...

Zaskoczony pokiwał głową. Ingalill wyrwała mu się, na pożegnanie posłała mu jeszcze buziaka.

- Daj mi znać, to stawię się ze świadkiem w gabinecie pastora! Został sam, kompletnie zaskoczony, lecz jednocześnie dziewczyna porwała go ze sobą w wir, któremu wcale się nie opierał. Głowę ogarniał mu cudowny chłód, odpędzając wszelkie koszmary. Ona traktowała go po prostu jak swoją wyznaczoną jej przez kogoś odgórnie własność, i to już od czasu ich pierwszego spotkania. A najdziwniejsze, że on w głębi swej duszy całkowicie przyznawał jej rację.

Ona była niczym dar zesłany przez Boga.

Wszystko inne, co go dotychczas spotkało, to jedynie konieczne zakręty na drodze życia. Ona natomiast stanowiła jej cel. Ona i to życie, które za jej sprawą sobie zapewni.

Tej nocy mógł spać spokojnie. Ona bowiem uniosła lekko zasłonę, skrywającą to, nad czym stale się zastanawiał: jego przyszłość. Jako pięćdziesięcioletni mężczyzna nie miał żadnej przyszłości, jako zarządca dóbr starszego brata posiadał wiele, lecz zarazem nic.

Ona mogła mu dać wszystko.

Gjertowi, gdy poprawiał czapkę, drżała ręka.

Wciąż czuł palące spojrzenie jej oczu.

Ach, Boże, cóż to za oczy!

Przełknął z trudem ślinę. Jeszcze przed stu laty spalono by ją żywcem na stosie. Pięćdziesiąt lat temu byłaby prześladowana i wyklęta, ale czasy się zmieniały. Sędziowie już nie tak łatwo pozwalali się zwieść ludzkiemu gadaniu o uroczych oczach kobiet.

Ta dziewczyna jest jasnowidzem. Jednym z tych rzadkich ludzi, dla których żywił tak wielki szacunek i tak bardzo się ich lękał.

A była przy tym dobra, ciepła i życzliwa. Biedna, udręczona dziewczyna, którą on się zajmie i którą będzie chronił!

O zmierzchu Gjert ruszył wolno do domu, z każdym krokiem coraz bardziej nabierając pewności: To niebiosy mu ją zesłały. Ona pokaże mu odrobinę raj, a on odzyska przy niej swą własną utraconą młodość.

Pani Johanna zaś może sobie jedynie bezsilnie patrzeć, jak dziewczyna, którą spłodził jej własny małżonek, mająca wszak też prawo do Vildegard, zostanie panią domu Magnusa Storlendet.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Reina słuchała, jak Ingalill głośno podśpiewuje, widziała też jasnoczerwoną poświatę wokół ciała dziewczyny. Ingalill była zadowolona, ogarnęło ją jakieś nowe szczęście, widać musiała mieć niezwykły powód, by z rękami zanurzonymi w cuchnące ostre ługowe mydło śpiewać.

Co się działo?

Przez całe lato Ingalill dopisywał stale dobry nastrój i optymizm. Reina musiała przyznać, że nabrała znacznie większego szacunku dla przyrodniej siostry. Ingalill nie stroniła już od pracy, nie podlizywała się ani też nie była zazdrosna. Robiła wszystko, co do niej należało, a właściwie znacznie więcej, jeśli wziąć pod uwagę dni spędzane w przytułku dla umysłowo chorych. Tej pracy nikt jej nie zazdrościł. Reina jednak na własne oczy widziała zmiany, jakie tam zaszły: tym nieszczęsnym ludziom żyło się nieco lepiej, chociaż czyste ubranie i jeden porządny posiłek jako dodatek do pomyj, które dostawali, wciąż trudno było uznać za godziwe warunki.

Ingalill próbowała też rozmawiać z nieszczęśnikami, śpiewała im i nikt nie ośmielił się choćby wspomnieć, że głos, ma łagodnie mówiąc, średni.

Była w świetnym humorze, praca zrobiła jej więcej niż dobrze, Reina jednak nie mogła uwolnić się od myśli, jak długo to może potrwać. Jeśli taki humor Ingalill utrzyma się dłużej, to jej straszne doświadczenia z Sogndal należy uznać raczej za cud niż za zbrodnię.

Johanna też była zadowolona. Nie pilnowała już tak bacznie każdego kroku Ingalill. Wczoraj wysłała ją nawet do Dosen po paczkę, która powinna była nadejść łodzią towarową, a łódź, jak widzieli, przybiła do brzegu w sobotni wieczór.

Ingalill krzyknęła do Reiny:

- Na co się tak gapisz? Coś się stało? Czyżby wyrósł mi na twarzy drugi nos?

- Nie, nie, ja tylko... Przepraszam, zatopiłam się we własnych myślach.

- Ale gapiałś się na mnie! Co się stało, Reino? Zrobimy sobie przerwę? Ręce cię bołą?

Reina popatrzyła na swoje krótkie palce. Rzeczywiście były całe podrażnione i czerwone.

- Dobrze, możemy przerwać. Usiądziemy przez chwilę na słońcu. Nie wiadomo, ile takich pogodnych dni nas teraz jeszcze czeka...

Ingalill prędko wytarła ręce w spódnice i wyszła za Reinę. W domu ognia było znacznie cieplej i wilgotniej niż na dworze, gdzie powiew wiatru pochylał żółtą trawę i

przynosił zapach dojrzewających wiśni z ogrodu Marji.

Ramiona Reiny pokryły się gęsią skórką. Nie miała siły, by wiele mówić. Zresztą nie było to wcale konieczne, Ingalill bowiem plotła za dwie. Reina nie bardzo jej słuchała, nagle jednak poczuła mocne szturchnięcie w bok.

- Odpowiadajże, Reino, czyś ty całkiem zwariowała? Co cię tak dręczy? Reina prędko pokręciła głową.

- Nic, nic takiego, chyba nie bardzo uważałam, co mówisz. Co powiedziałaś?

Ingalill nachyliła się nad nią z szelmowskim uśmiechem.

- Pytałam, czy widziałaś ostatnio Arilla Storlendet. Prosił, żebym cię pozdrowiła, kiedy go spotkałam wczoraj na przystani. Zawsze każe mi przekazać pozdrowienia dla ciebie.

Twarz Reiny się napięła. Wiele siły włożyła w to, by wyglądać na zirytowaną i obojętną zarazem. Ale w brzuchu ją zakreśliło, jakby pełzały po nim jakieś ogniste żuki.

- Nic mu nie przyjdzie z pozdrawiania mnie i on dobrze o tym wie. A ty, Ingalill, powinnaś już do tej pory pojąć, że matka oczekuje od nas pewnego zrozumienia dla tej sytuacji. Znow się jej sprzeciwiłaś!

Ingalill uśmiechnęła się pod nosem, zaczęła urywać płatki ze zwiędłego kwiatu rumianku.

- To już teraz nie potrwa długo, Reino. Reina wolno odwróciła do niej głowę. Jej niepokój jeszcze się zwiększył.

- O czym ty mówisz? - spytała cicho. Oczy Ingalill zapłonęły, a na twarzy z podniecenia wystąpiły drobne czerwone plamki.

- Mimo wszystko nie będę u was mieszkać tak długo, Reino. Widzisz, mam zalotnika...

- Naprawdę? - zdumiała się Reina. Najpierw ogarnęło ją poczucie ulgi, zaraz jednak do głowy wpadła straszna myśl.

- To chyba nie jest... Arill? Ingalill dalej skubała płatki rumianku i na tyle długo zwlekała z odpowiedzią, że Reina wpadła niemalże w histerię.

- Drwisz sobie ze mnie, drwisz! To niemożliwe! Matka cię zabije!

Ingalill przewróciła się na plecy, głośno śmiejąc się z rozpaczliwego gniewu Reiny.

Potem siadła, otrzepała paprochy z bluzki. Wyciągnęła rękę i pogładziła Reinę po policzku jak dziecko.

- Uspokój się, siostrzyczko. To nie Arill. Reina westchnęła z ulgą, ale Ingalill nie mogła się już dłużej powstrzymać. Cicho, lecz z nieskrywanym uporem w głosie wyszeptała imię swego wielbiciela.

Reina miała wrażenie, że cała krew odpływa jej do brzucha. W sercu poczuła ból, jakby rozdarła je ostra stal.

- Chyba całkiem już oszalałaś! Ten stary wieprz! Ten... ten... Ingalill ciągnęła spokojna:

- Nie jest wcale aż taki stary i wcale też nie jest wieprzem. To dorosły, solidny człowiek. Nie wiesz, że był żonaty z córką wójta?

- Owszem, ale wiem też więcej. Plotki o nim... Ingalill zrobiła zasmuconą minę.

- A więc jest nas dwoje. Być może to jeszcze kolejny dobry powód, ażebyśmy się pobrali.

Reina usiłowała oddychać spokojnie i jakoś przetrwać tę nowinę. Istniała pewna szansa, że Ingalill fantazjuje. Zdarzało się to już wcześniej, wymyślała przecież starających się, a nawet narzeczonych. Tak przynajmniej Reina wносиła z rozmów matki z Heleną. Mówiły, że Ingalill jest szalona i nierozumna. No, ale to...

- Matka... wpadnie we wściekłość. Czy uważasz, że dobrze jej się odpłacisz za to, co dla ciebie zrobiła?

Ingalill spoważniała, złapała Reinę za rękę.

- Pokochałam mężczyznę. Czy twoim zdaniem powinnam przez poczucie wdzięczności pozwolić mu odejść?

Reina musiała to zaakceptować. Ingalill miała trochę racji. Ale Reina doskonale zdawała sobie sprawę, że wybuchnie awantura nie z tej ziemi, a ona będzie musiała stanąć na samej linii ognia. W tej sprawie matka jednocześnie miała rację i jej nie miała, a zachowania Ingalill mogła zarówno bronić, jak i je ganić.

Ale to było słuszne. Ingalill musi mieć możliwość poślubienia Gjerta, jeśli naprawdę go polubiła. Ten człowiek mógł jej zapewnić dobre życie, prawdopodobnie również później, kiedy Arill przejmie gospodarstwo.

Przecież istniało ryzyko, że Ingalill czeka coś w rodzaju dożywocia, jeszcze w młodym wieku. Czy pomyślała o tym?

Reina odchrząknęła, starając się nie być zanadto odpychająca. Ale czuła, jak serce mocno bije jej w gardle.

- Naprawdę tego chcesz, Ingalill? Przyrodnia siostra z całym spokojem skinęła głową.

- Będzie awantura, dobrze o tym wiesz. Jak sądzisz, czy twoja matka wyrazi zgodę? Bo bez jej zgody nie możesz wyjść za mąż, jesteś jeszcze za młoda...

Ingalill uśmiechnęła się chytrze.

- Sądzę, że nie będzie się sprzeciwiać. Ona wcale tak bardzo się nie boi twojej matki, a

tatuś na pewno by mnie poparł, jestem o tym przekonana.

Reina zastanowiła się nad tym przez chwilę. No tak, być może Ravi wstawiłby się za prawem Ingalill do zawarcia małżeństwa z własnej woli, ale ślub z człowiekiem, w którego żyłach płynie krew Storlendet, na pewno by go nie ucieszył.

Głośno powiedziała:

- Sądzę, że moja matka musi to zaakceptować. Twardy to będzie dla niej orzech do zgryzienia, lecz musi się z tym pogodzić. Być może zresztą czas najwyższy, by ugasić tę nienawiść, płonie już dostatecznie długo i wielu się od niej poparzyło.

Ingalill z zapalem przytaknęła.

- No właśnie, prawda? Oczywiście bardzo przykre jest to, co się stało z Marją, ale przecież ten człowiek był szalony. Zresztą podobne rzeczy zdarzały się już wcześniej i nie wybuchały z tego powodu właśnie pomiędzy całymi rodzinami. Twoja matka tak bardzo by chciała być miła i dobra, pomagać wszystkim tym, którzy cierpią. Jak więc może być taka twarda w stosunku do własnej rodziny? Reino, musisz z nią porozmawiać! Nie chcę, żeby doszło do wojny. Nie chcę być twoim wrogiem...

Reina usiłowała doszukać się tego, co kryło się za otwartą twarzą Ingalill. Nie mogła się w tym wszystkim połapać. Coś tu było nie tak, jakieś niedopowiedzenia, niejasności. A ramiona pokryły jej się gęsią skórką, chociaż słońce tak jasno świeciło. To jeszcze jeden znak, że Ingalill nie jest tylko młodą zakochaną narzeczoną.

- Zobaczymy, czy czas coś zmieni - mruknęła, czując się niemądrze. - Chyba zaręczyny nie odbędą się tak od razu? Chyba tak bardzo ci się nie spieszy, Ingalill? No i lubisz tę swoją pracę w przytułku?

Ingalill zamknęła oczy i wtuliła głowę w ramiona. Na twarzy ukazał jej się wyraz niesłychanego zadowolenia.

- Zobaczymy - powiedziała tylko.

- Nie możesz nic mówić mamie, dopóki nie wiesz wszystkiego na pewno. Inaczej, obiecuję, zaraz odeśle cię z powrotem na Meisterplassen, bez względu na to, co cię tam czeka.

- O, nie, za nic w świecie, tam już nigdy nie wrócę! Chyba że zajadę paradnie w powozie z wielkim gospodarzem u mego boku. Wtedy dopiero zobaczą, Tore - Rybak i wszyscy inni, że ich podłe gadanie i złośliwości nie zdołały wyrządzić mi krzywdy!

Reina uśmiechnęła się blado.

- Wszystko na pewno będzie dobrze... Ale wstrzymaj się, Ingalill. Posłuchaj mojej rady. Ja znam matkę, wiem, do czego jest zdolna. Ona umie pociągać za sznurki. A tym, który będzie cierpieć najbardziej, może okazać się Gjert. Naprawdę, Ingalill, o niczym nie

wspominaj! Rudowłosa wreszcie jej to przyrzekła.

- Wiem, że masz rację. Nie wiedziałam, że zechcesz zachować to w tajemnicy. Nie zawsze przecież byliśmy przyjaciółkami. Ale ty jesteś osobą, której można zaufać, Reino, jesteś mądra. Naprawdę wydaje mi się, że i ty dorostaś, siostrzyczko!

Niełatwo było na to odpowiedzieć, ale Reina odwzajemniła uścisk Ingalill i życzyła jej szczęścia. Jeśli sprawdzą się najgorsze przeczucia Reiny, to dopiero wtedy będą się martwić. niesprawiedliwie jest tłumić oczywistą radość Ingalill jakimiś niemądrymi przepowiedniami.

Zresztą może wszystko to uległo się tylko w głowie rudowłosej dziewczyny.

A ów dręczący niepokój to tylko wymysł głowy Reiny.

Była całkiem nieprzygotowana na to, co miało się stać. Przyszły na wieczerzę i zastały Johannę bladą przy długim stole. Natychmiast przywołała je obie.

- Ingalill, jutro przyjeżdża twoja matka. Nie wspomnę o tej sprawie dziś wieczorem, bo na nic się to nie zda, ale wiedz jedno: To, co zrobiłaś teraz, rozdrapie niezaleczalne rany w naszej rodzinie. Dotknie to również twojej matki i przysporzy tak wiele trosk Bendikowi, że on to ciężko zniesie. Musisz wiedzieć, że takie zachowanie nie będzie akceptowane ani przeze mnie, ani też przez nikogo innego. To, co zrobiłaś, nie jest niczym innym, jak tylko zdradą. Możesz teraz iść do swego pokoju. Reino, ty zostaniesz. Masz prawo znać całą tę wstrętną historię.

Reina stała tak, jakby przymarzła do ziemi. Czują palący wzrok Ingalill na policzku. A więc Johanna już się dowiedziała. Czy to sam Gjert do niej przyszedł?

Ingalill nie wahała się długo. Z podniesioną głową lekko przeszła przez pokój i zniknęła na ganku. Odgłos jej kroków echem niósł się po domu pogrążonym w ciszy.

Reina siedziała przed Johanną.

Niemo modliła się o siłę na to, co teraz nastąpi. Nieczęsto sprzeciwiała się matce, na to miała dla niej zbyt wiele szacunku. Teraz jednak nie było innego wyjścia. Nienawiść między Storlandet a potomkami Karlsgard była niczym wrzód, któremu Johanna nie pozwalała opróżnić się z ropy. Reina pamiętała własne rozgoryczenie, gdy to pojęła. Musiała wówczas wykradać się z domu, żeby pobawić się z jedynym dzieckiem, z którym zabawę uznawała za wartą zwracania sobie głowy. Byli wtedy zaledwie dziećmi, samotnymi dziećmi, które surowość Johanny uczyniła jeszcze bardziej samotnymi.

Johanna złożyła dłonie.

- Wracalam właśnie do domu, wybrałam się razem ze służącymi po materiały, które były już gotowe. Spotkaliśmy Gjerta ze Storlandet, przywitał się z nami. Gdy, rzecz jasna, nie odpowiedziałam na jego pozdrowienie, ruszył za nami. On nas wyzwał, na oczach dziewcząt,

obrzucił nas najgorszymi wyzwiskami! To było bardzo nieprzyjemne, Reino, ale najgorsze... Najgorszy był wyraz ich twarzy, kiedy wykrzyczał, że zamierza poślubić... Ingalill!

Z trudem przełknęła ślinę. Wciąż miała obolałe gardło od gniewnego płaczu, który sprowokował Gjert.

- On... powiedział, że to już postanowione, że tym razem niech mi się nie wydaje, że mam nad wszystkim władzę. Twierdził, że to będzie ostateczne pojednanie i zakończenie tego, co określił niemądrą waśnią wywołaną przez moją młodzieńczą głupotę. Reino, tego nie mogę mu wybaczyć. To doświadczony przebiegły lis, który wykorzystuje Ingalill, żeby nam zaszkodzić!

Reina zamrugła powiekami, oczy miała suche. W milczeniu patrzyła na matkę, wiedząc, że najlepiej będzie, jeśli pozwoli jej dokończyć.

- Cóż, wydaje mi się, że dotknęła go ta sama choroba co brata. Tak też mu powiedziałam i wezwałam dziewczęta na świadków, gdy jesienią zgłoszę o tym na tingu. Takie zachowanie... Ten człowiek jest szaleńcem, a my musimy się przed nim bronić! Musimy chronić Ingalill! Na szczęście trzymamy się razem. Oby Bóg przyszedł nam z pomocą, to będzie naprawdę trudne. Ale się nie poddamy, o to nie musisz się bać, Reino.

Reina patrzyła, jak matka opuszcza ramiona. Najwyższa pora, by i ona coś powiedziała.

Upłynęły dwa dni, zanim łódź, która przywiozła Helenę i Bendika, przybiła do brzegu. Dopiero wtedy zawołano Ingalill z jej pokoju, w którym, nawet nie protestując, spędziła ostatnie dni. Reina przez cały czas nie przestawała się trząść i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nagle cała ziemia usunęła jej się spod stóp. Nie oczekiwała, że matka natychmiast zrozumie i się podda. Nie, nie, Johanna była uparta, tak jak zresztą ona sama. Nie liczyła się jednak również z tak niezłomnym gniewem matki.

A już na pewno nie spodziewała się, że poczuje uderzenie ręki Johanny na policzku. Nie był to mocny cios, lecz ten piekący ból głęboko zapadł dziewczynie w serce.

Krzyczały na siebie, jedno słowo pociągało za sobą kolejne. Reina chciała jedynie powiedzieć, że jej zdaniem Ingalill sama powinna załatwić tę sprawę i że być może to Bóg zrządził tak, by starą zapięklą nienawiść dało się wreszcie pogrzebać.

Właśnie wtedy Johanna dostała amoku.

I Reinie niewiele więcej udało się powiedzieć, wyjąwszy kilka rozpaczliwych gróźb: jeśli matka tak łatwo osądza ludzi, których nie zna, to znaczy, że nie jest tą osobą, którą Reina nauczyła się szanować.

I chociaż tego nie chciała, wykrzyczała swe rozgoryczenie z dzieciństwa. Johanna

całkiem poszarzała na twarzy, gdy w ten sposób dowiedziała się prawdy, jak to mały Arill Storlendet mimo wszystko dostał lekarstwo, bo zaniósł mu je jej rodzona córka.

Od tamtej pory nie rozmawiały ze sobą.

A atmosfera wcale się nie poprawiła, gdy wesoły Bendik wkroczył do pokoju i wyciągnął ręce do dwóch kobiet, siedzących każda w swoim kącie i zajętych czytaniem. Ledwie podniosły na niego oczy. Zaraz za Bendikiem wpadli bliźniacy, wysocy i jakoś gwałtownie dojrżeli. Węszyli w powietrzu, czyż na stole nie stoi jedzenie?

Helena pierwsza wyczula, że coś jest źle.

Zaraz zaczęła krzyczeć:

- Gdzie Ingalill? Co się stało? Ona chyba... nie... Johanna wstała.

- Nie, nie umarła. Nie jest też chora. Ale stało się coś strasznego. Heleno, musisz mi wybaczyć. Nie dopilnowałam jej tak, jak powinnam była. Jestem na to za ślepa i za głupia.

Bendik podszedł do niej ostrożnie, poszarzała twarz córki nie na żarty go zaniepokoiła. Johanna najwidoczniej ledwie nad sobą panowała.

- Musimy porozmawiać. Teraz - oświadczyła Johanna, posyłając bliźniakom znaczące spojrzenie.

Helena czym prędzej ich odesłała, prosząc, żeby zajrzeli do stajni albo może sprawdzili, czy wiśnie nadają się już do jedzenia. Wyszli chętnie, uprzednio rzuciwszy tylko kilka zdumionych spojrzeń w stronę tak dziwacznie zachowującej się Johanny.

Reina czekała, aż i ją wyrzucą, ale matka skinieniem głowy wskazała jej miejsce w dolnej części stołu.

Potem zaczerpnęła mocno powietrza w płuca i wypuściła diabła, który tak ją dręczył.

- Ingalill chce wyjść za mąż za gospodarza ze Storlendet. A on to potwierdził.

Baczenie przyglądała się tym dwóm twarzom. Nie spodziewała się prędkiej odpowiedzi. Helena i Bendik popatrzyli na siebie. Helena uchyliła usta, oczy miała wystraszone. Bendik za to położył dłonie na stół i powiedział tylko:

- Chce wyjść za mąż? Przecież ledwie skończyła osiemnaście lat! Johanna przełknęła ślinę.

- Dobrze wiesz, że to nie jej wiek stanowi problem, ojcze. Helena odzyskała wreszcie mowę.

- Co to za człowiek? Ledwie go widziałam, ale wiem, że nie bierze go dla urody. Poza tym to stary chłop!

Johanna wolno pokiwała głową.

- Owszem, stary i przebiegły. Zarządza dobrami Storlendet, dopóki Arill nie będzie

dorośli. Potem nie będzie miał nic.

Bendik gryzł górną wargę.

- Czy Ingalill nie powinna być przy tej rozmowie? - wtrąciła nagle Reina. Johanna udała, że nie słyszy córki, nawet na nią nie spojrzała.

- Jest parę rzeczy, o których chciałam wam powiedzieć, zanim ją tu sprowadzimy. Rzeczy, których nie powinna słuchać z moich ust w tym stanie, w jakim jest teraz.

- W stanie? - zdumiała się Helena. Johanna zaczynała się irytować.

- Nie w takim stanie, jak myślisz. Dziewczyna jest zaślepiona. Zbłąkana i, jeśli wolno mi tak powiedzieć, robi to na przekór.

Helena pokiwała głową. W zrozpaczonych oczach pojawił się też przeblysk dumy.

- Owszem, ona ma silną wolę, to prawda. Johanna ciągnęła ściszym głosem:

- Gjert cierpi na tę samą chorobę co jego brat. Wyraźnie widzę tego oznaki. Niedługo zupełnie oszaleje. Boję się, że pewnego dnia to on znów stanie z bronią wymierzoną w naszą rodzinę. Nie możemy ryzykować, by to spotkało Ingalill. Musicie jak najszybciej ją stąd odesłać, i to daleko. Mam parę kontaktów...

- Zaczekaj! Johanno, mówisz, że ona nie chce cię słuchać. Czy nie sądzisz, że my jako rodzice powinniśmy spróbować przemówić jej do rozumu?

- Próbujcie - powiedziała tylko. W drzwiach obróciła się.

- Reino, ty pójdziesz ze mną. Musimy zmienić opatrunki Yngvemu. Ale Reina złożyła ręce na kolanach.

- Nie, matko, ja też chcę wypowiedzieć swoje zdanie o tej sprawie i pragnę, żeby Helena i Bendik je usłyszeli.

Wtedy Johanna wyszła. Jej oczy jakby nie dostrzegały córki i Reina w duchu zaniósła się krzykiem. Mimo to musiała się teraz trzymać swego. Ingalill miała rację co do jednego: Wszystkim wyjdzie na użytek, jeśli dawny spór spocznie wreszcie w grobie.

Serce uderzało jej nierówno w piersi, ale oczy Bendika patrzyły życzliwie i mądrze.

- Słuchamy cię więc - powiedział cicho. Reina schyliła głowę.

- Nie starcza mi już sił, by dłużej znosić tę nienawiść - rzekła cicho. - Jeśli musimy pomóc Ingalill tak, żeby nie zrobiła czegoś, co obróci się dla niej na szkodę, jeśli jest tak, jak mama mówi, że ona jest zaślepiona i oszukana, to nie możemy do tego dopuścić. Ale Ingalill wygląda na zadowoloną, na szczęśliwą... Mam wrażenie, że ona go kocha, choć to może zabrzmieć dziwnie...

Helena lekko uśmiechnęła się do Reiny.

- Ingalill naprawdę nie brakuje szczęścia, skoro ma ciebie. Naprawdę jesteście teraz

przyjaciółkami?

Reina nic na to nie powiedziała.

- Być może istnieje sto powodów, dla których to małżeństwo nie powinno zostać zawarte, ale nienawiść mamy wobec wszystkich na Storlandet jest nieuzasadniona. Mamie wolno nienawidzić Magnusa, wolno jej nienawidzić Erlenda, lecz ich obu już teraz nie ma. Są martwi albo zapomniani. Nie mogą nas już skrzywdzić. A ten Gjert... on chyba nie ma powodu, by działać na naszą szkodę.

Bendik z namysłem pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że masz rację, Reino. Cieszę się, że to słyszę. Od dawna już uważam, że moja mała Hanna jest zbyt twarda. Dla jej własnego dobra powinna się już z tym uporać. A my musimy jej pomóc.

- Johanna wiele wycierpiała, ja ją rozumiem - łagodnie odezwała się Helena.

Reina czuła teraz łzy, cisnące się do oczu. Przytuliła się do ramienia dziadka, a on zaraz wziął ją na kolana jak małą dziewczynkę.

- Co mam robić? Ona się na mnie gniewa, nie chce mnie widzieć... Nie znosi, kiedy ja... że ja...

- Opowiedz teraz o wszystkim - spokojnie poprosił Bendik. Reina się rozszlochała.

- Ja nie umiem ich nienawidzić, nie potrafię! A wtedy... wtedy ona mówi, że nie jestem dobrą córką! Że nie jestem lojalna!

Bendik pobladł.

- Johanna nie mogła tak powiedzieć. Reina płakała teraz dziko na jego piersi.

- Tego akurat nie mogła powiedzieć - powtórzył Bendik.

- Może i nie, ale tak właśnie myśli - szlochała dziewczyna. Bendik kołysał ją spokojnie.

- Nie wydaje mi się, żeby tak było, moja kochana. Twoja mama kocha cię bardziej niż kogokolwiek innego. Nigdy by...

- Gdybym to ja miała wyjść za Gjerta Storlandet, to wolałaby mnie zabić, niż włożyć mi na głowę ślubną koronę!

- To bzdury! Oczywiście, może by się nie ucieszyła, ale... Od drzwi rozległ się głos, ściszony i beznamiętny.

- Ona ma rację - oświadczyła Johanna. - Wolałabym ujrzeć moją córkę martwą anizeli w rękach takiego potwora.

Płacz Reiny ustał jak ucięty nożem. Ukryła jednak twarz w fałdach koszuli Bendika. Dziadek siedział całkiem nieruchomo. Usłyszała, jak zgrzyta zębami.

Helena oddychała lekko i nerwowo jak wystraszony zając. Johanna bezszelestnie podeszła do szafki i wyjęła z niej maść na rany, której jej zabrakło.

- A gdzie się podziała Ingalill? - spytała, dumnie odrzucając głowę, zanim znów nie wyszła.

Helena podniosła się na drżących nogach.

- Zaraz przyprowadzę moje biedne dziecko - powiedziała słabym głosem. Spojrzenie, które posłała drzwiom, przez które wyszła Johanna, sprawiło, że Bendikowi ciarki przebiegły po plecach.

Już wcześniej widział takie spojrzenia Heleny wymierzone w Johannę.

Ale to było bardzo, bardzo dawno temu.

Dokumenty zostały spisane w pewien późny wieczór w gabinecie pastora, a przy niezbędnych podpisach przyłożono woskowe pieczęcie.

Gjert nie przyjął nazwiska od nazwy zagrody i Ingalill uśmiechnęła się lekko, uświadomiwszy sobie, że do tej pory nie wiedziała, jak się nazywa jej przyszły mąż. Przyprowadził ze sobą na świadków Idę o zapadniętych policzkach, a także sąsiada Larsa. Ze strony Ingalill stawił się jej nie tak dawno ustanowiony opiekun, mążzonek matki, Bendik Karlsson Meisterplass, zamiast ojca, którego utraciła.

Obecny był także Dominikus Lemvig, jedyny z zamożniejszych mieszkańców wioski, który się na to zgodził, kiedy Bendik jeździł od zagrody do zagrody, prosząc ludzi na świadków.

Widać władza Johanny sięgała daleko.

Nawet pastor z powątpiewaniem mrużył oczy, gdy przedłożyli mu tę sprawę. Uśmiechnął się jednak i pokiwał głową, gdy o blat stołu zadzwoniły szylingi, a Bendik przypomniał mu, że to całkiem zwyczajna sprawa, wchodząca w zakres jego obowiązków.

- No tak, przecież ona mimo wszystko nie jest już dzieckiem, a wiem też, że narzeczony to sprawiedliwy człowiek.

Inaczej nie obdarzylibyśmy go zaufaniem i nie wyznaczylibyśmy na opiekuna bratanka - przyznał pastor.

Sprawę więc załatwiono, a zapowiedzi miały zostać ogłoszone już na najbliższym nabożeństwie. Datę ślubu wyznaczono na sobotę przed świętem dziękczynienia. Natomiast młoda para otrzyma formalne błogosławieństwo na schodach kościoła po nabożeństwie w niedzielę.

Gjert stał przed pastorem wyprostowany jak struna w nowiusieńkim ubraniu, Ingalill zaś wystąpiła w tamtej czerwonej jedwabnej bluzce.

Helena miała głowę ciężką od myśli. Jakaś jej część odczuwała ulgę, Ingalill trafi w doświadczone silne ręce. A poza tym to dziecko się zmieniło. Sprawiała wrażenie łagodniejszej, spokojniejszej. Czy miłość odmieni ją tak, jak kiedyś odmieniła jej matkę?

Helena miała taką nadzieję.

Postanowiła, że starczy jej odwagi, by mieć taką nadzieję.

W głębi ducha jednak nie przestawała się dręczyć.

To wszystko było jakby nierzeczywiste, a wyraźne słowa Johanny nie przestawały dźwięczeć w uszach.

Jeśli naprawdę zdecydują się doprowadzić tę sprawę do końca, to nie będzie chciała ich więcej widzieć pod swym dachem, bo znaczyłoby to, że nie może im już dłużej ufać.

Bendik odpowiedział jej wtedy jakąś ciętą uwagą i Johanna spuściła oczy, lecz jej wyprostowany kark świadczył o tym, że dobrowolnie nigdy nie cofnie tych słów.

Cóż, jakoś się to pewnie ułoży. Za jakiś czas. Nawet Johanna nie jest na tyle uparta, by odrzucać całą swą rodzinę tylko dlatego, że nie poparła jej w tej jednej jedynej kwestii. No i przecież Ingalill nie była jej córką!

To Arill zaproponował na dziedzińcu probostwa, aby zebrali się na Storlendet, żeby kieliszkiem uczcić zaręczyny. Ingalill uśmiechnęła się uszczęśliwiona i złapała Gjerta za rękę.

- O, tak, przecież nawet nie widziałam mojego nowego domu! Ach, chodźmy, mamó, chodźmy!

Bendik wahał się: Jeśli chcieli mieć nadzieję na pojednanie z Johanna, lepiej unikać dalszych prowokacji. Ale Helena kiwnęła głową.

- Byłby wstyd, gdybyśmy w taki dzień nie przyjęli zaproszenia, Arillu Storlendet. Musimy przecież poznać też naszego przyszłego zięcia.

Słowa rosły jej w ustach. Nazywanie starszego od niej o dziesięć lat Gjerta zięciem wydawało się straszną omyłką.

No cóż, dziewczęta już wcześniej znajdowały szczęście z mężczyznami, którzy mogliby być ich ojcami. A Ingalill na pewno brakowało ojca, mężczyzny, dla którego mogłaby być najważniejsza. Widać teraz nareszcie go znalazła. I nawet pod patrzącymi badawczo oczami Heleny spojrzenia, jakie posyłał córce jej przyszły mąż, były pełne szacunku.

To, że nie pocałował jej natychmiast przy rodzicach, również bardzo im się spodobało.

Cała gromada wsiadła do wozów, a na zboczach ciągnących się do Storlendet ludzie szeroko otwierali oczy ze zdumienia na widok Bendika siedzącego ramię w ramię z Gjertem.

Do niedzieli sława o tych niezwykłych zaręczynach rozniesie się daleko.

Bendik uśmiechnął się z goryczą. Teraz nie było już drogi odwrotu. Wątpliwości, które go dręczyły, nie mogą dłużej nie pozwalać mu zasnąć. Wszystko spoczywało teraz w rękach innych. I miał nadzieję, że, na Boga, Helena miała rację, mówiąc, że to naprawdę świetne rozwiązanie dla Ingalill. W dodatku dziewczyna sama wybrała sobie taki los.

W małej alkwie Reina wyciągnęła się z rękami i nogami rozrzuconymi na boki. Leżała na plecach, pierś opuszczała jej się i podnosiła w nierównym rytmie, z czoła płynął pot.

Wiedziała, że to się już wkrótce skończy. Że te niesamowite wrażenia rozplyną się i na ich miejsce znów pojawią się znajome zarysy pokoju.

Musiała pozwolić, by same się rozwiały. Walka z nimi i tak na nic by się nie zdała, lecz w samym środku tego chaosu głośnym krzykiem protestowała przeciwko temu, co ją nachodziło i co niekiedy całkowicie przejmowało nad nią władzę, redukując ją jedynie do pozbawionego woli zwierzęcia.

Widziała rozmazane twarze, usta otwarte w krzyku, płomienie ogarniające jej nogi, które w jednej chwili zmieniały się w głęboką mroczną wodę.

Jakiś głos przedarł się przez wszystkie te poplątane obrazy, pragnęła sięgnąć do niego, przyciągnąć go bliżej. Ten głos bowiem zawsze brzmiał tak ciepło, tak delikatnie dotykał jej serca, przenikał w nią i tak bardzo chciał pomóc.

Nigdy jednak nie udawało jej się wychwycić słów. Niemo krzyczała, ogarnięta gniewem, że nie udaje jej się go pochwycić. Powtarzało się to za każdym razem.

W głębi ducha rozpoznawała ten głos.

Nie należał do żadnej żywej istoty.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

*Wrzesień*

Emmi, Diana, Aurora i Astrid otaczały kołem pannę młodą. Pośrodku siedziała Reina z Ingalill, bo tak jak nakazywał zwyczaj, inna dziewczica powinna rozczesać włosy panny młodej w dniu ślubu. Piękna przepaska przytrzymała lśniąca rudą grzywę włosów, umytych i wypłukanych w różanej wodzie i pachnących przy tym jak ogród.

Helena stała już gotowa, trzymając na poduszce ślubną koronę.

Reinę zakłuło w sercu, gdy uświadomiła sobie, że tę koronę nosiła niegdyś jej matka.

Delikatnie zadzwoniło srebro, gdy ciężka ozdoba spoczęła na głowie Ingalill. Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Przecież ja tego nie udźwignę! Przecież ona waży ze sto funtów!

- Na pewno udźwigniesz - uśmiechnęła się Helena. - Tak jak i inne dały sobie radę przed tobą. Będzie piękny dzień, deszcz już ustał.

Kobiety zajmowały się Ingalill, poprawiały śliczne haftowane wstążki, spływające po plecach dziewczyny. Srebro w większości pochodziło ze Storlandet, lecz Ingalill miała też własną niedużą broszkę i łańcuszek do sznurowania bluzki. W talii owijał ją pas pełen przekutych złotych talarów. Gjert otrzymał od lensmana pozwolenie na użycie tej starej ozdoby, będącej jedyną rzeczą, jaką udało im się znaleźć z wiana Ragny Irmelin.

Napili się chłodnego piwa z misy, nawet ona pochodziła ze Storlandet i wolno jej było użyć wyłącznie z okazji ślubu. Z zewnątrz dobiegały teraz śmiechy i krzyki, widać przyjechał wóz, który miał zabrać pannę młodą.

Później pojedzie wraz z mężem na Storlandet i nigdy więcej nie przekroczy już progu Vildegard.

Ale Emmi szepnęła dziewczynie do ucha:

- To przecież nie jest Vildegard. Johanna nie wspominała chyba nic o Zamku Marji?

Ingalill z namysłem pokręciła głową. Srebro w koronie znów delikatnie zadzwoniło.

- Nie, o Zamku Marji nic nie mówiła.

- Ona na pewno zmięknie, moja kochana. Nic się nie bój, wszystko się uspokoi. Nasza dumna Johanna musi się poddać, kiedy zrozumie, że ma w tej sprawie przeciwko sobie nas wszystkie.

Reina poczuła rękę Emmi na plecach. Wiedziała, że kobieta powiedziała to, żeby i ją pocieszyć. Ostatnie tygodnie były bardzo przykre, Reina przemykała się po kątach, a Johanna

nie mówiła nic więcej, poza tym co najkonieczniejsze do funkcjonowania gospodarstwa i szpitala.

Wyjeżdżała też konno sama, widać zapomniała o obietnicach kolejnych wspólnych wypraw z córką.

Reina westchnęła. Bendik chyba miał rację, Johannie potrzeba czasu. Gdy się zorientuje, że wszystko dobrze się układa, zrozumie, że ten ślub może okazać się błogosławieństwem nie tylko dla Ingalill i Gjerta.

Panna młoda ostrożnie przeszła przez pokój. Na jej nowy piękny strój zużyto mnóstwo materiału. Spódnice były aż cztery, jedna na drugiej, z cienkiej delikatnej wełny, a koszula z najdelikatniejszego jedwabiu, ozdobiona kolorowymi szwami. Do tego zaś krótki kaftan z najpiękniejszymi haftami, prezent od Gjerta dla narzeczonej z okazji zaręczyn.

Srebro, jak z przykrością jej powiedział, mogła tylko wypożyczyć...

Ingalill puchła z dumy. Krew szumiała jej w żyłach. Dostrzegała podziw w oczach innych kobiet i czuła się taka silna. Ogromnie się cieszyła, że uwaga wszystkich tego dnia skupi się na niej i nie mogła się już doczekać chwili, gdy nazajutrz rano przypnie do paska pęk kluczy.

Reina miała oczy smutne i puste.

Panna młoda lekko pocałowała przyrodną siostrę w policzek.

- Następnym razem twoja kolej, Reino. Zaczekaj tylko, a sama zobaczysz, jak to jest!

- Ja w to nie wierzę - odparła cicho Reina. - Ja nigdy, przenigdy nie wyjdę za mąż.

Ingalill wybuchnęła śmiechem.

- Zaczekaj tylko - powtórzyła. - Pewnego dnia pojawi się ten, który sprawi, że serce ci oszaleje!

Reina popatrzyła na Ingalill i pomimo najlepszych chęci nie była w stanie uwierzyć, że Gjert jest zdolny do takiej magii. Ale Ingalill promieniała. Oczy jej błyszczały.

A więc to chyba jednak cud.

Reina westchnęła cicho i sama zapragnęła zaznać podobnego cudu.

Musiała jednak zapomnieć o troskach i uśmiechać się w ten dzień radości dla Ingalill. W towarzystwie innych kobiet nie było to też wcale takie trudne, bo Astrid i Emmi prześcigały się dobrodusznie w najbardziej zawołowanych komentarzach dotyczących małżeństwa i płynących z niego radości.

Aurora jak zwykle była cicha i milcząca, choć kiedy jej matka wróciła latem do domu, policzki dziewczyny odzyskały dawne rumieńce.

- Tańczmy dziś i cieszymy się! - zawołała Diana. - A o tych, którzy nie zechcą się dziś

do nas przyłączyć, po prostu zapomnijmy!

Reina z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że matka nie położy się aż do świtu i będzie zapelniać kanciastymi literami swoją książkę. Na tym spędzała bezsenne noce. Reina podejrzewała, że Johanna przelewa na papier te wszystkie straszne słowa, których, jak wiedziała, nie może powiedzieć wprost.

Niewiele już ich zostało.

Wyrazu oczu matki, gdy Reina ujęła rękę Bendika, oświadczając, że chce być na tym ślubie, nie potrafiła zapomnieć.

Johannie wróci rozum. Po kilku tygodniach, może miesiącach pojmie, że to już minęło. Inaczej być nie mogło. Wszyscy jej przyjaciele, rodzina i sąsiedzi powoli się od niej odwracali. Po tym, jak po raz drugi ogłoszono zapowiedzi, wiele osób przyszło do Bendika, tłumacząc się, dlaczego nie mogli wystąpić jako świadkowie.

Najgorsza chwila nadeszła chyba wtedy, gdy Emmi i Diana oświadczyły, że oczywiście wybierają się na ten ślub.

Johanna musiała się przed tym ugiąć.

Tego Reina była pewna.

Czuła się jednak tak strasznie osamotniona. Po raz pierwszy w życiu tego dnia miała wrażenie, że jest sierotą, pozbawioną zarówno ojca, jak i matki. Gdyby chociaż przyjechał Benjamin! On jednak przysłał tylko wiadomość, że musi pracować i mistrz da mu wolne nie wcześniej niż wiosną.

Będzie więc znosić to sama.

I na jej twarzy musi widnieć uśmiech, zarówno w chwili, gdy zajadą pod kościół, jak i wtedy, gdy orszak weselny z muzykantem na czele ruszy na Storlandet. Przez cały wieczór postara się uśmiechać i cieszyć, a kiedy ktoś spyta o matkę, powie, że Johanna ma bardzo chorych pacjentów, których nie może zostawić nawet na chwilę.

Wtedy wstyd nie będzie taki wielki. Ludzie pomyślą, że Johanna ustąpiła. Łatwiej jej też będzie, niż gdyby cała wieś zobaczyła, że została zmuszona do padnięcia na kolana przez własną rodzinę.

Zachowywała się inaczej niż ostatnio. Nie była tak surowa i daleka, lecz uśmiechała się do wszystkich i serdecznie ścisnęła przyrodnią siostrę. Nie tańczyła, to widział, ale spróbowała piwa i wina, głośno też się śmiała z żartów drużby.

Wszystko się teraz odmieniło. Nie miał śmiałości, by poczuć radość, lecz przez cały wieczór nie spuszczał z niej oczu. Serce w piersi waliło mocno. To, co tkwiło w nim przez wszystkie te lata, wkrótce będzie mogło się uwolnić. Bał się jej, bał się tego wszystkiego, co o

niej mówiono, ale pragnął sam ją poznać. Chciał zrozumieć wszystkie te uczucia, które zawsze w nim tkwiły. Reina Ravidatter z Vildegard. Unosił się wokół niej zapach niebezpieczeństwa, lecz także czegoś takiego, od czego on nie był w stanie się oderwać. Tak wiele chciał jej powiedzieć i zadać nie kończącą się chyba liczbę pytań. Pragnął jej także dziękować, wszak mimo wszystko zawdzięczał jej życie.

Wiedział, że to niemądre, że być może nie jest wcale gotowa na tego rodzaju rozmowę. Z jakiegoś powodu jednak czuł się bezpieczny. Przez cały wieczór tylko raz ich spojrzenia się spotkały i ta chwila wstrząsnęła obojgiem. Widział, z jakim trudem Reina rozmawia potem z przyjaciółkami, i że to ona wreszcie odwróciła głowę i znów próbowała go odszukać.

To mu wystarczyło. Widać nie zapomniiała o ich przyjaźni, o potajemnie spędzonych razem chwilach, o wszystkim tym, co ich ze sobą wiązało. Poczł się o wiele spokojniejszy. Spokojny na tyle, by zapomnieć o rozsądku i wyjść za nią, gdy późną nocą wymknęła się na podwórze i wśród wrześnieowej ciemności samotnie skierowała w stronę domu.

Johannie wydawało się, że słyszy śmiechy i muzykę, dobiegającą ze Storlandet aż tutaj. Wiedziała, że to niemożliwe. Wprawdzie zabawa na pewno trwała teraz w pełni, lecz to, co ona słyszała, było zniekształconym echem dawno zapomnianego wesela, gdy ona sama nosiła ślubną koronę.

Wspomnienia dopadły ją akurat w chwili, gdy nie była w stanie ich przegnać. Wrażenie dotyku dłoni starej Britty na czole, gdy wkładała jej koronę. Twarz Erlenda - nie, ona już zniknęła. Chyba się wtedy cieszyła? Była szczęśliwa? Zakochana? W napięciu oczekiwała poślubnej nocy, nowego życia...

Wszystko, co zdarzyło się później, rzuciło na to cień. Nie pamiętała nawet jednego przebłysku radości. Jedynie twarz Erlenda, gdy umierał pod jej rękami, i Ravięgo, który jednym jedynym spojrzeniem przekonał ją, że ten grzech zostanie jej wybaczony.

Nie koncentrowała się wcale na morderstwie. Straszna była utrata Marji, ale miała na tyle rozumu, by pojąć, że potworny czyn Magnusa Storlandet popełniony został w przypiływie szaleństwa. On chciał dopaść Ravięgo, Ravięgo, który, jak przypuszczał, zabił Erlenda. Ravięgo, przez którego przekleństwo dotknęło jego rodzinę...

Zacisnęła palce na piórze.

Nie wiedziała, czy to prawda. Ale teraz, tak długo po jego zniknięciu, czuła pewność, że tak właśnie było. A przekleństwa rzuconego przez Ravięgo nigdy nie da się cofnąć. Nie zdoła tego uczynić nawet wdowa po nim.

On by ją poparł, powiedział im wszystkim, jak straszliwie niebezpieczny jest ten

związek. Może nawet zdołałby przemówić do rozumu Ingalill, by dziewczyna sama wszystko odwołała?

Ale Raviego nie było.

W noce takie jak ta tęsknota za nim stawała się nie do zniesienia. Olbrzymia czarna jama, jaką po sobie pozostawił, wypełniała się czymś ciężkim i mrocznym. Johanna wiedziała o tym, lecz nie miała siły, by walczyć.

A najgorsza ze wszystkiego była pustka.

Nienawiść, miłość, radość, smutek... wszystko to jest lepsze od pustki.

Gdy zegar w salonie wybił trzy uderzenia, Johanna wciąż siedziała nad zapisaną do połowy stronicą.

Tuż przed świtem na ganku rozległy się lekkie kroki Reiny.

Johanna podniosła ociężałą głowę i już postanowiła, że będzie unikać oskarżycielskiego spojrzenia córki. Dłużąca się bezsenna noc sprawiła, że w głowie jej się zakręciło, a kiedy wstała, pokój zawirował jej przed oczami i Reina natychmiast zorientowała się, że coś jest źle.

- Mamo, jesteś chora? Podbiegła do niej natychmiast, ale Johanna słabym gestem zaraz ją powstrzymała.

- Ach, mamo! Nie możesz być tak uparta - powiedziała Reina łamiącym się głosem. - Dla dobra wszystkich, mamo, błagam cię, zapomnij i wybacź!

Johanna stała drżąca, usiłując skupić wzrok na błyszczącym okuciu lampy za plecami córki.

- Ja - nie - mogę - zapomnieć. Oni są źli. Źli, słyszysz? Odrobina wina krążąca w żyłach Reiny dodała jej odwagi. Widok wciąż tak zacieklej goryczy matki jeszcze głębiej wrył się w jej duszę, ale teraz zwyciężył gniew.

- Ty ich nie znasz, matko! Znałaś Erlenda i być może Magnusa. A oni już się nie liczą. Jeśli tego nie rozumiesz, to nie możemy cię uratować. Ale nie możesz żądać, abyśmy podążali za tobą w tej absurdalnej waśni, już teraz nie. To się już skończyło.

Johanna mruknęła pod nosem:

- Wcale się nie skończyło. Obawiam się, że to się dopiero zaczyna. Reina się poddała.

- Idę do łóżka. Przecież i tak nie chcesz, żebym ci opowiedziała, jak to się odbyło. Jak pięknie wyglądała Ingalill i z jaką dumą Gjert zaprowadził ją do powozu...

- Nie. I co więcej, Reino, nie chcę, żeby wspomniano choćby ich imiona tu, pod tym dachem. Moją wolę musisz uszanować przynajmniej, dopóki mieszkasz w moim domu.

Reina zacisnęła zęby.

Był wczesny poranek, ale tu nie mogła zostać. Pogarda matki, jej nienawiść i gorycz snuły się gęste i wciskały w każdy kąt. Wybiegła na dwór. Wrześniowa noc była czysta i przejrzysta, Reina nie zmarzła, gdy biegła do domu.

Teraz też nie czuła chłodu.

A kiedy jakiś ptak z głośnym krzykiem wyleciał zza drzewa, wcale się go nie wystraszyła.